

GABRIEL
GARCIA
MARQUEZ

Jesień patriarchy

przełożył

Carlos Marrodan Casas

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Tytuł oryginału: El otoño del patriarca

Projekt okładki: Maryna Wiśniewska

Redakcja: Maria Kaniewska

Redakcja techniczna: Sławomir Grzmiel

Korekta: Zofia Firek

© by Gabriel Garcia Marquez, 1975

for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 1993, 2002

© for the Polish translation by Carlos Marrodan Casas

ISBN 83-7319-297-2

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2002

Jesień patriarchy Gabriela Garcii Marqueza doprowadza do skrajności powieściową tendencję ukazywania dyktatora pod postacią karykatury. W ramach właściwego autorowi przekształcania rzeczywistości powszedniej w hiperboliczną baśń, powieściopisarz kolumbijski rysuje postać dyktatora, dotkniętego śmiertelną chorobą władzy i samotności, poruszającego się w przerażającym kręgu czasu matuzalemowego. W krąg ten wpisywane są czyny, które mają wykazać jego pożądanie władzy: przejawy niewyczerpanego okrucieństwa, niepowodzenia miłosne, symulowane śmierci, tęskne wspomnienia dzieciństwa, patologiczny kompleks Edypa, wszystko pomieszane i uwikłane w serię niby koncentrycznych kół.

W ten sposób zacierają się granice chronologii; panuje czas martwy i nieruchomy, tym bliższy nieskończoności, że akcja rozpoczyna się w momencie starości osobliwie długowiecznego tyrana. Chęć uogólnienia idzie jeszcze dalej w integralnym złączeniu fikcji z wydarzeniami historycznymi, od czasów odkrycia Ameryki do czasów „ładu i postępu”. Generalizacji podlega również pojęcie przestrzeni, która, jak w poprzednich powieściach, pozbawiona jest dokładnych odniesień geograficznych, poza pewnymi wskazówkami określającymi atmosferę i środowisko tropiku.

Garcia Marquez zamierzał zrealizować wielką mityczną i hiperboliczną parabolę dyktatora latynoamerykańskiego, rozwijając w tym celu zdumiewającą mnogość środków wyrazu i wykazując niezrównane opanowanie rzemiosła pisarskiego. Stworzenie mitu zmierza tutaj do odebrania tematowi mitycznych właściwości.

Z eseju Rubena Bareiro Saguier

Temat dyktatury w powieści Ameryki Łacińskiej

„Literatura na Świecie” 9/79

Pod koniec tygodnia sępy wdarły się przez balkony pałacu prezydenckiego, uderzeniami dziobów rozszarpały oczka drucianych siatek w oknach, skrzydłami poruszyły czas zastały wewnątrz i w poniedziałek o świcie miasto zostało przebudzone z wiekowego letargu ciepłym i świeżym podmuchem wielkiego zmarłego i zgniłej wielkości. Dopiero wówczas odważyliśmy się wejść, bez szturmowania kamiennych murów twierdzy, jak chcieli najzuchwalsi, i bez wyważania wołowymi zaprzęgami głównej bramy, jak proponowali inni, wystarczyło bowiem pchnąć, by ustąpiły zawiasy opancerzonych wrót, które w bohater-skich czasach oparły się bombardom Williama Dampiera. Jakbyśmy zapuszczali się w głąb innej epoki, bo powietrze w studziennych zwaliskach ruin nory władzy było rozrzedzone, cisza porażała, a rzeczy były ledwie dostrzegalne w zwiędłym świetle. Idąc przez pierwszy dziedziniec, którego płyty uległy podziemnemu natarciu chwastów, zobaczyliśmy posterunek opuszczony w popłochu przez uciekające straże, broń porzuconą w stojakach, długi stół z surowych desek z resztkami przerwanego w panice niedzielnego posiłku, zobaczyliśmy w półmroku szopę mieszczącą kiedyś urzędy państwowe, pełną różnobarwnych grzybów i bladych irysów wyrastających spośród niezalutwionych poddań, których bieg służbowy wolniejszy

był od najbardziej jałowego życia, zobaczyliśmy pośrodku dziedzińca kadz chrzcielnicy, nad którą z wojskową pompą udzielono chrztu więcej niż pięciu pokoleniom, zobaczyliśmy w głębi dawną stajnię wicekrólów przemienioną w powozownię i wśród kamelii i motyli zobaczyliśmy berlinkę z czasów hałasu, furgon zarazy, karocę z roku komety, karawan postępu w ramach ładu, lunatyczną limuzynę z pierwszego wieku pokoju, wszystkie powozy w dobrym stanie, pokryte zakurzoną pajęczyną, i wszystkie w narodowych barwach. Na przyległym dziedzińcu, za żelazną kratą, rosły różane krzewy ośnieżone księżycowym pyłem, w których cieniu w czasach wielkości pałacu spali trędowaci, które tak rozrosły się w zapomnieniu i opuszczeniu, iż zachowała się ledwie bezwonna luka w tym różanym powietrzu zmieszonym z odorem dochodzącym nas z głębi ogrodu, fetorem kurnika oraz smrodem łąjna i fermentem krowich i żołnierskich szczyn z kolonialnej bazyliki przemienionej w oborę. Torując sobie drogę poprzez duszącą woń zarośli, zobaczyliśmy krużganek z arkadami, zastawiony doniczkami goździków, pełen liści alstromerii i bugenwilli, gdzie stały baraki konkubin, i na widok takiej różnorodności domowych odpadków i tyłu maszyn do szycia wydało nam się prawdopodobne, że żyło tam ponad tysiąc kobiet i sfory ich wcześniaków,

potem zaś zobaczyliśmy wojenny rozgardiasz w kuchniach, zetlałą na słońcu bieliznę w kadziach do prania, odkryte szambo wspólnego dla konkubin i żołnierzy sracza, a w głębi zobaczyliśmy wierzby babilońskie, przewiezione z Azji Mniejszej w gigantycznych morskich szklarniach z własną ziemią, sokami i mżawką, a za wierzbami zobaczyliśmy prywatną rezydencję, olbrzymią i smutną, przez której wyłamane żaluzje nieustannie wlatywały sępy. Nie trzeba było, jak zamierzaliśmy, wyważać drzwi, bo

frontowe skrzydła zdawały się otwierać już pod naciskiem głosu, weszliśmy więc na pierwsze piętro po kamiennych schodach wyłożonych operowymi dywanami, rozszarpanymi przez krowie racice, i po drodze, od pierwszego westybulu aż do ostatniej sypialni, widzieliśmy zrujnowane urzędy i sale reprezentacyjne, po których bezceremonialnie włóczyły się krowy, przeżuwając aksamitne zasłony i ogryzając atłas foteli, zobaczyliśmy bohaterskie obrazy świętych i wojskowych, walające się po podłodze wśród zniszczonych mebli i świeżej mazi krowiego łajna, zobaczyliśmy zjedzoną przez krowy jadalnię, salę koncertową sprofanowaną przez krowie odchody, łąki stołów bilardowych wyskubane przez krowy, połamane stoliki do gry w domino, zobaczyliśmy porzuconą w kącie maszynę do wichrów, podrabiającą każde zjawisko możliwe w czterech kwadrantach różny wiatrów, by ludzie z pałacu zaspokoili tęsknotę za morzem, które odeszło, zobaczyliśmy ptasie klatki porozwieszane wszędzie, jeszcze przykryte nocnymi zasłonkami, od czasu pewnej nocy ubiegłego tygodnia, i zobaczyliśmy przez mnóstwo okien olbrzymie śpiące zwierzę miasta, jeszcze nieświadome historycznego poniedziałku wchodzącego w życie, i dalej, za miastem, zobaczyliśmy ponure księżycowe popioły bezkresnej równiny, aż po horyzont, gdzie kiedyś było morze. W tym zakazanym miejscu, które bardzo niewielu uprzywilejowanych zdołało poznać, po raz pierwszy doszedł nas sępi odór ścierwa, tysiącletnia astma i nieomylny instynkt ptaszysk, i kierując się gnilnym podmuchem ich skrzydeł, natknęliśmy się w sali audiencyjnej na stoczone robactwem krowie czerepy, poćwiartowane, po kobiecemu krągłe zady wielokrotnie odbite w lustrach, i wtedy pchnęliśmy boczne drzwi prowadzące do zamaskowanego w murze gabinetu, i tam leżał on, w płóciennym mundurze bez dystynkcji,

w sztylpach, że złotą ostrogą na lewym obcasie, starszy od wszystkich ludzi i wszystkich starych zwierząt lądowych i wodnych, zobaczyliśmy go rozciągniętego na podłodze twarzą do ziemi, z prawym ramieniem wsuniętym pod głowę tak, by służyło mu za poduszkę, w tej samej pozycji, w której spał noc w noc, przez wszystkie noce swego, tak długiego, życia samotnego despoty. Dopiero gdy go odwróciliśmy, by przyjrzeć się twarzy, zrozumieli-

śmy, że nawet gdyby nie rozdziobały go sępy, nie sposób byłoby rozpoznać go, bo nikt z nas nigdy go nie widział, i choć jego profil widniał na obu stronach każdej monety, na znaczkach pocztowych, na etykietach środków przeciwcyszczających, na bandażach przepuklinowych i na szkaplerzach, choć jego litografia z piersią przepasaną wstęgą sztandaru z narodowym smokiem, wisiała o każdej dobie i na każdym miejscu, wiedzieliśmy, że były to kopie kopii portretów uznawanych za fałszywe już w czasach komety, gdy nasi własni rodzice wiedzieli, kim on jest, bo słyszeli to od swoich rodziców, tak jak ci od swoich, i już od dziecka wpoili w nas wiarę, że on żyje w siedzibie najwyższej władzy, bo ktoś widział zapalające się klosze lamp którejś świątecznej nocy, bo ktoś opowiedział, że widział smutne oczy, blade usta, zamyśloną dłoń, która słała niczyje pożegnania z za mszalnych ornamentów prezydenckiej limuzyny, bo pewnej niedzieli przed wielu laty zabrali ślepego żebraka recytującego za pięć centawów wiersze zapomnianego poety Rubena Dano i odstawili go z powrotem, szczęśliwego, z prawdziwą złotą uncją, którą otrzymał za recital wyłącznie dla niego, chociaż jego samego, oczywiście, nie zobaczył, wcale nie dlatego, że był ślepy, lecz dlatego, że żaden śmiertelnik nie widział go od czasów czarnej zarazy, a mimo to wiedzieliśmy, że jest tutaj, wiedzieliśmy, bo świat trwał, życie trwało, poczta

10

przychodziła, miejska orkiestra grała sobotnie wiazanki głupich walców w cieniu zakurzonych palm i smutnych latarń z placu Broni, a zmarłych muzyków zastępowali w orkiestrze inni starzy muzycy. W ostatnich latach, gdy z wnętrza nie dochodziły żadne ludzkie odgłosy ani śpiew ptaków i na zawsze zamknęły się opancerzone wrota, wiedzieliśmy, że ktoś przebywa w cywilnej rezydencji, bo nocą przez wychodzące na morze okna widać było światła podobne do świateł nawigacyjnych, a ci, co odważyli się podejść, słyszeli z za ufortyfikowanych murów gromy racic i westchnienia ogromnego zwierzęcia, a pewnego styczniowego popołudnia zobaczyliśmy na prezydenckim balkonie krowę zapatrzoną w zmierzch, proszę sobie wyobrazić, krowa na pierwszym balkonie ojczyzny, co za okropność, co za gówno nie kraj, ale zaczęto snuć tyle domysłów, że jak to możliwe, by krowa dostała się aż na balkon, skoro wszyscy wiedzą, że krowy nie chodzą po schodach, tym bardziej po kamiennych, a zwłaszcza gdy wyłożone są dywanami, że w końcu sami już nie wiedzieliśmy, czy gdy przechodziliśmy wieczorem przez plac Broni, nie przywidziała nam się ta krowa na prezydenckim balkonie, na którym nic nie widziano i nie miano ujrzyć przez wiele lat, aż do świtu tego ostatniego piątku, gdy zaczęły zlatywać się pierwsze sępy, poderwawszy się do lotu z gzymsu szpitala dla ubogich, gdzie zawsze drzemały, nadleciało ich więcej z głębi łądu, nadleciały fala za falą

znad horyzontu morza pyłu, gdzie niegdyś było morze, cały dzień krążyły wolno nad siedzibą władzy, dopóki król w pierzastym welonie panny młodej z czerwoną krezą nie wydał milczącego rozkazu, wtedy zaczął się ten brzęk wybijanych szyb, ten powiew wielkiego zmarłego, nieustanne wlatywanie i wylatywanie sępów przez okna, dopuszczalne tylko w domu pozbawionym gospodarza, aż

11

w końcu i my odważyliśmy się wejść i natrafiliśmy w bezludnym sanktuarium na ruiny wielkości, na rozdzielone ciało, gładkie, dziewczęce dłonie z pierścieniem władzy na kości palca serdecznego, na to ciało z odrostami drobnych liszajów i morskich pasożytów, zwłaszcza pod pachami i w pachwinie, i ujraliśmy, że nosi bandaż przepuklinowy na chorym jądrze, jedynej części ciała nie tkniętej przez sępy, mimo iż było wielkie jak wołowa nerka, ale nawet wtedy nie odważyliśmy się uwierzyć w jego śmierć, bo już po raz drugi znajdowano go w tym gabinecie samego, ubranego i zmarłego na pozór śmiercią naturalną w czasie snu, jak to przepowiadały od wielu lat prorocze wody w saganach wieszczek. Gdy znaleziono go po raz pierwszy na początku jego jesieni, naród miał jeszcze w sobie dość życia, by on, nawet w samotności swojej sypialni, czuł groźbę śmierci, a mimo to rządził tak, jakby miał się za obdarzonego łaską nieśmiertelności, wówczas pałac ten nie wydawał się bowiem prezydencką siedzibą, lecz targowiskiem, gdzie trzeba było w korytarzach torować sobie przejście wśród bosych ordynansów, wyładowujących z osłów warzywa i klatki z kurami, skakać przez baby, które stłoczone obok swych zgłodniałych chrześniaków spały na schodach w oczekiwaniu na cud oficjalnego miłosierdzia, trzeba było omijać potoki brudnej wody po aroganckich konkubinach wymieniających w wazonach nocne kwiaty na świeże, szorujących podłogi i śpiewających na balkonach piosenki o złudnych miłościach w rytm trzepania dywanów suchymi gałęzmi, a wszystko pośród awantur dożywotnich urzędników, znajdujących kwoki składające jaja w szufladach biurka, pośród przetargów kurw i żołnierzy w ubikacjach, ptasiego harmidru i jazgotu kundli walczących na ulicy w kulminacyjnym momencie audiencji, nikt bowiem nie wiedział,

12

kto był kim i z czyjego polecenia w tym pałacu otwartych drzwi, w którego potwornym bałaganie nie sposób było ustalić, gdzie jest rząd. Władca pałacu nie tylko uczestniczył w tym jarmarcznym zamieszaniu, ale sam je wywoływał i przewodził mu, ledwie bowiem zapalały się światła w jego sypialni, przed pierwszym pianiem kogutów, już pobudka gwardii prezydenckiej obwieszczała nowy dzień pobliskim koszarom del Conde, te powtarzały obwiesz-

czenie bazy San Jerónimo, ona zaś twierdzy portowej, tamta znów przekazywała sześć kolejnych pobudek - w pierw budzących miasto, a następnie cały kraj - podczas gdy on rozmyślał na polowym sedesie, próbując rękami zgasić brzęczenie w uszach, które wówczas zaczynało o sobie dawać znać, i patrząc na światła okrętów, przesu- wające się po topazie mieniącego się morza, w tamtych czasach chwały jeszcze rozciągającego się przed jego oknami. Codziennie, od czasu gdy objął pałac w posiadanie, czuwał nad udojem w oborach, by osobiście odmierzyć mleko odwożone następnie przez trzy prezydenckie wozy do miejskich koszar, w kuchni wypijał kubek czarnej kawy i zagryzał maniokowym plackiem, nie wiedząc zbyt dobrze, dokąd zawiodą go kaprysy nowego dnia, uważnie wsłuchany w gadaninę służby, jedynych ludzi w pałacu, z którymi mówił tym samym językiem, których poważne pochlebstwa najwięcej sobie cenił, których serca najlepiej przenikał, i tuż przed dziewiątą brał długą i leniwą kąpiel w wywarze parzonych liści, w granitowym basenie wybudowanym w cieniu migdałowców na jego prywatnym dziedzińcu, i dopiero po jedenastej potrafił przezwyciężyć poranny lęk i stawić czoło niebezpieczeństwom rzeczywistości. Przedtem, w czasach okupacji piechoty morskiej, zamykał się w gabinecie, by decydować o losie ojczyzny wspólnie z dowódcą jednostek desantowych, i podpisywał

13

wszelkiego rodzaju prawa i ustawy, odciskając ślad kciuka, bo wtedy nie umiał ani czytać, ani pisać, ale gdy go już pozostawiono znów sam na sam z jego ojczyzną i władzą, przestał psuć sobie krew koszmarem prawa pisanego, by rządzić wyłącznie osobiście i żywym słowem o każdej porze i na każdym miejscu, z jaskiniowym spokojem, ale i z niepojętą w jego wieku zręcznością, otoczony tłumem trędowatych, ślepców i paralityków błagających o sole zdrowia z jego ręki, w asyście uczonych polityków i bezczelnych pochlebców głoszących go panem trzęsień ziemi, zaćmień księżyca, lat przestępnych i innych boskich błędów, po całym pałacu powłócząc swymi olbrzymimi nogami słonia w kopnym śniegu, rozstrzygając problemy państwowe i sprawy domowe z taką samą łatwością, z jaką rozkazywał, żeby zabrali mi stąd te drzwi i wstawili tam, zabierali, żeby znów mi je wstawili, niech zegar na wieży nie wybija dwunastej o dwunastej, tylko o drugiej, bo chcę, żeby życie wydawało się dłuższe, i spełniano te rozkazy natychmiast, bez wahania, bez chwili wytchnienia, z wyjątkiem martwej godziny sjesty, kiedy to chronił się w półmroku konkubin, wybierał jedną na chybił trafił, nie rozbierając jej, nie rozbierając siebie, nie zamykając drzwi, i wówczas w całym pałacu rozlegało się jego bezduszne sapanie napalonego męża, pożądlivy brzęk złotej ostrogi, jego psi skowyt, przestrach kobiety, która trwonila swój czas miłości, usiłując odwrócić od siebie plugawy wzrok

wcześnieaków, jej wrzaski zmykajcie stąd, idźcie na dwór pobawić się, to nie dla dzieci, i było, jakby niebem ojczyzny przeleciał anioł, bo głosy milkły, życie zamierało, wszyscy kamienieli z palcem na ustach, nie oddychając, cicho, generał rżnie, lecz ci, co go lepiej poznali, nie wierzyli nawet w rozejm tej uświęconej chwili, zawsze bowiem wydawało się, że się rozdwa, że widziano go

14

o siódmej wieczór grającego w domino i w tym samym czasie podkładającego ogień pod krowie łajno, by przepędzić komary z sali audiencyjnej, i nikt nie ulegał złudzeniom, dopóki nie zgasły światła w ostatnich oknach i nie słyszano trzasku trzech sztab, trzech rygli, trzech zasuw od drzwi prezydenckiej sypialni i łomotu ciała padającego ze zmęczenia na kamienną posadzkę, i oddechu zgrzybiałego dziecka, oddechu coraz głębszego, w miarę jak wzrastał przyływ, aż w końcu nocne harfy wiatru uciszały cykady w jego uszach i szeroka fala piany zalewała ulice starego miasta wicekrólów i korsarzy, i wpadała do prywatnej rezydencji wszystkimi oknami niczym straszliwa sierpniowa sobota, która wyolbrzymiała kraby w lustrach i zdawała salę audiencyjną na łaskę halucynacji rekinów, i przekraczała najwyższe poziomy prehistorycznych mórz, wyskakiwała ponad powierzchnię ziemi, przestrzeni i czasu, i pozostawał tylko on, dryfując na brzuchu w księżycowej wodzie swoich snów samotnego topielca, w swym płóciennym mundurze szeregowca, w sztylpach, złotej ostrodze i z prawym ramieniem wsuniętym pod głowę tak, by służyło mu za poduszkę. W czasach kamiennych lat, które poprzedziły jego pierwszą śmierć, jego wszechobecność, to jednocześnie wchodzenie schodząc, owe ekstazy w morzu i zarazem agonie w nieszczęsnych miłościach, wynikały nie z atrybutów jego uprzywilejowanej natury, jak głosili pochlebcy, ani ze zbiorowych halucynacji, jak mówili jego oponenti, lecz z tego, iż szczęśliwym zbiegiem okoliczności mógł liczyć na pełne usługi i psie oddanie Patricia Aragonesa, swego doskonałego sobowtóra, który znalazł się nieszukany pewnego dnia, gdy przyniesiono wiadomość, że panie generale, fałszywą prezydencką karocą jeździ po indiańskich osadach, zbijając fortunę, bo podszysza się pod pana, że widzieli milczące oczy w żałobnym

15

półmroku, że widzieli blade usta, dłoń czulej narzeczonej w atłasowej rękawiczce, jak rozrzucała garście soli kłęzącym na ulicy chorym, i że za karocą jechało konno dwóch fałszywych oficerów, inkasując w twardej monecie należność za łaskę zdrowia, nie do wiary, panie generale, co za świętokradztwo, ale on nie wszczął żadnych kroków przeciw samozwańcowi, a jedynie poprosił, by w sekrecie sprowadzono tamtego do pałacu, w nasadzionym na głowę

jutowym worku, aby przypadkiem ich nie pomyłono, i wtedy doznał upokorzenia, widząc siebie samego, kubek w kubek, kurwa, przecież ten człowiek to ja, powiedział, bo rzeczywiście jakby nim był, z wyjątkiem władczego głosu, którego tamten nigdy nie zdołał naśladować, i przejrzystości dłoni, na których linia życia bez przeszkód wydłużała się wokół nasady wielkiego palca, i jeśli nie rozkazał rozstrzelać go od razu, to nie dlatego, by chciał zatrzymać go jako oficjalnego sobowtóra, to bowiem przyszło mu na myśl znacznie później, ale dlatego, iż zaniepokoiła go myśl, że liczby jego przeznaczenia mogą być zapisane na dłoni oszusta. Kiedy przekonał się o marności tego snu, Patricio Aragones obojętnie przeżył już sześć zamachów, nabrał zwyczaju powłóczenia stopami spłaszczonymi drewnianym młotkiem, brzęczało mu w uszach i śpiewała mu przepuklina podczas zimowych świtów, nauczył się tak przypinać i odpinać złotą ostrogę, jakby plątały mu się paski, tylko po to, by podczas audiencji zyskiwać na czasie, mamrocząc, kurwa, te sprzączki flamandzkich kowali nie nadają się do niczego, z wesołka zaś i gaduły, jakim był w czasach, gdy wydmuchiwał butelki w warsztacie swego ojca, stał się człowiekiem zamyślnym i ponurym, i nie zwracał uwagi na to, co do niego mówiono, tylko wpatrywał się w mrok oczu, by odgadnąć to, czego mu nie mówiono,

16

i nigdy nie odpowiadał na pytanie, wpierw nie zapytawszy, a pan co o tym sądzi, i z próżniaka i rozrzutnika, jakim był, gdy sprzedawał cuda, stał się do upadłego przedsiębiorczy i bezlitośnie ruchliwy, stał się skąpy i chciwy, pogodził się z miłościami na chybił trafił i spaniem na podłodze, w ubraniu, twarzą do ziemi i bez poduszki, i zrzekł się swych przedwczesnych pretensji do własnej osobowości i dziedzicznego powołania do zwyczajnego wytapiania i wydmuchiwania butelek, i stawiał czoło najbardziej przerażającym niebezpieczeństwom władzy, wmurowując kamienie węgielne tam, gdzie nigdy nie murowano niczego więcej, przecinając wstęgi na ziemi wrogów i wytrzymując tyle snów przepuszczonych przez wodę i tyle tłumionych westchnień do nieziszczalnych marzeń podczas koronacji, nie mogąc nawet dotknąć tak wielu i tak efemerycznych i nieosiągalnych królowych piękności, gdyż pogodził się na zawsze ze zwykłym losem, że żyć będzie losem nie swoim, choć nie zrobił tego z wyrachowania czy z przekonania, lecz dlatego, że tamten zmienił jego życie, zatrudniając go dożywotnio na etacie oficjalnego oszusta za pięćdziesiąt pesos nominalnej miesięcznej pensji plus korzyści z życia jak król, na szczęście nim nie będąc, czego więcej byś chciał. To stopienie się tożsamości osiągnęło swój najskrajniejszy wyraz pewnej nocy długich wiatrów, podczas której on spotkał Patricia Aragonesa

wzdychającego ku morzu w wonnych oparach jaśminu i zapytał z uzasadnionym niepokojem, czy nie wsypano mu tojadu do jedzenia, bo chodzi przecież jak skołowany i wzdęty złym powietrzem, a Patricio Aragones odpowiedział, że nie, panie generale, że nawet i gorzej, bo w sobotę ukoronował jakąś królową karnawału i zatańczył z nią pierwszego walca, i teraz nie może znaleźć

17

drzwi, żeby wyjść z tego wspomnienia, była to bowiem najpiękniejsza kobieta na ziemi, z tych stworzonych nie dla byle kogo, panie generale, gdyby ją pan widział, ale on odpowiedział z westchnieniem ulgi, że to właśnie przytrafia się zwykle mężczyznom, co chodzą z kutasem po kweście, i zaproponował, że porwie ją dla niego, tak jak to zrobił z tyloma czarującymi babami, które były jego konkubinami, siłą ci ją wsadzę do łóżka z czterema ludźmi obstawy, żeby trzymali ją za nogi i ręce, gdy ty będziesz używał sobie na całego, a co, kurwa, z kosteczkami ją zjesz, powiedział mu, nawet najporządniejsze na początku rzucają się z wściekłości, a później błagają cię, proszę mnie tak nie zostawiać, panie generale, jak smutną tuberozę z oberwanymi płatkami, ale Patricio Aragones nie chciał tyle, chciał więcej, chciał, żeby go kochano, bo ta jest z tych, co na byle co się nie nabiorą, panie generale, zobaczy pan, że pan sam to zobaczy, kiedy ją pan zobaczy, w rezultacie przepisał mu jako lekarstwo na uśmierzenie bólu nocne ścieżki do pokoi swoich konkubin i zezwolił mu obchodzić się z nimi tak, jakby był nim samym, byle jak, szybko i nie rozbierając się, i Patricio Aragones w dobrej wierze rzucił się w bagno pożyczonych miłości, myśląc, że zaknebluje nimi swe pragnienia, ale zachłanność jego była tak wielka, że czasami zapominał o warunkach pożyczki, rozbierał się przez roztargnienie, bawił się w drobiazgi, przez nieuwagę natrafiał na ukryte brylanty najskąpszych kobiet, wydobywał z nich westchnienia i doprowadzał w ciemnościach do zdziwionego śmiechu, ależ z pana łobuz, panie generale, mówiły mu, apetyt panu na starość wzrasta, i od tej pory żaden z nich i żadna z nich nie wiedzieli, które z dzieci jest czyje, z kim i po kim, bo również dzieci Patricia Aragonesa, tak jak i jego, były wcześniakami. W ten

18

sposób Patricio Aragones przemienił się w najważniejszego człowieka władzy, wzbudzającego najwięcej miłości i, być może, najwięcej zarazem strachu, on sam zaś dysponował teraz większą ilością czasu, by zająć się siłami zbrojnymi z tą samą uwagą, co na początku swego mandatu, nie dlatego, że siły zbrojne były największą podporą jego władzy, jak wszyscy sądziliśmy, wprost przeciwnie, dlatego, że były jego najgroźniejszym wro-

giem naturalnym, dawał więc do zrozumienia jednym oficerom, że są pilnowani przez drugich, tasował ich losy, chcąc uniemożliwić im spiskowanie, zaopatrywał koszary w osiem ślepych naboju na dziesięć dobrych i posyłał proch wymieszany z nadmorskim piaskiem, a sam utrzymywał pod ręką dobrze zaopatrzony arsenał w jednym z pałacowych magazynów, klucze do niego chowając w pęki innych, pojedynczych kluczy do drzwi, do których nikt poza nim nie miał dostępu, żyjąc w bezpiecznym cieniu przyjaciela mojego na całe życie, generała Rodriga de Aguilara, dyplomowanego artylerzysty, a zarazem ministra obrony i dowódcy gwardii prezydenckiej, dyrektora służb bezpieczeństwa i jednego z niewielu śmiertelników posiadających przyzwolenie na wygrywanie z nim partii domina, generał stracił bowiem prawe ramię, próbując rozbroić ładunek dynamitu na parę minut przed przyjazdem prezydenckiej berlinki na miejsce zamachu. Licząc na ochronę generała Rodriga de Aguilara i pomoc Patricia Aragonesa, czuł się tak bezpieczny, iż zaczął lekceważyć własne środki bezpieczeństwa i coraz częściej pokazywał się publicznie, odważył się wyjeżdżać na miasto nieoznakowaną landarą w towarzystwie jednego tylko adiutanta, spoza firanek wpatrywał się w arogancką katedrę ze złoconego kamienia, którą w odpowiednim dekrete ogłosił za najpiękniejszą na świecie, przyglądał się starym,

19

wzniesionym z kamienia i wapienia rezydencjom, ich portalom z zamierzchłych czasów, słonecznikom obróconym ku morzu, uliczkom dzielnic wicekrólów wybrukowanym zapachem lontu, zsiniałym panienkom, które robiły koronki klockowe z nieodzowną skromnością, pośród doniczek goździków i pnączy bugenwilli w świetle balkonów, szachownicy klasztoru baskijskich zakonnic z rozlegającymi się o trzeciej po południu ćwiczeniami na klawikordzie, tymi samymi, jakimi uczciły pierwsze pojawienie się komety, przemierzył handlową wieżę Babel, labirynty morderczej muzyki, proporce losów loteryjnych, wózki z napojami, rzędy jaj iguany, kramy Turków ze starzyzną spłowiałą od słońca, przerażający obraz kobiety zamienionej w skorpioną za nieposłuszeństwo wobec swoich rodziców, nędzną uliczkę kobiet bez mężczyzn, które wychodziły nago o zmierzchu, by kupić błękitne korwiny i różowe pagrusy i użerać się ze sprzedawczyniami jarzyn, podczas gdy na rzeźbionych w drewnie balkonach schła im bielizna, poczuł wiatr zgniłych skorupiaków, za rogiem powszednie światło pelikanów, zamęt kolorowych murzyńskich baraków na wzgórzach nad zatoką i, nagle, jest, port, och, port, nabrzeże z gąbczastych desek, stary pancernik piechoty morskiej, dłuższy i posępniejszy od prawdy, czarna straganiarka, która zbyt późno uskoczyła przed oszołomionym powozikiem i poczuła się śmiertelnie porażona wizją wieczornego starca

przyglądającego się portowi najsmutniejszym na świecie wzrokiem, to on, krzyknęła wystraszona, niech żyje generał, niech żyje, krzyczeli mężczyźni, kobiety, dzieci, szybko wybiegając z chińskich knajp i bufetów, niech żyje, krzyczeli ci, co spętali koniom nogi i zablokowali powóz, by ucisnąć dłoń władcy, wykonując ten manewr tak zręcznie i niespodziewanie, że ledwie zdążył odsunąć

20

zbrojne ramię adiutanta, karcąc go gromkim głosem, poruczniku, nie bądźcie głupim kutasem, pozwólcie im, by mnie kochali, tak podekscytowany tym wybuchem miłości i podobnymi wybuchami z następnych dni, iż generałowi Rodrigowi de Agudarowi z wielkim trudem przyszło wyperswadować mu pomysł przejazdów w odkrytej karecie, żeby patrioci ojczyzny mogli zobaczyć mnie, kurwa, we własnej osobie, bo nawet nie podejrzewał, że jeśli portowa manifestacja była spontaniczna, to już następne były organizowane przez jego własną służbę bezpieczeństwa, aby, niczym nie ryzykując, w pełni go zadowolić, i tak zasmakował w podmuchach miłości na progu swej jesieni, że po raz pierwszy od wielu lat odważył się wyjechać z miasta, uruchomił ponownie stary pociąg malowany w barwy narodowe, który wspinał się skalnymi półkami jego rozległego królestwa zgryzoty, torując sobie drogę przez gąszcz orchidei i balsamin amazońskich, płosząc małpy, rajskie ptaki, pумы śpiące na szynach, hen, ku lodowym i pustynnym osiedlom jego rodzinnego płaskowyżu, gdzie na stacjach oczekiwano go z orkiestrami w żałobnym repertuarze, bito mu w dzwon pogrzebny, wystawiano transparenty: witamy bezimennego patrycjusza zasiadającego po prawicy Trójcy Przenajświętszej, spędzano mu rozproszonych po ścieżkach Indian, którzy schodzili, by poznać władzę ukrytą w żałobnym mroku wagonu prezydenckiego, a ci, co zdołali przybliżyć się, nie widzieli nic poza osłupiałymi oczyma za zakurzoną szybą, widzieli drżące usta, dłoń jakby zawieszoną w pustce, śląc pozdrowienia z otchłani chwały, podczas gdy ktoś z eskorty próbował odciągnąć go od okna, proszę uważać, generale, ojczyzna pana potrzebuje, ależ ci ludzie mnie kochają, i tak podróżował w pociągu płaskowyżu jak na statku rzeczonym z drewnianym kołem

21

wodnym zostawiającym za sobą ślad walców z pianoli pośród słodkiego zapachu gardenii i zgniłych salamander z równikowych dopływów, omijając szkielety prehistorycznych smoków, wyspy opatrnościowe, gdzie kładły się syreny, by rodzić, wieczory katastrof olbrzymich miast zniesionych z powierzchni ziemi, docierając do rozpalonych i opustoszałych osad, których mieszkańcy wychodzili na brzeg, by zobaczyć drewniany okręt pomalowany w barwy narodowe, a mogli zaledwie dostrzec bezpańską dłoń w atlasowej rękawiczce, rozdającą pozdrowienia

z okna prezydenckiej kajuty, on jednak widział grupy zebrane na brzegu, machające liśćmi malangi zamiast chorągwi, widział tych, co rzucali się do wody z żywym tapirem, z ignamem gigantycznym jak noga słonia, z klatką dzikich kur na prezydencką potrawkę, i wzdychał poruszony w kościelnym mroku kajuty, popatrzcie, jak przychodzą, kapitanie, popatrzcie, jak mnie kochają. W grudniu, kiedy świat Karaibów przemieniał się w szkło, wjeżdżał landarą po skalnych półkach aż do wznoszącego się na stromym urwisku domu, by spędzić tam popołudnie, grając w domino z dawnymi dyktatorami innych krajów kontynentu, zdetronizowanymi ojcami innych ojczyzn, którzy korzystali z udzielonego im azylu przez wiele lat i teraz starzeli się w cieniu jego miłosierdzia, śniąc na krzesłach tarasu o chimerycznym okręcie następnej szansy, rozmawiając sami z sobą, wciąż umierając, choć już umarli w tym schronisku, które wybudował im na balkonie wychodzącym na morze, przyjmując ich wszystkich, jakby byli jednym i tym samym człowiekiem, każdy bowiem zjawiał się o świcie w galowym mundurze, włożonym lewą stroną na piżamę, z kufrem pieniędzy skradzionych z publicznego skarbcza i walizką ze szkatułką odznaczeń, wycinkami gazet wklejonymi w stare księgi

22

buchalteryjne i albumem portretów, które mu pokazywali podczas pierwszej audiencji, jakby to były listy uwierzytelniające, że słowami, proszę popatrzeć, generale, to jestem ja, gdy byłem porucznikiem, to w dniu objęcia władzy, to w siedemnastą rocznicę objęcia władzy, o tu, proszę popatrzeć, generale, ale on udzielał im azylu politycznego, nie zwracając na nich większej uwagi, nie przeglądając listów uwierzytelniających, jedynym bowiem dowodem tożsamości obalonego prezydenta powinien być akt zejścia, mówił, i wciąż z tą samą pogardą słuchał krótkich, iluzorycznych przemówionek, przyjmując pańską gościnę na czas krótki, póki sprawiedliwość narodu nie wystawi rachunku uzurpatorowi, wiecznej formułki chłopięcej powagi, nieco później wysłuchiwanej z ust uzurpatora, następnie zaś uzurpatora uzurpatora, jakby te głupie kutasy nie wiedziały, że w tej męskiej zabawie kto upadł, to leży, i wszystkich przez kilka miesięcy gościł w pałacu prezydenckim, zmuszając ich do gry w domino, dopóki nie zgrali się do ostatniego grosza, a wówczas, trzymając mnie pod ramię, prowadził do okna wychodzącego na morze, ponarzekał ze mną na to kurewskie życie, które biegnie tylko jedną drogą, pocieszył mnie pokusą, żebym poszedł sobie tam, proszę popatrzeć, tam, do tamtego olbrzymiego domu, który przypomina transatlantyk osiadły na mieliźnie skalistego urwiska, mam tam dla pana apartament, bardzo widny, z bardzo dobrym wyżywieniem, gdzie będzie miał pan dużo wolnego czasu, by zapominać wspólnie z towarzyszami niedoli, i nadmorski taras, gdzie bardzo lubił przesadywać w grudniowe popołudnia, nie tyle dla przyjemności grania w domino z tą

bandą patałachów, ile po to, by nacieszyć się rzadkim szczęściem, iż nie jest jednym z nich, by przejrzeć się w zwierciadle doświadczeń ich nędzy, gdy sam brodził

23

jeszcze w głębokim błocku szczęścia, gdy sam śnił, skradał się na palcach, niczym złe zamiary, za łagodnymi Mulatkami zamiatającymi w półmroku świtu prywatną rezydencję, węszył za zostawianym przez nie śladem domów noclegowych i taniej brylantyny, czyhając na sposobność, by spotkać jedną z nich samą, by za drzwiami biur kochać się kogucią miłością, podczas gdy one śmiały się w cieniu do rozpuku, ale z pana łobuz, generale, taki duży i ciągle nienasycony, ale on po tych miłościach smutniał i chcąc się pocieszyć, zaczynał śpiewać w miejscu, gdzie nikt nie mógł go słyszeć, lśniący księżycu styczniowy, śpiewał, popatrz, jakim smutny na szafocie okna twego, śpiewał, tak pewny miłości swego narodu w owych październikach bez złych wróżb, że w patio podmiejskiej rezydencji, w której mieszkała jego matka, Bendición Alvarado, zawieszał hamak i w cieniu tamaryndowców odsypiał, bez eskorty, sjęstę, śniąc o błędnych rybach płynących wodami koloru sypialni, ojczyzna to najlepsza rzecz, jaką wymyślono, matko, wzdychał, ale nigdy nie czekał na odpowiedź jedynej na świecie osoby, która odważyła się go zbesztać za rozchodzący się spod jego pach smród zgniłej cebuli, lecz wracał główną bramą pałacu prezydenckiego, podekscytowany tą styczniową porą cudu na Karaibach, tym pogodzeniem się na starość z całym światem, tymi wieczorami koloru malwy, podczas których zawarł pokój z nuncjuszem papieskim, ten zaś odwiedzał go bez zapowiedzi, by popijając czekoladę, częstując się ciasteczkami, spróbować go nawrócić na wiarę Chrystusową, on zaś wykazywał, konając ze śmiechu, że jeśli z Boga taki gość, jak pan mówi, to niech mu pan powie, żeby wyjął mi tego bąka, co mi byczy w uchu, mówił mu, rozpinał dziewięć guzików rozporka i pokazywał mu swą niebywałą przepuklinę, niech mu pan powie, żeby mi

24

skurczył to bydłatko, mówił mu, ale nuncjusz pouczał go, ze stoickim spokojem, usiłował przekonać, że wszystko, co jest prawdą, niezależnie od tego, kto ją głosi, pochodzi od Ducha Świętego, a on, gdy zapalono pierwsze lampy, odprowadzał tamtego aż do drzwi, konając, jak nigdy, że śmiechu, niech ksiądz wody do studni nie wozi, mówił mu, po co ksiądz chce mnie nawrócić, skoro i tak robię wszystko, czego chcecie, kurwa. Owa zatoczka niezmaconego spokoju w jednej chwili przestała istnieć, kiedy to podczas walki kogutów na odległym paramo krwiożerczy kogut oddziobał swemu przeciwnikowi głowę i szarpiąc ją, zjadł na oczach odurzonej krwią publiczności i orkiestry pijaków, która z okazji jatki uderzyła w świąteczne fanfary, a on jako jedyny rozpoznał złowrózby znak, poczuł go tak silnie i blisko, że potajemnie rozkazał swojej eskorcie, by aresztowali jednego z muzyków, tego,

co gra na tubie, i rzeczywiście znaleziono przy nim karabin z obciętą lufą, i wyznał na torturach, że zamierzał strzelić do niego w końcowym zamieszaniu, rzecz jasna, było to bardziej niż oczywiste, wytłumaczył on, bo ja patrzyłem na wszystkich i wszyscy patrzyli na mnie, a jedynym, który nie odważył się na mnie spojrzeć ani razu, był ten sukinsyn od tuby, biedaczysko, mimo to wiedział, że to nie była ostatnia przyczyna jego trwogi, gdyż nadal czuł ją po nocach w prywatnej rezydencji, nawet wtedy, gdy służba bezpieczeństwa wykazała mu, iż nie ma powodów do niepokoju, panie generale, wszystko jest w porządku, ale on troskliwie uczepił się Patricia Aragonesa, jakby sam nim był od chwili, gdy podczas walk kogutów przeczuł złą wróżbę, więc karmił go z własnego talerza, częstował go swym miodem własną łyżką, aby umierając, gdyby jedzenie było zatrute, zaznać pociechy, iż przynajmniej umierają razem, i chodzili,

25

niczym uciekinierzy, przez zapomniane pokoje, stąpając po dywanach, by nikt nie rozpoznał ich wielkich kroków syjamskich słoni przemykających się ukradkiem, płynąc razem w pulsującej jasności światła latarni morskiej, które wpadało przez okna co trzydzieści sekund i zalewało zielenią pokoje, przebijając się przez dym palonego łąjna i żałobne pożegnania nocnych okrętów na uśpionych morzach, spędzali całe popołudnia wpatrzeni w deszcz, liczyli jaskółki jak dwoje zniedołężniałych kochanków w znużonych wieczorach września, w takim odosobnieniu, iż nawet on nie spostrzegł, że jego zacięta walka o życie w dwójnasób wzbudzała podejrzenia odwrotne, że życia w nim z każdą chwilą mniej, że dogorywa w letargu, że podwojono strażę i nie zezwalano nikomu ani wejść, ani wyjść z prezydenckiego pałacu, lecz że mimo to ktoś zdołał pokonać tę groźną zaporę i zobaczył milczące ptaki w klatkach, krowy pijące z chrzcielnicy, trędowatych i paralityków śpiących wśród różanych krzewów, i wszyscy jakby oczekiwali, że zacznie świtać w południe, gdyż on umarł śmiercią naturalną w czasie snu, tak jak było to przepowiedziane w saganach, i tylko wysokie instancje zwlekały z podaniem tego do wiadomości, próbując w tym czasie uregulować w krwawych koncyliach swe zaległe spory. Choć był nieświadom tych plotek, wiedział jednak, iż coś lada moment zdarzy się w jego życiu, przerywał długo ciągnące się partie domina, by zapytać generała Rodriga de Aguilara, jak tam leci, kumie, w pełni kontrolujemy sytuację, panie generale, spokój w ojczyźnie, czyhał na znaki prorocze w pogrzebowych stosach krowiego łąjna rozpalanych w korytarzach i studniach jałowych wód, nie znajdując nic, co uśmierzyłoby jego niepokój, odwiedzał swą matkę, Bendición Alvarado, w podmiejskiej rezydencji, gdy upał słabł, siadali pod

26

tamaryndowcami, by zażyć wieczornego chłodu, ona w swoim fotelu na biegunach, zgrzybiała, ale wielkiej

duszy, sypiąc garście ziaren kukurydzy dziobiącym na podwórzu kurom i pawiom, on zaś w wiklinowym fotelu pomalowanym na biało, wachlując się kapeluszem, tropiąc wiecznie głodnym wzrokiem rosłe Mulatki, przynoszące mu orzeźwiający soki z kolorowych owoców, na upał, panie generale, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, gdybyś wiedziała, że już nie wytrzymuję tego świata, że chciałbym uciec, nie wiem dokąd, matko, daleko od tej niesprawiedliwości, ale nawet własnej matce nie ujawniał zakamarków swych westchnień, lecz z pierwszymi światłami nocy wracał do pałacu prezydenckiego tylnym wejściem, słysząc w korytarzach stukot obcasów wartowników, którzy salutowali mu, nic nowego, panie generale, wszystko w porządku, ale on wiedział, że to nieprawda, że oszukują go z przyzwyczajenia, że okłamują ze strachu, że nic nie jest prawdą w tym kryzysie niepewności, który zatruwa jego chwałę i nawet odbiera chęci, by rządzić, od czasu fatalnej walki kogutów, do późna leżał twarzą do ziemi, nie śpiąc, słyszał przez otwarte na morze okno dalekie bębny i smutne dudy przygrywające na jakimś weselu biedaków z tą samą radością, z jaką przygrywałyby na jego pogrzebie, usłyszał pożegnanie jakiegoś hultajskiego statku, który odplynął o drugiej, wbrew rozkazom kapitana, usłyszał papierowy szelest róż rozwierających się o świcie, pocił się lodem, wzdychał wbrew sobie, bez chwili ulgi, przeczuwając dzikim instynktem nieuniknione popołudnie, gdy wrócił z podmiejskiej rezydencji i zaskoczyła go wrzawa tłumów na ulicy, trzask zamykanych i otwieranych okiennic i panika jaskółek na przezroczystym niebie grudnia, uchylił w karocy zasłonki, by zobaczyć, co się dzieje, i powiedział sobie, to było to, matko, 27

to było to, powiedział sobie ze straszliwym poczuciem ulgi, widząc kolorowe balony na niebie, balony czerwone i zielone, balony żółte jak duże błękitne pomarańcze, niezliczone błędne balony, które przedarły się przez trwogę jaskółek, żeglując chwilę w kryształowym blasku godziny czwartej, po czym nagle eksplodowały, jednocześnie i milczącym wybuchem, wypuszczając na miasto tysiące papierowych kartek, rozpętując burzę trzepoczących pamfletów, wykorzystaną przez woźnicę, by wymknąć się z jarmarcznego tumultu, aby nikt nie rozpoznał prezydenckiej karocy, wszyscy bowiem rzucili się w wir bitwy o papierki z balonów, panie generale, na balkonach wykrzykiwali ich treść, powtarzali z pamięci, precz z uciskiem, krzyczeli, śmierć tyranowi, nawet wartownicy pałacu prezydenckiego czytali głośno na korytarzach, wszyscy mimo różnic klasowych zjednoczeni przeciwko despotyzmowi wieków, cały naród zjednoczony przeciw korupcji i arogancji wojskowych, dość przelewu krwi, krzyczeli, dość grabieży, kraj budził się z tysiącletniego letargu w chwili, gdy on, wchodząc drzwiami powozowni, usłyszał straszliwą wiadomość, panie generale, że Patricia Aragonesa śmiertelnie raniono zatrutą strzałą. Kilka lat

wcześniej, podczas nocy nie najlepszych nastrojów, zaproponował Aragonesowi, by zagrali w orła czy reszkę o życie, jak wypadnie orzeł, ty umrzesz, jak reszka, to ja umrę, ale Patricio Aragones wytłumaczył mu, że do śmierci nie wyjdą z remisu, po obu stronach monety wybite były bowiem ich wizerunki, i wtedy on zaproponował mu, by zagrali o życie w domino, dwadzieścia partii, zwycięża, kto wygra ich więcej, a Patricio Aragones przystał, wielki to dla mnie zaszczyt, o ile udzieli mi pan zezwolenia, by wygrać z panem, a on przystał, zgoda, zagrali więc pierwszą partię, zagrali drugą, zagrali dwu-

28
dziesiątą, i każdą wygrywał Patricio Aragones, bo dotąd wygrywał zawsze on, gdyż nie wolno było wygrać z nim, wywiązała się długa i zacięta walka i doszli do ostatniej z partii, z których on wszystkie dotąd przegrał, i Patricio Aragones wytarł sobie pot rękawem koszuli, wzdychając, niezmiernie mi przykro, panie generale, ale ja nie chcę umierać, wtedy on zaczął zbierać kostki, układać starannie w drewnianym pudełku, przemawiając niczym szkolny nauczyciel recytujący lekcję, że on też nie zamierza umierać przy stoliku domina, a jedynie we właściwym czasie i właściwym miejscu, śmiercią naturalną w czasie snu, tak jak przepowiadały mu od zarania jego czasów sagany wieszczek, a i nawet nie tak, jeśli się dobrze zastanowić, bo Bendición Alvarado nie po to mnie rodziła, żebym zawracał sobie głowę saganami, tylko po to, żebym rządził i, było nie było, to ja jestem tym, kim jestem, a nie ty, dziękuj więc Bogu, że to była tylko gra, powiedział ze śmiechem, nie uświadamiając sobie ani wówczas, ani kiedykolwiek, że ten straszliwy żart okaże się prawdą tej nocy, gdy wszedł do pokoju Patricio Aragonesa i zastał go walczącego z przynaglającą śmiercią, beznadziejnie, bez żadnych szans pokonania trucizny, stając na progu, pozdrowił go wyciągniętą ręką, niech Bóg ma cię w swojej opiece, chłopie, to wielki zaszczyt umierać za ojczyznę. Towarzyszył mu w powolnej agonii, sami w pokoju, własną ręką wlewając mu do ust leki uśmierzające ból, a Patricio Aragones wypijał je bez słowa podziękui, mówiąc mu po każdej łyżce, zostawiam pana na krótko na tym zasranym świecie, panie generale, bo serce mi mówi, że niebawem zobaczymy się w czeluściach piekielnych, ja pokręcony przez tę truciznę bardziej niż węgorz, a pan z głową w dłoniach, niewiedzący, gdzie by ją złożyć, i mówię to bez najmniejszego szacunku, panie

29
generale, gdyż teraz mogę panu powiedzieć, że nigdy pana nie kochałem tak, jak pan to sobie wyobraża, wprost przeciwnie, bo od postnych czasów flibustierów, kiedy to miałem nieszczęście dostać się w pańskie ręce, modłę się, żeby pana zabili, choćby i w przyzwoity sposób, byle mi pan zapłacił za to sieroce życie, którym mnie pan obdarował, najpierw spłaszczając mi stopy trzonkiem tłuczka, żeby upodobniły się do pana stóp lunatyka, potem

przekłuwając mi jądra szewskim szydłem, bym dostał przepukliny, później dając mi do picia terpentynę, żebym zapomniał czytać i pisać, choć nauczanie mnie tego tyle trudu kosztowało moją matkę, i przez cały czas zmuszając mnie do sprawowania publicznych funkcji, którymi pan nie ma odwagi się zajmować, wcale nie dlatego, że ojczyzna potrzebuje pana żywego, jak pan twierdzi, ale dlatego, że największemu chojrakowi dupa cierpnie, gdy koronuje jakąś kurwę piękności i nie wie, z której strony może zagwizdać śmierć, i mówię to bez najmniejszego szacunku, panie generale, ale jego oburzyła nie tyle bezczelność, ile niewdzięczność Patricia Aragonesa, któremu stworzyłem królewskie życie w pałacu i dałem ci to, czego nikt nikomu na tym świecie nie dał, nawet odstąpiłem ci moje własne kobiety, lepiej o tym nie mówmy, panie generale, bo lepiej mieć jaja posiekane młotkiem niż latać za babami i rozkładać je na podłodze, jakby chodziło o znakowanie jałówek żelazem, tyle że te biedne, bezduszne bękartice nawet nie czują żelaza, nie kopią, nie skręcają się, nie jęczą jak jałówki, nie puszczają dymu zadem i nie pachną przypalonym mięsem, minimum tego, czego wymaga się od przyzwoitych kobiet, a tylko rozwalają swoje cielska zdechłych krów, żeby człowiek mógł spełnić swój męski obowiązek, nie przestając obierać ziemniaków i wrzeszcząc jedna do drugiej, bądź tak dobra

30
i rzuć okiem na garnki, dopóki tu nie skończę, bo mi się ryż przypali, pan jest jedynym, który wierzy, że to miłość, panie generale, bo tylko taką pan zna, i mówię to bez najmniejszego szacunku, i wtedy on zaczął wyc, zamknij się, kurwa, zamknij się, bo drogo mi za to zapłacisz, ale Patricio Aragones mówił nadal, zupełnie serio, po co mam się zamknąć, przecież pan może mnie najwyżej zabić, proszę raczej to wykorzystać i zobaczyć, jak wygląda prawda, panie generale, żeby się dowiedzieć, że nikt nigdy nie powiedział panu, co naprawdę myśli, bo wszyscy mówią tylko to, co wiedzą, że chce pan usłyszeć, niby płaszcząc się przed panem, a naprawdę marząc o strzale w plecy, proszę przynajmniej dziękować Bogu za to, że przypadkiem jestem człowiekiem, który najbardziej na tym świecie panu współczuje, bo jestem jedynym, który jest do pana podobny, jedynym, którego stać na to, by wyśpiewać panu to, o czym wszyscy mówią, że pan jest niczym prezydentem i że siedzi pan na tronie nie dzięki swoim armatom, ale dlatego, że posadzili tam pana Anglicy, a utrzymali jankesi tym swoim zasranym pancernikiem, i że widziałem, jak pałętał się pan tam i z powrotem, w tę i we wte, chory ze strachu, nie wiedząc, od czego zacząć rządu, kiedy jankesi krzyknęli panu, zostawiamy cię tu samego z twoim burdelem czarnuchów, zobaczymy, jak sobie bez nas poradzisz, i jeśli wówczas nie wyleciał pan z siodła, i nie wyleciał pan nigdy, to nie dlatego, że pan nie chce, ale dlatego, że pan nie może, przyzna pan, bo pan wie, że w chwili, gdy spotkają pana na

ulicy w ubraniu zwykłego śmiertelnika, rzuca się na pana jak psy, żeby zapłacił im pan za rzeź w Santa Maria del Altar albo za więźniów wrzuconych do fosy twierdzy portowej, żeby kajmany pożarły ich żywcem, lub za odartych żywcem ze skóry, wysyłanej potem rodzinie ku
31

przestrodze, mówił, wyławiając z bezdennej studni swych zaległych żali różniane okrucieństw popełnionych przez reżim nikczemności, dopóki nie mógł już nic więcej powiedzieć, gdyż widły ognia rozszarpały mu wewnętrżności, serce rozmiękło i zakończył z całym szacunkiem, lecz niemal błagając, że mówię to panu poważnie, panie generale, proszę teraz skorzystać z tego, że umieram, żeby umrzeć razem ze mną, nie ma człowieka bardziej wiarygodnego ode mnie, żeby to panu powiedzieć, bo nigdy nie miałem zamiaru być do kogokolwiek podobnym, a jeszcze mniej być bohaterem ojczyzny, chciałem zostać tylko smutnym wydmuchiawcą szkła, żeby robić butelki, tak jak mój ojciec, śmiało, panie generale, to wcale nie boli tak bardzo, jak się wydaje, i powiedział mu to z wyrazem tak pogodnej prawdy, że jemu nie starczyło złości na odpowiedź, próbował jedynie podtrzymać go na krześle, gdy zobaczył, że ten zaczął skręcać się, łapać za brzuch i płakać łzami bólu i wstydu, że co za pech, panie generale, sram pod siebie, a on pomyślał, że ten mówi w przenośni, chcąc mu powiedzieć, że umiera ze strachu, ale Patricio Aragones odpowiedział mu, że nie, chcę powiedzieć, że sram, panie generale, sram, więc on ledwo zdążył z błaganiem, trzymaj się, Patricio Aragones, trzymaj się, my, generałowie ojczyzny, musimy umierać jak mężczyźni, choć byśmy musieli to przypłacić życiem, ale powiedział mu to za późno, Patricio Aragones osunął się bowiem i padł na niego, wierzgając nogami ze strachu, cały w gównie i we łzach. W gabinecie przylegającym do sali audiencyjnej musiał wyszorować zwłoki gąbką i mydłem, by zmyć z nich odór śmierci, ubrał je w odzież, którą miał na sobie, włożył mu płócienny bandaż, sztylpy, złotą ostrogę na lewy obcas, czując w trakcie tych czynności, iż staje się najbardziej osamotnionym człowiekiem na ziemi,
32

na koniec zatarł wszystkie ślady farsy, przewidział do perfekcji najdrobniejsze szczegóły, które zobaczył na własne oczy w proroczych wodach saganów, by o świcie następnego dnia pałacowe sprzątaczkę natrafiły na nieboszczyka, tak jak natrafiły na leżącego twarzą do ziemi na podłodze gabinetu, zmarłego po raz pierwszy fałszywą śmiercią naturalną w czasie snu, w płóciennym mundurze bez dystynkcji, w sztylpach, że złotą ostrogą i z prawym ramieniem wsuniętym pod głowę tak, żeby służyło mu za poduszkę. Wtedy wiadomość również nie rozeszła się natychmiast, wbrew jego oczekiwaniom, upłynęło natomiast wiele godzin powściągliwości, tajemniczych dochodzeń, sekretnych układów pomiędzy spadkobiercami reżimu, którzy próbowali zyskać na czasie, dementując

plotkę o śmierci, uciekając się do wszelkiego rodzaju zaprzeczeń, wyciągnęli na handlową ulicę jego matkę, Bendición Alvarado, żebyśmy stwierdzili, że nie ma żałobnego wyrazu twarzy, ubrali mnie w suknię w kwiatki, proszę pana, jak koczkodana, proszę pana, kazali mi kupić papuzi kapelusz, żeby wszyscy widzieli mnie szczęśliwą, kazali mi kupować każdy rupieć, jaki znajdowaliśmy w sklepach, chociaż im mówiłam, że nie, proszę pana, że to nie pora na zakupy, tylko na płacz, bo nawet ja wierzyłam, że naprawdę to mój syn umarł, i kazali mi się uśmiechać na siłę, kiedy ludzie robili mi zdjęcia, bo wojskowi mówili, że tak trzeba dla dobra ojczyzny, gdy on tymczasem zastanawiał się zdenerwowany w swojej kryjówce, co to się porobiło na świecie, że po jego fałszywej śmierci nic nie uległo zmianie, więc jak to, słońce wzeszło i jeszcze raz wzeszło jakby nigdy nic, dlaczego to niedzielne powietrze, matko, dlaczego ten sam upał beze mnie, pytał zdumiony, gdy huknął niewczesny wystrzał armatni w twierdzy portowej i zaczęły

33

bić wielkie dzwony katedry, i dotarła aż do prywatnej rezydencji wrzawa tłumów wyciągniętych ze stuletniego marazmu wiadomością największą na świecie, wówczas uchylił nieco drzwi od sypialni, wyrzwał na salę audiencyjną i zobaczył siebie samego na marach, bardziej martwego i przystrojonego niż wszyscy martwi papieże chrześcijaństwa, zraniony przerażeniem i wstydem, gdy ujrzał własne ciało wojskowego ogiera leżące pośród kwiatów, twarz siną od pudru, umalowane usta, twarde dłonie nieczulej panienci złożone na piersi opancerzonej wojennymi orderami, krzykliwy mundur galowy z dziesięcioma zachodzącymi słońcami generała wszechświata, którym ktoś go mianował pośmiertnie, z szablą karcianego króla, której nigdy nie używał, lakierowane sztylpy z dwiema złotymi ostrogami, rozległe wiano władzy i żałobne chwały wojenne pomniejszone do jego ludzkich rozmiarów spoczywającego pedała, o kurwa, to niemożliwe, żebym to był ja, powiedział wściekły, to niesprawiedliwe, kurwa, powiedział sobie, przyglądając się defilującemu przed jego zwłokami orszakowi, i przez chwilę zapomniał o mętnym celu farsy, i poczuł się zhańbiony i umniejszony przez okrucieństwo śmierci wobec majestatu władzy, ujrzał życie bez siebie, zobaczył z odrobiną współczucia, jacy byli ludzie pozbawieni podpory jego autorytetu, zobaczył ze skrywanym niepokojem tych, którzy przyszli jedynie w celu rozszyfrowania zagadki, czy to rzeczywiście był on, czy też nie, zobaczył staruszkę, który przesłał mu masońskie pozdrowienie z czasów wojny federalnej, zobaczył mężczyznę w żałobie, który pocałował go w pierścień, zobaczył gimnazjalistkę, która złożyła mu kwiat, zobaczył sprzedawczynię ryb, która nie mogła się oprzeć prawdzie jego śmierci i rozrzucając po drodze kosz świeżych ryb padła na uperfumowanego trupa,

34

ściskając go i płacząc wniebogłosy, że to on, mój Boże, co teraz z nami będzie, co pocniemy bez niego, płakała, a więc to on, krzyczeli, to on, wrzasnęły tłumy przytłoczone słońcem placu Broni, i wtedy ustało żałobne bicie w dzwony katedry, i dzwony wszystkich kościołów ogłosiły środę radości, wybuchły wielkanocne race, petardy chwały, bębny wolności, a on zobaczył oddziały szturmujące okna przy milczącym współudziale straży, zobaczył zdziczałych prowodyrów rozpędzających kijami orszak, rzucających na ziemię nieutuloną w żalu sprzedawczynię ryb, zobaczył tych, którzy zaczęli pastwić się nad trupem, ośmiu mężczyzn, którzy wyrwali go ze stanu niepamięci, z jego chimerycznego czasu agapantów i słoneczników, i wlekli po schodach, tych, którzy wypruli flaki tego rajy obfitości i nieszczęścia, myśląc, iż obracają go na zawsze w ruinę, obracając na zawsze w ruinę matecznik władzy, zwalając doryckie kapitele z papier-mache, aksamitne zasłony i kolumny babilońskie zwień-

czony alabastrowymi palmami, wyrzucając przez okna ptasie klatki, tron wicekrólów, fortepian, niszcząc krypty cmentarne z popiołami nieznanymi bohaterów i gobeliny dziewic śpiących w gondolach rozczarowania, i olbrzymie portrety olejne biskupów i archaicznych wojskowych, i niewiarygodnych bitew morskich, niweczając świat, by w pamięci przyszłych pokoleń nie pozostało nawet najdrobniejsze wspomnienie przekłętego rodu wojskowych, a później wyrzwał na ulicę przez szpary żaluzji, chcąc zobaczyć, jak daleko sięgają zniszczenia defenestracji, i wystarczyło mu rzucić okiem, by zobaczył więcej nikczemności i więcej niewdzięczności, niż widziały i opłakały moje oczy od mego przyjścia na świat, matko, zobaczył swoje wdowy szczęśliwe, opuszczające dom tylnymi drzwiami, ciągnące na powrozie krowy z moich 35

obór, zabierające z sobą rządowe meble, słoiki miodu z twoich uli, matko, zobaczył swoje wcześniaki wygrywające symfonię radości na kuchennych gratach, skarbach kryształów i bankietowej cud-zastawie, śpiewające wrzaskiem ulicznym, mój tata nie żyje, wolność niech żyje, zobaczył stos rozpalony na placu Broni po to, by spalić oficjalne portrety i litografie z kalendarzy, które widniały o każdej dobie i na każdym miejscu od początków jego rządów, i zobaczył własne ciało wleczone po ulicy, pozostawiające za sobą strugę orderów i epoletów, guzików od dolmana, postrzępionych brokatów, pasmanterii, haftek, chwastów z szabli karcianych i dziesięciu smutnych słońc generała wszechświata, matko, zobacz, co ze mną zrobili, mówił, własnym ciałem czując hańbę plwocin i wylewanych na niego z balkonów nocników chorych, przerażony myślą, że może zostać rozszarpany i pożarty przez psy i sępy pośród oszalałego wycia i pirotechnicznego huku karnawału mojej śmierci. Kiedy minął kataklizm, słyszał nadal daleką muzykę bezwietrznego popołudnia, nadal zabijał komary, usiłując tymi samymi uderzeniami zabić

cykady uszu, które nie dawały mu myśleć, nadal widział poświatę pożarów na horyzoncie, latarnię co trzydzieści sekund prążkującą go na zielono poprzez szpary żaluzji, normalny oddech codziennego życia, uspokajającego się, w miarę jak jego śmierć zamieniała się w jeszcze jedną śmierć, jak tyle innych śmierci z przeszłości, rwący potok rzeczywistości, który unosił go ku ziemi niczyjej zapomnienia i litości, a co, kurwa, w dupie mam śmierć, krzyknął, i wtedy opuścił kryjówkę, podniecony przekonaniem, że wybiła jego wielka godzina, przeszedł przez splądrowane salony, powłócząc swymi ciężkimi stopami upiora pośród zniszczeń własnego poprzedniego życia, w ciemnościach pachnących dogorywającymi kwiatami i pogrzebowym

36

knotem, pchnął drzwi do sali Rady Ministrów, usłyszał poprzez zadymione powietrze wycieńczone głosy spoza długiego orzechowego stołu i zobaczył poprzez dym, że siedzą tam liberałowie, którzy sprzedali wojnę federalną, konserwatyści, którzy ją kupili, generałowie Sztabu Generalnego, trzech jego ministrów, prymas i ambasador Schnontner, wszyscy razem w jednej pułapce wzywający do jedności wobec odwiecznego despotyzmu, by podzielić między sobą łupy jego śmierci, tak pochłonięci otchłanią zachłanności, że nikt nie dostrzegł wejścia niepogrzebanego prezydenta, który tylko raz uderzył dłonią w stół i krzyknął, aha! i nic więcej nie musiał robić, gdy oderwał bowiem rękę od stołu, już było po panicznej ucieczce i w pustej sali pozostały jedynie przepelnione popielniczki, filiżanki kawy, krzesła porozrzucane po podłodze i przyjaciel mój na całe życie, generał Rodrigo de Aguilar w polowym mundurze, drobny, obojętny, odpędzający dym swoją jedyną ręką, by wskazać mu, żeby rzucił się na podłogę, bo teraz, panie generale, zaczniesz się na całego, i obaj padli na podłogę w tej samej chwili, w której na wprost pałacu zaczęła się śmiertelna radość karabinów maszynowych, rzeźnicze święto prezydenckiej gwardii, która z całą przyjemnością i z wielkim zaszczytem, panie generale, wypełniała jego okrutny rozkaz, by nikt żywy nie uszedł ze zdradzieckiej narady, ścięli seriami karabinów próbujących uciec główną bramą, ustrzelili wymykających się jak ptaki przez okna, rozbebeszyli granatami zapalającymi tych, co zdołali wyjść z okrążenia i schronili się w sąsiednich domach, i dobili rannych zgodnie z prezydenckim poglądem, że każdy pozostawiony przy życiu jest zaprzysięgłym wrogiem na zawsze, on zaś wciąż leżał na posadzce, dwa kroki od generała Rodriga de Aguilara, pod gradem szkła i gruzu, po każdej eksplozji wpadającego

37

przez okna, i szeptał bez przerwy, jakby się modlił, no i już po ptakach, od dziś tylko ja będę rządził, bez szcękających psów, trzeba będzie jutro rano zobaczyć, co się nadaje, a co nie z tego burdelu, a jeśli przypadkiem zabraknie czegoś do siedzenia, to na razie kupi się sześć skórzanych zydlu, takich najtańszych, kupi się maty i po-

łoży to tu, to tam, żeby przykryć dziury, dokupi się jeszcze jakieś dwa albo trzy graty, no i już, żadnych talerzy, żadnych łyżek, nic, to wszystko przyniosę sobie z koszar, bo już nie będę miał żadnych wojskowych, żadnych oficerów, a co, kurwa, tylko mi mleko wypijają, a jak przyjdzie co do czego, to proszę, gryzą rękę, która ich karmiła, zostawię sobie tylko gwardię prezydencką, porządni to ludzie i dzielni, i nie będę mianował żadnej Rady Ministrów, a co, kurwa, tylko dobrego ministra zdrowia, bo tylko tego potrzeba w życiu i, na wszelki wypadek, drugiego, co umie ładnie pisać, jeśli coś trzeba będzie napisać, i w ten sposób będzie można wynająć ministerstwa i koszary, a pieniądze będą dla służby, bo tu potrzebna jest forsa, nie ludzie, trzeba się postarać o dwie dobre służące, jedną do sprzątania i do kuchni, drugą do prania i prasowania, a ja zajmę się krowami i ptakami, gdy już będą, i koniec z tymi kłótniami kurw w ubikacjach, koniec z trędowatymi w różach i z uczonymi doktorami, co wszystko wiedzą, i z mądrymi politykami, co wszystko widzą, bo, było nie było, jest to pałac prezydencki, a nie burdel czarnuchów, jak, według Patricia Aragonesa, powiedzieli jankesi, i sam sobie dam radę, żeby dalej rządzić do czasu, gdy znów przyleci kometa i nie raz, a dziesięć razy, bo jeśli o mnie chodzi, to nie myślę już więcej umierać, a co, kurwa, niech umierają tamci, powiedział, nadal mówiąc bez zastanawiania się, jakby recytował z pamięci, wiedział bowiem od czasów wojny, że myśląc

38

na głos, przezwycięża strach przed wybuchami dynamitu, które wstrząsnęły pałacem, układając plany na jutrzejszy ranek i na wiek wschodzący o zmierzchu, póki nie zabrzmiał na ulicy ostatni strzał miłosierdzia, a generał Rodrigo de Aguilar wężowymi ruchami nie podczołgał się i nie rozkazał przez okno, by sprowadzili śmieciarki i zabrali trupy, i wyszedł z sali, mówiąc, życzę dobrej nocy, panie generale, dobranoc, kumie, odpowiedział, dziękuję bardzo, leżąc twarzą do ziemi na żałobnym marmurze sali Rady Ministrów, później zgiał rękę tak, by służyła mu za poduszkę i natychmiast zasnął, samotny jak nigdy dotąd, kołysany do snu szumem strugi żółtych kwiatów jego żalostnej jesieni, która tej nocy zaczęła się na zawsze w dymiących ciałach i w kałużach czerwonych księżyców masakry. Nie musiał jednak podejmować żadnej z tych przewidzianych decyzji, armia rozbroiła się bowiem sama, oddziały rozproszyły się, a tych niewielu oficerów, którzy do końca stawiali opór w stołecznych koszarach i w pozostałych sześciu miastach w kraju, zlikwidowała gwardia prezydencka wspomagana przez cywilnych ochotników, pozostali zaś przy życiu ministrowie udali się o świcie na wygnanie, pozostało tylko dwóch najwierniejszych, z których jeden był zarazem jego lekarzem osobistym, a drugi najlepszym kaligrafem w państwie, i nie musiał żadnemu obcemu rządowi powiedzieć, że tak, gdyż kufry rządowe zapełniły się ślubnymi

obrączkami i złotymi diademami zebranych przez nieoczekiwanych zwolenników, nie musiał również kupować mat ani skórzanych zydl, tych najtańszych, by jako tako zakryć zniszczenia defenestracji, gdyż nim zakończono pacyfikację kraju, sala audiencyjna była już odrestaurowana i wspaniała jak nigdy, pojawiły się wszędzie ptasie klatki, rozgadane ary, papużki królewskie, które śpiewały

39

pod sufitem dla Hiszpanii, a nie dla Portugalii, kobiety subtelne i usłużne, które utrzymywały pałac w takiej czystości i w takim porządku, jakby to był okręt wojenny, a oknami wlatywała ta sama muzyka chwały, te same petardy wesela, te same dzwony radości, które rozpoczęły swój koncert, by uczcić jego śmierć, a teraz biły nadal, by uczcić jego nieśmiertelność, na placu Broni trwała nieustająca manifestacja okrzyków wiecznego poparcia i wielkich transparentów, Boże chroń wspaniałego w trzecim dniu zmartwychwstałego, nie kończące się święto, którego nie musiał przedłużać sekretnymi fortelami, jak robił to w innych czasach, sprawy państwowe załatwiały się bowiem same, ojczyzna funkcjonowała, sam sobie był rządem i nikt nie krępował ani słowem, ani czynem zasobów jego woli, gdyż był tak samotny w swej chwale, że nawet wrogów nie miał, i był tak wdzięczny przyjacielowi mojemu na całe życie, generałowi Rodrigowi de Aguilarowi, że przestał martwić się zużyciem mleka, kazał natomiast ustawić się na dziedzińcu szeregowcom, którzy wyróżnili się okrucieństwem i poczuciem obowiązku, po czym wskazując kolejno palcem, tak jak dyktowały mu podszepty natchnienia, awansował ich do najwyższych stopni, świadom, że właśnie odrestaurowuje siły zbrojne, które miały ugryźć karmiącą ich rękę, ty na kapitana, ty na majora, ty na pułkownika, co ja mówię, ty na generała, a wszystkich pozostałych na poruczników, no, kumie, masz tu swoje wojsko, kurwa, i był tak wzruszony myślą o tych, co okazali ból na wieść o jego śmierci, iż kazał, by zaprowadzono go do starca, który żegnał go masońskim pozdrowieniem, do kawalera w żałobie, który złożył pocałunek na jego pierścieniu, i odznaczył ich medalem pokoju, kazał, by zaprowadzono go do sprzedawczyni ryb, i dał jej to, co, jej własnym zdaniem, było jej

40

potrzebne najbardziej, to znaczy dom z wieloma pokojami, by pomieścić tam swoich czternastu synów, kazał, by zaprowadzono go do gimnazjalistki, która złożyła przy zwłokach kwiat, i obdarował ją tym, czego najbardziej pragnęła na tym świecie, to znaczy poślubić człowieka morza, ale mimo tych gestów pocieszenia jego oszołomione serce nie zaznało chwili spokoju, póki nie zobaczył na dziedzińcu koszar San Jerónimo związanych i oplutych napastników, którzy szturmem wtargnęli do pałacu prezydenckiego, rozpoznał ich dzięki nieubłaganej pamięci przerażenia i zaczął rozstawiać ich jednego po drugim w różne grupy, według rozmiarów przewinienia, ty tu,

ten, co dowodził napadem, wy tam, ci, co wyciągnęli z trumny ciało i wlekli je po schodach i błocie, a reszta na tę stronę, skurwysyny, choć w rzeczywistości nie kara go interesowała, ale wykazanie sobie samemu, że profanacja ciała i napad na pałac były nie spontanicznym odruchem narodu, lecz nikczemną sprawką najemników, podjął się więc sam przepytać jeńców żywym słowem i osobiście, by uzyskać od nich, po dobroci, potwierdzenie tej złudnej prawdy, której potrzebowało jego serce, ale nie uzyskał, kazał więc, by powieszono ich na wiele godzin, spętanych za nogi i ręce, głową w dół, na ułożonej poziomo belce, niczym papugi, ale nie uzyskał, kazał rzucić jednego z nich do fosy na dziedzińcu i reszta ujrzała, jak rozszarpują go i pożerają kajmany, ale nie uzyskał, wybrał jednego z głównej grupy i kazał obedrzeć go żywcem ze skóry, na oczach wszystkich, i wszyscy zobaczyli miękką i żółtą skórę, niczym świeże łożysko, zostali zbryzgani ciepłą bryją krwi żywego mięsa, które konało wstrząsane drgawkami na kamieniach dziedzińca, i wtedy wyznali to, czego oczekiwał, że zapłacono im czterysta pesos za to, by zawlekli trupa do śmietniska na targu, że nie chcieli

41

tego zrobić ani z fanatyzmu, ani dla pieniędzy, bo nic przeciwko niemu nie mieli, a jeszcze mniej, gdy już nie żył, ale na jednym z tajnych zebrań, gdzie spotkali aż dwóch generałów z najwyższego dowództwa, zastraszone ich różnymi groźbami i dlatego to zrobiliśmy, panie generale, słowo honoru, i wtedy westchnął głęboko oddechem ulgi, rozkazał, by nakarmiono ich, dano tej nocy wypocząć, a rano rzucono kajmanom, biedni, oszukani chłopcy, westchnął i wrócił do pałacu prezydenckiego z duszą uwolnioną od włosienicy wątpliwości, mrucząc, sami widzicie, kurwa, sami widzicie, ci ludzie kochają mnie. Zdecydowany rozwiać nawet cień niepokoju, które Patricio Aragones zasiał w jego sercu, postanowił, że były to ostatnie tortury za jego panowania, kajmany zabito, zburzono izby tortur, gdzie nie pozbawiając życia, można było łamać kość za kością aż po ostatnią kość, ogłosił powszechną amnestię, rzucił w przyszłość magiczną ideę, że nieszczęściem tego kraju jest to, że ludzie mają za dużo wolnego czasu na myślenie, i szukając sposobu, by wypełnić im ten czas, przywrócił marcowe korsa i coroczne konkursy na królową piękności, wybudował największy na Karaibach stadion piłkarski i nadał naszej drużynie hasło zwycięstwo albo śmierć, i rozkazał założyć w każdej prowincji bezpłatną szkołę do nauki zmiatania, więc uczennice, rozfanatyzowane prezydenckim bodźcem, ruszyły zmiatać ulice, zamiótłszy już mieszkania, później drogi główne i boczne, tak iż nie wiedząc, co z nimi zrobić, zmiatano i wymiatano zwały śmieci z jednej prowincji do drugiej, krocząc w oficjalnych procesjach, z narodowymi sztandarami i wielkimi transparentami Boże chroń przeczystego, który czuwa nad czystością kraju, a on powłócząc ociężałymi stopami

zamyślnego zwierzęcia, szukał nowych recept, by dać
42

jakieś zajęcie ludności cywilnej, przeciskając się przez tłum trędowatych, ślepców i paralityków, którzy błagali o sól zdrowia z jego ręki, chrzcząc swym imieniem nad kadzią chrzcielniczy dzieci swych chrześniaków w otoczeniu bezczelnych pochlebców, proklamujących go jedynym, wtedy bowiem nie liczył już na pomoc kogoś sobie podobnego i musiał sam rozdawać się na tym pałacowym targowisku, gdzie, odkąd wyszedł na jaw sekret, iż jego matka, Bendición Alvarado, była ptaszniczką, nadchodziły codziennie klatki za klatkami nieprawdopodobnych ptaków, i choć jedne posyłano, by się przypochlebić, a inne dla żartu, wkrótce nie było już na nie miejsca i w tym samym czasie próbowano zająć się tyłoma sprawami publicznymi, iż w tłumach na dziedzińcu i w biurach nie można było rozróżnić obsługujących od obsługiwanych, i wyburzono tyle ścian, by poszerzyć świat, i otwarto tyle okien, by widzieć morze, że zwykle przejście z pokoju do pokoju było niczym skok na pokładzie żaglowca dryfującego w jesieni krzyżujących się wiatrów. Przez okna pałacu wlatywały marcowe pasaty, lecz teraz mówiono mu, że to wiatry pokoju, panie generale, to samo bzyczenie, które męczyło go od wielu lat, świdrowało mu uszy, ale nawet jego osobisty lekarz powiedział mu, że to bzyczenie pokoju, panie generale, bo od dnia, w którym znaleziono go martwego po raz pierwszy, wszystkie rzeczy na ziemi i niebie przemieniły się w rzeczy pokoju, panie generale, a on w to uwierzył tak mocno, iż w grudniu udał się ponownie do rezydencji wznoszącej się na skalistym urwisku, by rozerwać się w nieszczęściu bractwa dawnych, nostalgicznych dyktatorów, którzy przerywali partię domina, by opowiedzieć mu, że ja na ten przykład byłem podwójną szóstką, a doktrynalni konserwatyści byli, powiedzmy, podwójną

43

trójką, tyle że nie wziąłem pod uwagę tajnego sojuszu masonów i księży, bo i komu, kurwa, przyszłoby to do głowy, nie zważając na stygnącą w talerzach zupę, gdy tymczasem jeden z nich tłumaczył, że, na ten przykład, ta cukiernica była pałacem prezydenckim, o tu, a jedyne działo, jakim dysponował nieprzyjaciel, miało zasięg jakieś czterysta metrów przy sprzyjającym wietrze, o tu, tak więc jeśli panowie widzą mnie w tym stanie, to wyłącznie z powodu tych pechowych osiemdziesięciu centymetrów, i nawet najbardziej obrońcy mchem wygnania łudzili się nadzieją, wypatrując na horyzoncie statków z banderą swych krajów, poznając je po barwach dymu, po rdzy syren, schodząc do portu w mżawce pierwszych świateł w poszukiwaniu gazet, w które załoga zawijała jedzenie wynoszone ze statku, by znaleźć je w kubłach na śmieci i przeczytać od początku do końca, i znów od końca do początku, wyczytywali wszystko, przewidując przyszłość swej ojczyzny na podstawie wiadomości o tym, kto umarł,

kto się ożenił, kto kogo zaprosił lub nie na przyjęcie wydane z okazji urodzin i rozszyfrowując swój los zgodnie z kierunkiem opatrnościowej chmury, która oberwie się nad jego krajem w apokaliptycznej burzy, która rozpęta rzeki, które przerwą groble, które spustoszą pola, i rozniesie nędzę i zarazę w miastach, i przyjdą tu błagać mnie, bym uratował ich od klęski i anarchii, zobaczycie, ale oczekując tej wielkiej chwili, musieli odwoływać na stronę najmłodszego banitę i prosić go o wyświadczenie mi tej przysługi i przewleczenie nitki przez igłę, żeby załatać te spodnie, których nie chcę wyrzucać na śmieci, bo mam do nich sentyment, i ukradkiem prac swoje ubranie, ostrzyć żyłki zużyte przez nowo przybyłych, w porze posiłków zamykać się w pokoju, by pozostali nie odkryli, że żyją z odpadków, by nie ujrzeli hańby ich

44

spodni zbrukanych starczą rozpustą, i w najmniej spodziewany czwartek jednemu z nas wpinaliśmy oto szpilkami odznaczenia w ostatnią koszulę, owijaliśmy ciało w sztandar jego kraju, śpiewaliśmy jego hymn państwowy i wyprawiali go, by rządził zapomnieniem na dnie otchłani, nieobciążonego niczym innym prócz balastu własnego postrzępionego serca i niezostawiającego na świecie innej pustki prócz plażowego krzesła na tarasie bez widoków, gdzie siadaliśmy, by zagrać między sobą o rzecz zmarłego, jeśli w ogóle coś zostawił, panie generale, nie do wiary, po takiej chwale takie cywilne życie. W tym innym, dalekim grudniu, kiedy oddano rezydencję do użytku, zobaczył z tego tarasu smugę olśniewających wysp Antyli, które ktoś pokazywał mu palcem w witrynie morza, zobaczył wonny wulkan Martyniki, o tam, panie generale, zobaczył szpital gruźlików, olbrzymiego Murzyna w haftowanej bluzie, sprzedającego w podcieniach bazyliki wiązanki gardenii żonom gubernatorów, zobaczył wtedy piekielny targ Paramaribo, o tam, panie generale, kraby wychodzące z morza ubikacjami i wspinające się na stoły lodziarni, diamenty wprawione w zęby murzyńskich staruch, które rozsiadłszy się w zupie deszczu na swych zdrowych pośladkach, sprzedawały głowy Indian i korzenie imbiru, zobaczył krowy z ciężkiego złota śpiące na plaży Tanaguarena, panie generale, ślepego jasnowidza z Guayra, który bierze dwa reale za odstraszenie jednostrunnymi skrzypcami indyczki śmierci, zobaczył ognisty sierpień Trynidadu, samochody jadące do tyłu, zielonych Hindusów srających na środku ulicy przy swych sklepach pełnych koszul z czystego jedwabiu i mandarynów wyrzeźbionych z jednego kawałka kości słoniowej, zobaczył koszmar Haiti, jej błękitne psy, zobaczył rozkwitające na nowo holenderskie tulipany w zbiornikach benzyny

45

w Curañaao, wiatraki ze spadzistymi dachami, by śnieg mógł się osuwać, tajemniczy transatlantycki przepływający środkiem miasta przez kuchnie hoteli, zobaczył kamienny staw Cartageny de Indias, jej zatokę odgradzoną łań-

cuchem, światło nieruchome na balkonach, chude dorożkarskie konie, które jeszcze ziewały obżarte wicekrólewskim obrokiem, smród łajna, panie generale, jakie to wspaniałe, no i powiedzcie, czy ten świat nie jest wielki, i rzeczywiście był wielki, i nie tylko wielki, ale i zdradliwy, jeśli bowiem w grudniu wspinał się do rezydencji na skalnym urwisku, to nie w celu pogawędzenia sobie z tymi dezerterami, których nienawidził niczym własnego odbicia w zwierciadle nieszczęść, lecz dlatego, iż chciał być tam w chwili cudu, gdy grudniowe światło występowało z brzegów i raz jeszcze można było zobaczyć pełny wszechświat Antyli, od Barbados po Veracruz, i wtedy zapomniał o tym, który miał kostkę z podwójną trójką, i wyglądał z tarasu, by przyjrzeć się smudze lunatycznych wysp podobnych kajmanom śpiącym w stawie morza, i przypatrując się wyspom, przeżywał raz jeszcze i przeżył znów historyczny piątek października, kiedy to o świcie wyszedł ze swojego pokoju i stanął zdumiony, widząc, że wszyscy ludzie z pałacu prezydenckiego mają na głowach czerwone bonety, że nowe konkubiny zamiatają pokoje i zmieniają wodę w klatkach, też w czerwonych bonetach na głowach, że dojarze w oborach, wartownicy na posterunkach, paralitycy na schodach i trędowaci w różach przechadzają się w czerwonych bonetach z karnawałowej niedzieli, postanowił więc wy badać, co też takiego porobiło się na świecie, kiedy on spał, że zarówno ludzie z pałacu, jak i ludzie z miasta chodzą w czerwonych bonetach, wloką wszędzie za sobą sznur dzwoneczków, i w końcu spotkał osobę zdolną wyznać mu prawdę, panie

46

I

generale, że przybyli jacyś cudzoziemcy paplający jakąś dziwną gwarą, bo nie mówili fale, tylko wały i na ary mówili papugi, na pirogi czółna, a na harpuny oszczepy, a skoro zauważyli, że wypłynęliśmy na spotkanie okrążając ich statki, wdrapali się na maszty i zaczęli krzyczeć do siebie, że baccie jakiej grzecznej postawy, a ciał wielkiej gładkości i liców bardzo pocziwych, i włosów grubych, podobnych sierści końskiej, a widząc, że jesteśmy pomalowani, żeby skóra nam się nie spaliła od słońca, podnieśli wrzask jak zmoczone małpy, krzyząc, baccie, oni malują się czernidłem, a są teźże barwy co Kanaryjczycy, ani biali, ani Murzynowie, i brać od nich wszystko, co się nadarzy, a my nie rozumieliśmy, po jaką cholere tak sobie z nas kpili, panie generale, jeśli my zachowaliśmy się zupełnie normalnie i byliśmy tacy, jak nas matki zrodziły, a oni za to poubierani jak dupki żołądne mimo upału i włosy cheszają jak kobiety, chociaż wszyscy są mężczyznami, bo kobiet nie widzieliśmy, i krzyczeli, że mowy chrześcijańskiej nie pojmujemy, chociaż to właśnie oni nie rozumieli, co do nich krzyczeliśmy, a później podpłynęli do nas na swych tratwach, które oni, jak to stwierdziliśmy, nazywają traftami, jak przemytnicy holenderscy, i zachwycali się, że nasze harpuny mają na grocie ość

alozy, którą oni nazywają rybim zębem i zaczęli zamieniać wszystko, co mieliśmy, na te czerwone bonety i te szklane paciorki, cośmy zawiesili sobie na szyi, żeby ich zabawić, i te błyskotki z mosiądzu, co to grosze kosztują, na miseczki, świecidełka i inną flamandzką pasmanterię, taką tandetę, panie generale, a ponieważ zauważyliśmy, że dobrze usługują i są całkiem sprytni, więc zaczęliśmy sprowadzać ich na plażę, tak że nawet tego nie zauważyli, i zrobiła się chryja na całego, bo od tego daj mi to za to i dam ci to za tamto zrobił się taki kurewski odpust, że po

47

I chwili wszyscy zaczęli wymieniać swoje papużki, tytoń, czekoladowe kule, jaja iguany, wszystko, co Pan Bóg stworzył, bo tamci brali i chętnie dawali, co tylko mieli, i nawet chcieli zamienić jednego z nas na aksamitny kaftan, żeby pokazać nas w Europach, proszę sobie wyobrazić, panie generale, co za chryja, ale on był tak zakłopotany, iż nie mógł pojąć, czy ta sprawa lunatyków podlega, czy nie podlega kompetencji jego władzy, wrócił więc do sypialni, otworzył okno na morze, licząc, że może przypadkiem odkryje nowe światło, które rozjaśni mu opowiedziany galimatias, i przy redzie ujrzał odwieczny pancernik porzucony przez piechotę morską, a za nim, zakotwiczone w mrocznym morzu, trzy karawele.

Gdy za drugim razem znaleziono go rozdziobanego przez sępy w tym samym gabinecie, w tym samym ubraniu i w tej samej pozycji, żaden z nas nie był na tyle stary, by pamiętać, co zdarzyło się za pierwszym razem, wiedzieliśmy jednak, że najbardziej nawet stanowczy dowód jego śmierci nie jest niezbity, gdyż za prawdą zawsze kryła się inna prawda. Najmniej przezorni też nie zadowalali się pozorami, wielokrotnie podawano sobie wiarygodne wieści, że był już wycieńczony atakami padaczki, że w czasie audiencji staczał się z tronu skręcany konwulsjami, z pianą żółci na ustach, że od tak częstego mówienia stracił głos, więc za aksamitnymi zasłonami podstawionych miał brzuchomówców, by naśladowali jego głos, że na całym ciele wyskakiwały mu rybie łuski i że była to kara za jego perwersję, że w chłodzie grudnia przepuklina śpiewała mu żeglarskie piosenki i mógł poruszać się tylko z pomocą wózka inwalidzkiego, na którym woził chore jądro, że jakiś wojskowy furgon dostarczył tylnymi drzwiami, o północy, trumnę ze złotym fryzem i purpurowym obiciem i że ktoś widział Letycję Nazareno płaczącą krwawymi łzami w ogrodzie deszczu, ale im pewniejsze wydawały się te pogłoski o jego śmierci, tym żywoniejszy i bardziej władczy pojawiał się w najmniej spodziewanym momencie, by narzucić nieprzewidziany kurs naszemu

49

losowi. Z łatwością dalibyśmy się przekonać bezpośrednim dowodom, jak pierścień prezydenckiej godności, nienaturalnie wielkie stopy niezmordowanego wędrowca czy tak niebywały dowód jak chore jądro, którego sępy nie

odważyły się tknąć, zawsze jednak znalazł się ktoś pamiętający takie same znaki szczególne u innych, mniej znaczących zmarłych w przeszłości. Drobiazgowo przeszukanie pałacu również nie przyniosło żadnej wskazówki ustalającej bezwzględnie jego tożsamość. W sypialni Bendición Alvarado, którą ledwo pamiętaliśmy z baśni o jej kanonizacji na mocy dekretu, znaleźliśmy parę obtłuczonych klatek z kosteczkami ptaków skamieniałych z upływem lat, zobaczyliśmy wiklinowy fotel poobgryzany przez krowy, pudełka farb wodnych i szklanki z pędzlami używanymi przez górskie ptaszniczki, sprzedające na jarmarkach bezbarwne ptaki przemalowane na wilgi, zobaczyliśmy dzban z łądygą melisy, która nie przestała rosnąć w zapomnieniu, wspinając się swymi gałęzmi po ścianach, wychylając się przez oczy portretów i wychodząc przez okno, by w końcu splątać się z dzikim gąszczem pozostałych dziedzińców, nie znaleźliśmy jednak najmniejszego śladu, który wskazywałby na jakikolwiek jego pobyt w tym pokoju. W małżeńskiej sypialni Letycji Nazareno, lepiej utrwalonej w naszej pamięci nie tylko dlatego, że królowała w bliższej nam epoce, ale z racji okazałości jej publicznych czynów, zobaczyliśmy łóżko stosowne do miłosnych ekscesów, z utkany baldachimem przeobrażonym w kwocze gniazdo, zobaczyliśmy w kufrach stoczone przez mole resztki etoli z niebieskich lisów, druczane szkielety krynolin, lodowy kurz spódnic, staniki z koronki brukselskiej, męskie półbuty noszone po pałacu i atlasowe buciki na wysokich obcasach z paseczkami, które wkładała na wizyty, długie szaty z filcowymi fiołkami i wstążkami

50

z tafty, pozostałości jej pogrzebnych splendorów pierwszej damy, i popielaty habit klasztornej nowicjuszki ze zgrzebnego płótna jak barania skóra, w którym porwano ją i sprowadzono z Jamajki w skrzyni bankietowych kryształów, by posadzić ją na fotelu ukrywanej prezydentowej, ale i w tym pokoju nie znaleźliśmy nic, co pozwoliłoby przynajmniej ustalić, czy tym korsarskim porwaniem kierowały podszepty miłości. W prezydenckiej sypialni, będącej tym miejscem w pałacu, gdzie on spędził największą część swych ostatnich lat, znaleźliśmy jedynie nieużywane łóżko polowe i polowy sedes, jak te, które wyciągali antykwariusze z siedzib opuszczonych przez piechotę morską, żelazny kufer z jego dziewięćdziesięcioma dwoma odznaczeniami i płócienny mundur, taki sam, jaki miał na sobie trup, bez dystynkcji, podziurawiony sześcioma pociskami dużego kalibru, które pozostawiły ślady spalenizny, wchodząc przez plecy i wylatując przez pierś, co skłoniło nas do uznania za prawdziwą krążącą legendy o tym, że ołów zdradziecko wystrzelony przebił go, nie czyniąc mu żadnej krzywdy, że odbijał się od jego piersi i trafiał napastnika i że on był nieodporny jedynie na kule litości, wystrzelone przez kogoś, kto kochałby go tak bardzo, iż gotów byłby umrzeć dla niego. Obydwa mundury były za małe na trupa, ale nie to było powodem,

iż odrzuciliśmy możliwość, że należały do niego, w swoim czasie twierdzono bowiem również, że on do stu lat ciągle rósł i że kiedy miał lat sto pięćdziesiąt, po raz trzeci wyrosły mu zęby, choć w rzeczywistości ciało rozdziobane przez sępy nie było większe od ciała przeciętnego mężczyzny z naszych czasów, jego zęby, zdrowe, małe i przytępione, wydawały się mlecznymi zębami, a na jego skórze koloru żółci, upstrzonej pieprzykami starości, nie było ani jednej blizny, na całym ciele zwisały mu puste

51
 fałdy, jakby kiedyś był bardzo otyły, po melancholijnych oczach pozostały mu zaledwie puste oczodoły i jedynym, co zdawało się nie pasować do jego rozmiarów, prócz chorego jądra, były olbrzymie stopy, kwadratowe i płaskie, z twardymi i powykręcanyimi paznokciami krogulca. W przeciwieństwie do ubrań opisy jego historyków okazały się na niego za duże, oficjalne teksty szkolnych podręczników przedstawiały go bowiem jako patriarchę o nadludzkich rozmiarach, nigdy niewychodzącego z pałacu, bo nie mieścił się w drzwiach, głosiły, że kochał dzieci i jaskółki, że znał mowę niektórych zwierząt, że posiadał dar przewidywania zamiarów przyrody, że czytał w myślach, ledwo spojrzawszy w oczy, że znał sekret pewnej soli, zdolnej goić wrzody trędowatych, i przywracał władzę nogom paralityków. Chociaż wszelka wzmianka o jego pochodzeniu zniknęła z tekstów, sądzono, że był człowiekiem z płaskowyzu, z racji swego niepohamowanego głodu władzy, z racji swego sposobu rządzenia, ponurego zachowania, niepojętej podłości serca, z jaką sprzedał morze obcemu rządowi i skazał nas na życie nad brzegiem tej bezkresnej równiny pokrytej ponurym pyłem księżycowym, której zawieszzone w pustce zmierzchy bolały nas w głębi serca. Obliczano, że za życia spłodził pewno ponad pięć tysięcy dzieci, same wcześniaki, z astronomiczną liczbą niekochanych kochanek, dopóty następujących po sobie w jego seraju, dopóki mógł doznać z nimi przyjemności, żadne jednak nie nosiło nigdy jego imienia ani nazwiska, prócz dziecka Letycji Nazareno, które z chwilą przyjscia na świat zostało mianowane generałem dywizji z władzą prawodawczą i wojskową, gdyż on sądził, że nikt nie jest niczym dzieckiem, bo każdy jest dzieckiem swojej matki i tylko jej. Owo przeświadczenie zdawało się również dotyczyć i jego, wiedziano bowiem,

52
 że nie miał ojca, jak najwięksi despoci w historii, że jedynym jego znanym i być może jedynym krewnym, jakiego w ogóle miał, była jego matka, dusza mej duszy, Bendición Alvarado, której szkolne podręczniki przypisywały cud niepokalanego poczęcia i wręczenia jej we śnie hermetycznych kluczy do jego mesjanistycznego posłannictwa, a którą on, posługując się prostym argumentem, że ma się tylko jedną matkę, moją, proklamował matriarchą ojczyzny, ją, tę dziwną kobietę niewiadomego pochodzenia, której całkowita prostoduszność gorszyła fanatyków

godności prezydenckiej w zaraniu jego panowania, gdyż nie mogli przystać na to, by matka szefa państwa wieszała sobie na szyi poduszczkę z kamforą, aby uchronić się od wszelkiej zarazy, i próbowała nadziewać kawior na widelec, i chodziła w lakierkach jak kaczka, nie mogli również przystać na to, by trzymała pasiekę na tarasie sali koncertowej lub hodowała indyki i ptaki pomalowane farbami wodnymi w urzędach publicznych, czy wywiesziała uprane prześcieradła na balkonowej trybunie, i nie mogli jej darować, że powiedziała na jednym z przyjęć dyplomatycznych, że jestem już zmęczona błaganiem Boga o to, żeby obalili mojego syna, bo żyć w pałacu prezydenckim to tak, jakby mieć cały czas zapalone światło, proszę pana, i powiedziała to z tą samą naiwną szczerością, z jaką pewnego narodowego dnia utorowała sobie drogę wśród kompanii honorowej z koszykiem pustych butelek, dotarła do prezydenckiej limuzyny rozpoczynającej jubileuszową defiladę w huku i owacji, marszów wojskowych, nawałnicy kwiatów, i wsadziła koszyk przez okno samochodu, krzycząc do swego syna, że jak już tamtędy przejeżdżasz, to przy okazji oddaj te butelki do sklepu na rogu, biedna matka. Ten brak historycznego zmysłu miał osiągnąć swą wspaniałą noc

53

nad nocami podczas uroczystego bankietu, wydanego na cześć inwazji piechoty morskiej dowodzonej przez admirała Higginsona, gdy Bendición Alvarado zobaczyła swego syna w galowym mundurze, że złotymi orderami i w atlasowych rękawiczkach, które nosił już przez resztę swego życia, i nie mogła powstrzymać uczucia matczynej dumy, i zawołała na cały głos przed obecnym w komplecie korpusem dyplomatycznym, że gdybym to ja wiedziała, że mój syn będzie prezydentem republiki, to posłałabym go do szkoły, proszę pana, jakież musiało być zgorzenie, jeśli od tamtej chwili zesłano ją do podmiejskiej rezydencji, pałacu o jedenastu pokojach, wygranego przezeń w kości podczas sprzyjającej mu nocy, kiedy wodzowie wojny federalnej dzielili między siebie przy stole do gry wspaniałą dzielnicę willową zbiegłych konserwatystów, Bendición Alvarado wzgardziła jednak imperialnymi ornamentami, w których czuje się, jakbym była żoną Ojca Świętego, i wołała mieszkać w pokojach dla służby razem z przydzielonymi jej sześciora bosonogimi służącymi, wprowadziła się ze swą maszyną do szycia i klatkami wypacykowanych ptaków do zapuszczonej komórki, gdzie upał nigdy nie dochodził i skąd łatwiej było o szóstą płoszyć moskity, siadała do szycia naprzeciwko jałowego światła dużego dziedzińca i zdrojowego powietrza tamaryndowców, podczas gdy kury błąkały się po salonach, a wartownicy czatowali na pokojówki w pustych izbach, siadała do malowania wilg wodnymi farbami i lamentów przed służącymi nad nieszczęściem mojego syna, którego piechota morska trzyma pod kluczem w pałacu prezydenckim, tak daleko od matki, proszę pana, bez troskliwej żony,

która by się nim zaopiekowała o północy, gdy go obudził jakiś ból, i do tego wystawili go do wiatru z tą posadą prezydenta republiki za tę nędzną pensję trzystu pesos

54

miesięcznie, biedne dziecko. Wiedziała dobrze, co mówi, gdyż odwiedzał ją codziennie, gdy miasto brodziło w mule sjesty, przynosił jej owoce w cukrze, które tak bardzo lubiła, i korzystał z okazji, by zapłakać przed nią nad swym gorzkim losem marionetki piechoty morskiej, opowiadał, że musi ukrywać w serwetkach pomarańcze w cukrze i figi w syropie, bo władze okupacyjne mają rachmistrzów, którzy w swych księgach zapisują nawet resztki z jego posiłków, żalił się, że onegdaj przyszedł do pałacu prezydenckiego dowódca pancernika z takimi jakby astronomami lądu stałego, co to wszystko zmierzili i nawet nie raczyli przywitać się ze mną, tylko przesuwali mi nad głową taśmę mierniczą, robiąc swoje obliczenia po angielsku, i krzyczeli przez tłumacza, odsuń się stamtąd, i odsuwał się, nie zasłaniaj światła, nie zasłaniał, stań gdzieś, gdzie nie będziesz przeszkadzać, kurwa, a on nie wiedział, gdzie ma stanąć, żeby nie przeszkadzać, bo byli to mierniczowie mierzący nawet rozmiar światła padającego z balkonów, ale nie to było najgorsze, matko, lecz to, że wyrzucili mu na ulicę dwie ostatnie rachityczne konkubiny, jakie mu pozostały, bo admirał powiedział, że nie były godne prezydenta, a on tak bardzo odczuwał brak kobiet, iż czasami wieczorem udawał, że opuszcza podmiejską rezydencję, jego matka słyszała jednak, jak ugania się za służącymi w mrokach sypialni, i tak wielkie było jej współczucie, że płoszyła ptaki w klatkach, by nikt nie spostrzegł udręki jej syna, zmuszała je do śpiewu, by sąsiedzi nie usłyszeli odgłosów napaści, hańby szamotani-ny, tłumionych pogróżek, że proszę się uspokoić, panie generale, bo powiem pańskiej mamie, i wyrывała wilgi z drzemki, zmuszając je do zdzierania gardeł, by nikt nie słyszał jego okrutnego sapania napalonego męża, jego klęski nierozebranego kochanka, jego psiego skowytu,

55

osamotnionych łez zapadających w noc, jakby gnijący z żalości do wtóru gdaczącym w pokojach kurom, przerażonym tym pogotowiem miłosnym w powietrzu z wodnego szkła, w sierpniu bez boga godziny trzeciej po południu, moje biedne dziecko. Ten stan deficytu miał trwać do czasu opuszczenia kraju przez okupantów, wypłoszonych przez zarazę na długo przed upływem terminu zakończenia inwazji; rozłożyli oni na numerowane części i zapakowali do drewnianych skrzyń rezydencje oficerów, wyrwali w całości niebieskie pastwiska i wywieźli zwinięte niczym dywany, osłonili ceratą cysterny wody sterylnej dostarczanej im z kraju, by nie zżarły ich wnętrzości robaki naszych rzek, zdemontowali swe białe szpitale, wysadzili dynamitem koszary, by nikt nie wiedział, jak były zbudowane, pozostawili przy redzie stary pancernik, po którego pokładzie przechadzało się w czerwcowe

noce widmo admirała zaginionego podczas burzy, ale, przed wywiezieniem w swych latających pociągach tego raju przenośnych wojen, udekorowali go medalem dobrośiedztwa, oddali mu honory należne szefowi państwa i powiedzieli głośno, żeby wszyscy słyszeli, że zostawiamy cię tu samego z twoim burdelem czarnuchów, zobaczymy, jak sobie bez nas poradzisz, ale poszli sobie, matko, odjechali, kurwa, i po raz pierwszy, już nie jako czołobitny wół okupacyjny, wszedł na schody, rządząc osobiście i żywym słowem, w tumultie próśb, by zniósł zakaz walki kogutów, a on przystał na to, zgoda, by zezwolił ponownie na puszczanie latawców i tyle innych rozrywek biedaków, których zakazała piechota morska, a on przystał na to, zgoda, tak pewny, że jest panem całej swojej władzy, iż zmienił barwy sztandaru i zastąpił godło z czapką frygijską godłem z pokonanym smokiem agresora, bo nareszcie jesteśmy psami własnego losu, matko, niech żyje zaraza,

56

Bendición Alvarado na całe życie miała zapamiętać owe lęki władzy i inne dawniejsze i bardziej gorzkie lęki nędzy, nigdy ich jednak nie wspominała z taką przykrością jak po farsie śmierci, kiedy brodził w bagnie dobrobytu, gdy ona tymczasem nadal rozwodziła swe żale przed każdym, kto zechciał jej słuchać, że nie warto być mamą prezydenta i nie mieć na świecie nic, tylko tę smutną maszynę do szycia, żaliła się, że wy wszyscy tutaj widzicie go tylko w jego karocy, w złotych szamerunkach, a tymczasem mój biedny syn nie ma gdzie złożyć po śmierci swych kości po tylu, tylu latach służby ojczyźnie, proszę pana, to niesprawiedliwe, i żaliła się nie z przyzwyczajenia czy łatwowierności, lecz dlatego, że on już nie czynił z niej świadka swych porażek i nie spieszył do niej jak przedtem, by dzielić się z nią największymi sekretami władzy, i tak się zmienił od czasów piechoty morskiej, że Bendición Alvarado wydawało się, że był starszy od niej, że pozostawił ją w czasie za sobą, czuła, jak płacze się w słowach, gmatwały mu się realne wydarzenia, czasem ślinił się i zdjęła ją litość, która nie była już litością matki, lecz córki, gdy widziała go, jak zjawiał się w podmiejskiej rezydencji obładowany paczkami, jak rozpaczliwie próbował otworzyć wszystkie naraz, zębami rozrywał sznury konopne, łamał sobie paznokcie o supły, i zanim zdążyła odnaleźć nożyczki w koszyku z przyborami do szycia, wyciągał wszystko pełnymi garściami z gąszczu worów, dusząc się w zniecierpliwieniu swego pragnienia, zobaczcie, jakie fajne duperele, matko, mówił, żywa syrena w akwarium, nakręcany anioł naturalnej wielkości, który fruwał po pokojach, wybijając godziny dzwonkiem, ślimak gigant, w którego wnętrzu słycać nie fale morskie i wiatry, ale melodię hymnu narodowego, ale fajne duperele, matko, widzicie, jak to dobrze nie być biednym, mówił, ale ona

57

nie podzielała jego entuzjazmu, zaczynała jedynie obgryzać pędzelki do malowania wilg, aby syn nie zauważył, że

serce pęka jej z żalości, i przywoływała przeszłość, której nikt nie znał tak jak ona, wspominając, ile kosztowało go utrzymanie się w siodle, i to nie w obecnych czasach proszę pana, nie w tych łatwych czasach kiedy władza była czymś namacalnym i jedynym, szklaną kuleczką w dłoni, jak to on mówił, ale wtedy, kiedy była uciekającym piskorzem płynącym bez Boga i prawa w czynszowym pałacu, prześladowana przez żarloczną sforę ostatnich wodzów wojny federalnej, którzy pomogli mi obalić generała i poetę Lautara Muñoza, światłego despotę, niech Bóg ma go w swej świętej opiece z jego mszałami Swetoniusza Po łacinie i z jego czterdziestoma dwoma końmi czystej krwi, ale w zamian za swe zbrojne usługi przywłaszczyli sobie hacjendy i bydło dawnych, wygnanych panów i podzielili między siebie kraj na autonomiczne prowincje, wysuwając niezbity argument, że to jest właśnie federalizm, panie generale, za jego ideały przelewaliśmy naszą krew, i byli absolutnymi królami na swych ziemiach, ze swymi własnymi prawami, własnymi świętami narodowymi, własnymi papierowymi pieniędzmi, podpisywanymi przez nich samych, własnymi galowymi mundurami, z szablami inkrustowanymi szlachetnymi kamieniami z dolmanami ze złotymi haftkami i trój graniastymi kapeluszami z pióropuszcami z pawich ogonów, skopiowanymi ze starych rycin wicekrólów ojczyzny przed jego nastaniem, i byli nieokrzesani i sentymentalni, proszę pana, wchodzili do pałacu prezydenckiego główną bramą bez żadnego pozwolenia, gdyż ojczyzna należy do wszystkich, panie generale, temu poświęciliśmy nasze życie, rozbijali się w sali balowej ze swymi poronionymi serajami i hodowanymi zwierzętami z kontrybucji pokoju, które ściągali

58

z wszystkich miejsc znajdujących się na trasie ich przemarszu, by nigdy nie zabrakło im jedzenia, wozili z sobą osobistą eskortę barbarzyńskich najemników, którzy miast wdziawać buty, owijali swoje stopy w resztki szmat i ledwo potrafili sklecić zdanie w ludzkim języku, mieli za to głowę do szachrowania w grze w kości, byli okrutni i zręczni w posługiwaniu się bronią, siedziba władzy wydawała się więc obozowiskiem Cyganów, proszę pana, miała gęsty zapach wzbierającej rzeki, oficerowie Sztabu Generalnego zabrali do swych hacjend państwowe meble, grali w domino o rządowe przywileje, obojętni na błagania jego matki, Bendición Alvarado, usiłującej bez chwili spoczynku wymieść tyle jarmarcznego śmiecia, usiłującej zaprowadzić bodaj trochę porządku w tym pogromie, była bowiem jedyną osobą próbującą oprzeć się nieuchronnemu upodleniu wyczynów tych liberałów, jedynie ona spróbowała wypędzić ich miotłą, gdy zobaczyła pałac zszargany przez tych bezecnych potępieńców, co awanturowali się o fotele najwyższego dowództwa w karcianych utarczkach, widziała ich dopuszczających się za fortepianem grzechu sodomii, widziała ich srających w alabastrowe amfory, mimo że uprzedziła ich, że nie, proszę pana, to nie są

polowe sedesy, tylko amfory wydobyte z mórz Pantelarii, ale oni upierali się, że to sracze dla bogatych, proszę pana, nie było w ludzkiej mocy przekonać ich i nie było w mocy boskiej zapobiec obecności generała Adriano Guzmána na przyjęciu dyplomatycznym, wydanym z okazji dziesiątej rocznicy mojego dojścia do władzy, choć nikt nie potrafił wyobrazić sobie, co nas czeka, gdy pojawił się w sali balowej w prostym mundurze z białego lnu, wybranym na tę okazję, zjawił się nieuzbrojony, tak jak mi zaręczył żołnierskim słowem, w eskorcie francuskich dezertersów ubranych po cywilnemu i dźwigających kwiaty z Cayenne,

59
które generał Adriano Guzman rozdał żonom ambasadorów i ministrów, przedtem prosząc wytwornie o zgodę mężów, gdyż jego najemnicy powiedzieli mu, że to należy do dobrego tonu w Wersalu, i tak też z rzadką przemyślnością rycerską zrobił, później zaś zaszył się w kącie na uboczu zabawy, uważnie przyglądając się tańcom i z aprobatą przytakując głową, bardzo dobrze, mówił, dobrze tańczą te europejskie wypierdki, mówił, każdy robi, co może, mówił, tak zapomniany w swym fotelu, iż tylko ja zauważyłem, że jeden z jego adiutantów co jakiś czas dolewał mu szampana do kieliszka i że w miarę upływu godzin stawał się bardziej niż zazwyczaj napięty i czerwony od nabiegłej krwi, odpinając kolejno guziki przepoconej kurtki, ilekroć napór powstrzymywanego beknięcia dochodził mu aż do oczu, szlochał z sennaści, o Boże, i raptem, w czasie przerwy w tańcach, odpiąwszy właśnie ostatni guzik przy kurtce i odpinając guziki rozporoka, wstał tak rozbebeszony, kropiąc wyperfumowane dekolty żon ambasadorów i ministrów swym zwiędłym, sępiim kropidłem, oblewał kwaśnym moczem wojennego pijaka delikatne muślinowe piersi, staniki ze złotych brokatów, wachlarze strusich piór, śpiewając zobojętniały pośród paniki, jam twój kochanek wzgardzony, co róż twych polewa ogrody, och, róże cudnej urody, śpiewał, i nie znalazł się nikt, kto odważyłby się go powstrzymać, nawet on, gdyż miałem większą władzę niż każdy z nich, ale o wiele mniejszą niż dwóch, jeśli skumali się ze sobą, jeszcze nieświadomy, że on widział innych takimi, jakimi są, podczas gdy oni nigdy nie zdołali przejrzeć skrytych myśli granitowego starca, którego spokój był ledwie porównywalny z jego daleko idącą ostrożnością i nieograniczoną skłonnością do wyczekiwania, widzieliśmy tylko posępne oczy, twarde usta, dłoń zawstydzonej dziewczycy,

60
która nawet nie zadrżała na rękojeści szabli w owo straszliwe popołudnie, gdy przyszli do niego z wieścią, panie generale, że komendant Narciso López, nieprzytomny od marihuany i anyżówki, zasadził się w ustępie na młodego dragona z gwardii prezydenckiej, podniecił go z wprawą roznamiętnionej kobiety, a później zmusił, wsadź mi go całego, kurwa, to rozkaz, ze wszystkim, kochany, i twoje złote jajeczka też, płacząc z bólu, płacząc

z wściekłości, póki nie doszedł do siebie, rzygając z poniżenia na czworakach, z głową zwieszoną nad śmierzdzącymi oparami klozetu, i wtedy uniósł w powietrze umundurowanego adonisa, i przybił go włócznią, niczym motyla, do wiosennego gobelinu w sali audiencyjnej, i nikt nie śmiał przez trzy dni zdjąć go stamtąd, biedaczysko, ponieważ on zajmował się jedynie czuwaniem, by jego dawni towarzysze broni nie spiskowali, nie mieszał się jednak w ich życie, był bowiem przekonany, że wykończą się nawzajem, zanim przyszedł do niego z wieścią, że generała Jesucristo Sancheza musieli, panie generale, zatłuc krzesłami członkowie jego eskorty, kiedy dostał ataku wścieklizny po tym, jak go kot ugryzł, biedaczysko, na chwilę zaledwie oderwał swą uwagę od partii domina, kiedy na ucho szepnięto mu wieść, że generał Lotario Serano utopił się, panie generale, bo gdy przejeżdżał w bród rzekę, nagle padł pod nim koń, biedaczysko, ledwie też mrugnął powiekami, gdy przyszedł do niego z wieścią, że generał Narciso López włożył sobie, panie generale, łaskę dynamitu w dupę i wysadził się, nie mogąc znieść hańby swej nieposkromionej pederastii, a on mówił, biedaczysko, jakby nie miał nic wspólnego z tymi haniebnymi śmierciami, i dla wszystkich wydawał ten sam dekret o pośmiertnych honorach, ogłaszał ich męczennikami, poległymi w czasie pełnienia obowiązków służbowych,

61

i sprawiał im okazałe pogrzeby, chowając ich w jednym szeregu w panteonie narodowym, gdyż ojczyzna bez bohaterów to jak dom bez drzwi, mówił, i kiedy w kraju żyło już tylko sześciu generałów, weteranów, zaprosił ich na swoje urodziny w gronie towarzyszy do pałacu prezydenckiego, wszystkich razem, proszę pana, nawet generała Jacinta Algarabię, najbardziej zagadkowego i najchytrzejszego który chlubił się tym, iż ma syna z własną matką, i pił tylko alkohol drzewny z prochem, sami w sali bankietowej, we własnym gronie, jak za dawnych dobrych czasów, panie generale, wszyscy nieuzbrojeni, niby mleczni bracia, za to z eskortami stłoczonymi w sąsiedniej sali, wszyscy obładowani wspaniałymi prezentami dla jedyne go z nas, który potrafił zrozumieć nas wszystkich, mówili, chcąc powiedzieć, że był jedynym, który potrafił nimi manewrować, jedynym, który zdołał wyrwać z dalekiej nory na płaskowyżu legendarnego generała Saturno bantosa, Indianina czystej krwi, niezbyt pewnego który chodził zawsze tak, jak mnie, kurwa, mać zrodziła, bosymi nogami po ziemi, panie generale, bo my, twardzi mężczyźni, nie mamy czym oddychać, jeśli nie czujemy ziemi, zjawił się okryty kocem wymalowanym w dziwne zwierzęta o intensywnych kolorach, przybył sam, tak jak chodził zawsze bez eskorty, poprzedzany ponurą sławą, uzbrojony jedynie w maczetę do ścinania trzciny, odmawiając wyciągnięcia jej zza pasa, bo nie była to broń tylko narzędzie pracy, i przyniósł mi w prezencie orła ułożonego do walk na ludzkich wojnach, i przyniósł harfę, matko, święty

instrument oddalający burze i przyspieszający zbiory swymi dźwiękami, harfę, której struny generał Saturno Santos pieścił muzyką serca, budząc w nas wszystkich tęsknotę za wojennymi nocami trwogi, matko poruszył nas wojenny zapach psiego parchu, wstrząsnęła w głębi

62
 duszy wojenna piosenka o złotej łodzi, która powinna nas prowadzić, śpiewali ją chórem z całej duszy, matko, od mostu wróciłem skąpany we łzach cały, śpiewali, zjadłszy indyka ze śliwkami i pół prosiaka i każdy pił z własnej butelki, każdy własny alkohol, wszyscy, prócz niego i generała Saturno Santosa, bo oni nigdy w swoim życiu kropli alkoholu do ust nie wzięli, nie palili i nie jedli nic ponad to, co niezbędne do życia, więc wszyscy zaśpiewali chórem na moją cześć piosenkę o porankach, którą śpiewał król Dawid, zaśpiewali, płacząc, wszystkie piosenki urodzinowe śpiewane przed wpakowaniem nam przez konsula Hanemanna tej nowości, panie generale, fonografu z tubą i cylindrem happy birthday, śpiewali w półśpiący, w półżywi z pijaństwa, nie przejmując się już więcej milczącym starcem, który z wybicciem dwunastej odczepił lampę i przed zaśnięciem udał się na obchód domu, zgodnie ze swym koszarowym przyzwyczajeniem, i wracając przez salę bankietową zobaczył po raz ostatni sześciu generałów stłoczonych na podłodze, zobaczył ich obejmujących się, bezwładnych i spokojnych, pod czujnym okiem pięciu eskort pilnujących się wzajemnie, gdyż nawet obejmując się i śpiąc, bali się jedni drugich niemal tak, jak każdy z nich bał się jego, i tak jak on bał się dwóch z nich, jeśli skumali się ze sobą, i zawiesił nad drzwiami lampę i zasunął trzy sztaby, trzy rygle i trzy zasuwę przy drzwiach swojej sypialni, i padł na podłogę, twarzą do ziemi, z prawym ramieniem zamiast poduszki pod głową, i w tejże chwili pałac zadrżał w swych posadach od zmasowanej eksplozji z broni wszystkich eskort, które wystrzeliły jednocześnie, raz, kurwa, żadnego odgłosu, żadnego skowytu, i jeszcze raz, kurwa, no i już, po ptakach, został tylko swąd prochu w ciszy świata, został tylko on, ocalony na zawsze z katastrofy władzy, kiedy zobaczył w malwach brzasku

63
 nowego dnia ordynansów na służbie brnących przez bagno krwi w sali bankietowej, zobaczył swoją matkę, Bendición Alvarado, wstrząśniętą, oszołomioną z trwogi na widok ścian wciąż ociekających krwią, choćby i tysiąc razy ścierali je wapnem i popiołem, proszę pana, na widok krwi wciąż spływającej z dywanów, choćbyśmy tydzień je wyżymali, i tym więcej potoków krwi spływało po korytarzach i urzędach, im bardziej rozpaczliwie starali się ją zmyć, zatrzeć rozmiary masakry ostatnich spadkobierców naszej wojny, którzy według oficjalnego komunikatu zostali wymordowani w napadzie szału przez własne eskorty, ich ciała zaś, owinięte w narodowe sztandary, powiększyły panteon wielkich po ceremonii żałobnej godnej biskupa, gdyż nikt z eskorty nie uszedł żywy z krwawej matni,

nikt, panie generale, prócz generała Saturno Santosa, nad którym czuwały pancerze jego szkaplerzy i który znał indiańskie sekrety, żeby przemieniać się, w co chciał, psiakrew, mógł przeistoczyć się w pancernika albo w staw, panie generale, mógł przeistoczyć się w grom, a on dobrze wiedział, że to prawda, gdyż najprzebieglejsi tropiciele od ostatniego Bożego Narodzenia zgubili jego ślad, najlepiej wytresowane psy gończe, szukając go, pędziły w odwrotnym kierunku, zobaczył go wcielonego w króla kier w kartach swych wrózek i żył, śpiąc w dzień i podróżując nocą wąwozami ziemi i wody, zostawiając jednak za sobą ślad modlitw, które odbierały rozum jego prześladowcom i osłabiały wolę wrogów, on wszakże nie zrezygnował z poszukiwań w żadnej chwili dnia i nocy przez lata, wiele lat i jeszcze więcej lat, póki nie zobaczył przez okienko prezydenckiego pociągu tłumy mężczyzn i kobiet z dziećmi, zwierzętami i kuchennymi gratami, jak tyle innych tłumów, które widział na tyłach walczących wojsk, zobaczył ich, jak ciągnęli w deszczu, taszcząc swych chorych

64

w hamakach zawieszonych na palu, za bardzo bladym mężczyzną w tunice z konopnego płótna, który twierdzi, że jest wysłannikiem niebios, panie generale, a on uderzył się w czoło i powiedział sobie, tu jest, kurwa, i tu był generał Saturno Santos, zebrząc u pielgrzymów o litość czarami swej harfy o porwanych strunach, wynędzniały i posępny w zniszczonym filcowym kapeluszu i postrzępionym ponczo, ale nawet człowieka w takim stanie godnym litości nie tak łatwo zabić, jak sądził, bo ten ściał maczetą głowy trzem jego najlepszym ludziom, stawiał czoło najokrutniejszym z taką odwagą i taką zręcznością, że on rozkazał zatrzymać pociąg przy smutnym cmentarzu płaskowyżu, gdzie wysłannik głosił swe kazania, i gdy ludzie z gwardii prezydenckiej wyskoczyli z wagonu, pomalowanego w barwy narodowe, z bronią gotową do strzału, tłum rzucił się do ucieczki, nikt nie pozostał prócz generała Saturno Santosa obok mitycznej harfy, z dłonią zaciśniętą na rękojeści maczety i jakby porażonego wizją śmiertelnego wroga, który ukazał się na stopniach wagonu w płóciennym mundurze, bez dystynkcji, bez broni, tak bardzo zestarzały i daleki, jakbyśmy sto lat się nie widzieli, panie generale, wydał mi się zmęczony i samotny, ze skórą żółtawą od chorej wątroby i żółzawionymi oczyma, ale otaczał go siny blask człowieka, który nie tylko był panem swojej władzy, ale i władzy wydartej swoim zmarłym, przygotowałem się więc na śmierć bez walki, wydało mi się bowiem, że nie ma co stawiać oporu starcowi, który zjawiał się z tak daleka bez żadnego powodu i żadnych zasług, prócz wilczego głodu władzy, ale on pokazał mu swą dłoń płaszczki i powiedział, niech Bóg ma cię w swojej opiece, chłopie, ojczyzna cię potrzebuje, gdyż wiedział od początku, że jedyną bronią, zdolną pokonać niezwyciężonego, jest przyjaźń, i generał

65

Saturno Santos ucałował ziemię, po której on stąpał, i zaczął błagać o łaskę, bym mógł służyć, jak pan rozkaże, panie generale, dopóki sił starczy w rękach, by zmusić maczetę do śpiewu, a on przystał, zgoda, mianował go osobistą ochroną pod warunkiem, byś nigdy nie stawał za moimi plecami, przyjął do spółki na partnera w domino i we dwójkę oskubali na cztery ręce wielu despotów w nieszczęściu, brał bosego do prezydenckiej karocy i wiózł na dyplomatyczne przyjęcia tego wojownika z oddechem jaguara, który przerażał psy i przyprawiał o zawrót głowy żony ambasadorów, kazał mu spać na progu drzwi do swojej sypialni, by oddalić nieco nocne lęki, kiedy życie stało się tak niebezpieczne, iż drżał na myśl o pozostaniu wśród ludzi ze snów, przez wiele lat trzymał go na dziesięć piędzi od swego zaufania, póki kwas moczowy nie wypalił w tamtym siły zdolnej zmusić maczetę do śpiewu i póki nie poprosił go o przysługę, żeby pan sam mnie zabił, panie generale, bo nie chcę, by ktoś inny miał przyjemność zabicia mnie bezprawnie, ale on wysłał go na spokojną śmierć, z rentą zasłużonego odpoczynku i medalem uznania, w zacisze płaskowyżu koniokradów, gdzie się urodził, i nie mógł powstrzymać łez, gdy generał Saturno Santos przełamał wstyd, by powiedzieć mu głosem zdławionym od płaczu, że sam pan widzi, panie generale, nawet najtwardszym miękną w końcu jaja, psiamac. Nikt więc nie rozumiał lepiej od Bendición Alvarado chłopięcej radości, z jaką odbijał sobie czarne lata, i lekkomyślności, z jaką trwonił swe rządowe dochody, by mieć na starość to, czego brakowało mu w dzieciństwie, ale złorzeczyła, że nadużywają jego niedojrzałej łatwowierności, sprzedając mu te zagraniczne śmieci, wcale nie takie tanie i nie wymagające tyle sprytu, co podrabiane ptaki, których sprzedawała raptem ze cztery, to

66
bardzo dobrze, że tak korzystasz, mówiła, ale pomyśl o przyszłości, bo nie chcę cię widzieć proszącego z kapeluszem o miłosierdzie w drzwiach jakiegoś kościoła, jeśli, nie daj Bóg, wcześniej czy później wysadzą cię z siodła, w którym siedzisz, gdybyś przynajmniej umiał śpiewać albo gdybyś był arcybiskupem czy żeglarzem, ale ty jesteś tylko generałem, więc do niczego innego się nie nadajesz, możesz tylko rządzić, i radziła mu, zakop w bezpiecznym miejscu pieniądze, które ci zostają z rządzenia, w miejscu, gdzie nie znalazłby ich nikt prócz ciebie, gdyby trzeba było szybko wziąć nogi za pas, jak ci biedni, niczyi prezydenci, którzy przeżuwali zapomnienie, żebrząc o pożegnalne syreny statków w nadmorskim domu, przejrzyj się w tym zwierciadle, mówiła mu, ale on nie zwracał na nią uwagi, kneblując jej niepokój magicznym zaklęciem, bądź spokojna, matko, ci ludzie mnie kochają, Bendición Alvarado przez wiele lat miała narzekać na ubóstwo, drąc koty ze służącymi o rachunki z zakupów, nawet głodząc się dla oszczędności, i nikogo nie stać było na odwagę, by wyjawic jej, że jest jedną z najbogatszych kobiet na ziemi,

że wszystkie swoje zyski z rządowych transakcji zapisywał na jej nazwisko, że była nie tylko właścicielką niezmiernych włości i nieprzeliczonych stad, ale również lokalnych tramwajów, poczty i telegrafu, i wszystkich wód ojczystych, każdy więc statek płynący dopływami amazońskimi czy morzami terytorialnymi musiał jej płacić myto, o którym nie wiedziała aż do śmierci, tak jak przez wiele lat nie wiedziała, że jej syn nie był taką ofiarą, jak przypuszczała, gdy zjawiał się w podmiejskiej rezydencji, zachłystując się czarem zabawek starości, gdyż prócz podatku osobistego, ściąganego w całym kraju od każdej ubitej sztuki bydła, prócz opłaty za swe względy i prezentów nie bezinteresownych, które posyłał mu jego zwolennicy, sam

67

wykonywał i od dłuższego czasu eksploatował niezawodny system wygrywania głównego losu na loterii. Było to w czasach, które nastąpiły po jego fałszywej śmierci, czasach hałasu, proszę pana, nazwanych tak, nie, jak wielu z nas sądziło, nie doczekawszy się nigdy całkowicie pewnego wyjaśnienia, od podziemnego huku, który rozległ się w całym kraju w noc męczennika, świętego Herakliusza, ale z powodu nieustannego hałasu podjętych robót, sądząc po samych fundamentach, zapowiadających się na największe na świecie, a mimo to nigdy niedoprowadzonych do końca, w epoce spokojnej, kiedy to zwoływał Radę Ministrów w godzinach swego poobiedniego spoczynku w podmiejskiej rezydencji, kładł się w hamaku, wachlując się kapeluszem pod słodkimi gałęziami tamaryndowców, słuchał z zamkniętymi oczyma wygadanych doktorów o wypomadowanych wąsach, którzy zasiadali do debaty wokół hamaka, bladzi od upału, wbici w swe płócienne surduty i celuloidowe kołnierzyki, słuchał cywilnych ministrów, tak przez niego pogardzanych, a jednak dla wygody ponownie mianowanych, dyskutujących o zagadnieniach państwowych pośród wrzawy kogutów uganiających się na podwórzu za kurami, nieprzerwanego terkotu cykad i bezsennego gramofonu, który w sąsiedztwie śpiewał piosenkę, Zuzanno, przyjdź, Zuzanno, nagle milkł, szła, generał zasnął, ale on ryczał, nie otwierając oczu, nie przestając chrapać, nie śpię, kutasy, kontynuujcie, kontynuowali, póki po omacku nie zrywał pajęczyny sjesty i nie podsumowywał, że w tej rzygowinie jedynym, który ma rację, jest mój kum, minister zdrowia, kurwa, pryskajcie, już po ptakach, pryskali, rozmawiał z osobistymi doradcami, ciągnąc ich z kąta w kąt, nie przerywając w marszu jedzenia, z talerzem w jednej, a łyżką w drugiej ręce, zegnał ich na schodach z zimną obojętnością, róbcie,

68

panowie, co chcecie, bo ostatecznie to ja rządę, a co, kurwa, przeszły mu fanaberie rozpytywania się, czy go kochają, czy go nie kochają, kurwa, przecinał wstęgi, pojawiał się publicznie, wystawiając całe swe ciało na ryzyko władzy, tak jak nie robił tego w spokojniejszych czasach, a co, kurwa, rozgrywał niekończące się partie

domina z moim przyjacielem na całe życie, generałem Rodrigiem de Aguilarem, i z moim kumem, ministrem zdrowia, jedynymi ufającymi mu na tyle, by poprosić go o uwolnienie więźnia lub ułaskawienie skazanego na śmierć, i jedynymi, którzy odważyli się ubłagać go, by przyjął na specjalnej audiencji królową piękności biedaków, niewiarygodną istotę z tego bagna ńędzy, zwanego przez nas dzielnicą psych bójek, bo wszystkie psy w dzielnicy walczyły na ulicy od wielu lat, niezmordowanie, bez chwili przerwy, morderczy bastion, gdzie nie zapędzały się patrole gwardii narodowej, gdyż rozebrano by ich do naga, zdemontowano wozy do najmniejszej części jednym, kuglarskim ruchem ręki, gdzie biedne, zabłąkane osły, wchodząc na ulicę, opuszczały ją na drugim końcu w worku kości, gdzie jedzono pieczone z dzieci bogaczy, panie generale, robiono z nich kiełbasy sprzedawane później na targu, proszę sobie wyobrazić, więc tam się urodziła i tam mieszkała Manuela Sanchez mojego nieszczęścia, nagietek na gnoju, której nieprawdopodobna uroda zadziwiła całą ojczyznę, panie generale, i poczuł się tak zaintrygowany objawieniem, że jeśli rzeczywiście jest tak, jak panowie mówią, to nie tylko przyjmę ją na specjalnej audiencji, ale i zatańczę z nią pierwszego walca, a co, kurwa, niech opiszą to w gazetach, rozkazał, biedacy uwielbiają takie duperele. Mimo to nocą, po audiencji, grając w domino, wyznał generałowi Rodrigowi de Aguilarowi z domieszką rozgoryczenia, że dla królowej biedaków szkoda było

69

nawet tego walca, że była równie pospolita jak tyle innych Manueli Sanchez z jej dzielnicy, w tej swojej sukni nimfy z muślinowymi falbankami, w złożonym diademie, ze sztuczną biżuterią i z różą w dłoni, pod nadzorem matki, która pilnowała jej, jakby była ze złota, ofiarował jej więc wszystko, czego sobie zażyczyła, czyli niewiele, bo tylko światło elektryczne i bieżącą wodę dla dzielnicy psych bójek, przestrzegł jednak, że po raz ostatni przyjmuje taką misję po prośbie, kurwa, z biedakami więcej nie rozmawiam, powiedział i nie kończąc partii, trzasnął drzwiami odszedł, usłyszał metalowe bicie godziny ósmej, zadał krowom paszę w obrokach, kazał dorzucić łajna do ognisk, obszedł cały dom, posilając się w marszu, z talerza trzymanego w ręku jadł mięso duszone z fasolą, biały ryż i plasterki zielonego banana, przeliczył wartowników, od bramy wejściowej do sypialni byli w komplecie i na swoich miejscach, czternastu, zobaczył resztę swojej gwardii przybocznej grającej w domino na posterunku pierwszego dziedzińca, zobaczył trędowatych leżących wśród róż, paralityków na schodach, była dziewiąta, postawił na oknie talerz z niedojedzonym mięsem i kierując się na oslep znalazł się w bagiennym powietrzu baraków konkubin, śpiących po trzy ze swoimi wcześniakami w jednym łóżku, dosiadł tej sterty pachnącej wczorajszym obiadem, odepchnąwszy jakieś dwie głowy, potem sześć nóg i trzy ręce, nie zastanawiając się, czy kiedykolwiek

będzie wiedział, kto był kim, ani którą z nich była ta, co w końcu przygarnęła go, nie budząc się, nie śniąc o nim, nie wiedząc, do kogo należał głos mruczący sennie z innego łóżka, niech się pan tak nie śpieszy, generale, bo dzieci się przestraszą, wrócił do pałacu, sprawdził zamki dwudziestu trzech okien, rozpałił stopy łajna, co pięć metrów, od pierwszego westybulu po prywatne pokoje, poczuł zapach

70

dymu, przypomniał sobie niepewne, być może swoje, dzieciństwo, które wspominał jedynie w chwili, gdy ogniska zaczynały dymić, i natychmiast zapominał na zawsze, zawrócił, gasząc światła, od sypialni po westybul, i zakrywając płóciennymi zasłonkami klatki śpiących ptaków, przedtem policzywszy je, czterdzieści osiem, znów obszedł cały dom z lampą w ręku, zobaczył siebie samego, jednego po drugim, czternastu generałów przechodzących w lustrach z zapaloną lampą, była dziesiąta, wszystko w porządku, wrócił do sypialni gwardii prezydenckiej, zgasił im światło, dobranoc, panowie, zajrzał do biur na parterze, przedsionków, ubikacji, za aksamitne zasłony, pod stoły, nie było nikogo, wyjął pęk kluczy, rozpoznawanych przez niego wyłącznie dotykiem, mógł je rozpoznać wszystkie, zamknął biura, wszedł na piętro, przepatrując pokój za pokojem i zamykając drzwi na klucz, wyjął ze schowka za jednym z obrazów słoik pszczelego miodu i zjadł dwie łyżki przed zaśnięciem, pomyślał o swej śpiącej w podmiejskiej rezydencji matce, Bendición Alvarado, tkwiącej w senności pożegnań pomiędzy melisą a lebiodką, z ręką ptaszniczki, wyczerpanej malarki wilg, niczym zmarła matka leżąca na boku, dobrej nocy, matko, powiedział, dobrej nocy, synu, odpowiedziała mu przez sen Bendición Alvarado w podmiejskiej rezydencji, zawiesił przed swą sypialnią na haku lampę, którą zawsze na noc pozostawiał na drzwiach, wydawszy kategoryczny rozkaz, by nigdy jej nie gaszono, gdyż było to światło od nagłej ucieczki, wybiła jedenasta, obszedł dom po raz ostatni, po ciemku, w razie gdyby ktoś się tu przedostał, sądząc, że on śpi, zostawił ślad pyłu z gwiazdnej smugi złotej ostrogi w przelotnych brzaskach zielonych strumieni, w obracających się skrzydłach latarni; między dwoma błyskami światła zobaczył trędownatego, który

71

śpiąc szedł bez celu, przeciął mu drogę, przeprowadził go w mroku, nie dotykając, oświetlając mu drogę światłami swej czujności, położył w różach, znów przeliczył w ciemnościach wartowników, wrócił do sypialni, przechodząc obok okien, widział morze, takie samo w każdym oknie, Karaiby w kwietniu, nie zatrzymując się, spojrzął na nie dwadzieścia trzy razy, i zawsze było takie jak zawsze w kwietniu, niby złocone bagnisko, usłyszał dwunastą, z ostatnim uderzeniem katedralnych młotów poczuł skrecający straszliwy gwizd przepukliny, na świecie nie rozlegał się żaden inny dźwięk, on tylko był ojczyzną, zasunął trzy sztaby, trzy rygle, trzy zasuwę przy drzwiach sypialni,

wysiusiał się, siedząc na polowym sedesie, wysiusiał dwie krople, cztery krople, siedem parzących kropli, położył się twarzą do ziemi, zasnął na podłodze od razu, nie śnił, była za piętnaście trzecia, gdy obudził się mokry od potu, przerażony pewnością, że gdy spał, ktoś mu się przyglądał, ktoś, kto miał moc dotarcia tu bez odsuwania sztab, stój, kto idzie, zapytał, nie było nikogo, zamknął oczy, znów poczuł, że przyglądają mu się, otworzył oczy, by zobaczyć, wystraszony, i wtedy zobaczył, o kurwa, to była Manuela Sanchez, która chodziła po pokoju, nie odsunawszy rygli, gdyż mogła wchodzić z własnej woli, przenikając przez ściany, Manuelo Sanchez mojej złej godziny, w muślinowej sukni, z żarem róży w dłoniach i naturalnym zapachem lukrecji twego oddechu, powiedz, że to przywidzenie jest tylko przywidzeniem, mówił, powiedz, że to nie jesteś ty, powiedz, że to oszołomienie śmiertelne nie jest lukrecyjowym otępieniem twojego oddechu, ale to była ona, to była ona, to była jej róża, to był jej ciepły oddech, który przesycał swym zapachem powietrze sypialni niczym natrętny bas o władzy silniejszej i starszej niż oddech morza, Manuelo Sanchez mojej klęski, która nie byłaś

72

zapisana na liniach mojej dłoni ani w fusach mojej kawy, ani w wodach mojej śmierci, nie oddychaj moim oddechem, nie śnij moim snem, nie zajmuj ciemności tego pokoju, do którego nigdy nie weszła i nie wejdzie żadna kobieta, zgaś mi tę różę, skowytał, szukając na czworakach wyłącznika, a odnajdując Manuellę Sanchez mojego szaleństwa miast światła, kurwa, dlaczego muszę cię odnajdywać, jeśli cię nie zgubiłem, jeśli chcesz, weź sobie mój dom, całą ojczyznę z jej smokiem, ale pozwól mi zapalić światło, skorpionie moich nocy, Manuelo Sanchez mojej przepukliny, kurwa twoja mać, krzyknął, wierząc, że światło uwolni go od uroku, krzycząc, wziąć ją stąd, zabrać ją ode mnie, zrzucić ze skał z kotwicą u szyi, żeby nikt już nie cierpiał z powodu blasku jej róży, darł się po korytarzach z przerażenia, brodząc w mrocznych plackach łajna, oszołomiony pytał, co to się dzieje na tym świecie, już niedługo ósma, a wszyscy śpią w tym domu bandziorów, wstawajcie, skurwysyny, krzyczał, zapaliły się światła, zagrali pobudkę o trzeciej, powtórzyli ją w portowej twierdzy, w garnizonie San Jerónimo, w koszarach z głębi kraju, i była wrzawa przerażonej broni, róż, które rozwarły się, gdy do porannej rosy brakowało jeszcze dwóch godzin, lunatycznych konkubin trzepiących dywany w świetle gwiazd, odsłaniających klatki śpiących ptaków i w miejsce kwiatów ubiegłej nocy wystawiających niewyspane kwiaty z doniczek, i grup murarzy budujących w pośpiechu mury, by zdezorientować słoneczniki przyklejaniem słońc ze złoconego papieru do okiennych szyb, by nie dostrzeżono, że na niebie jeszcze była noc i była niedziela dwudziestego piątego w pałacu, a kwiecień na morzu i harmider Chińczyków w pralni, wyrzucających z łóżek tych, co jeszcze spali, by zabrać prześcieradła, ślepych

wróżbitów głoszących miłość, miłość tam, gdzie jej nie

73

było, występnych funkcjonariuszy znajdujących w szufladach archiwów kury znoszące już jajka poniedziałkowe, kiedy jeszcze były te wczorajsze, i był szum ogłupiałych tłumów i psie walki na posiedzeniach rządu, zwoływanych w trybie natychmiastowym, gdy tymczasem on torował sobie drogę, oślepiiony nagłym dniem wśród nieustraszonych pochlebców, którzy ogłaszali go pogromcą świtu, komendantem czasu i depozytariuszem światła, dopóki jeden z oficerów naczelnego dowództwa nie odważył się go zatrzymać w korytarzu i nie wyprężył się przed nim z wiadomością, panie generale, jest dopiero druga pięć, a nawet mówią, że trzecia pięć rano, panie generale, a on uderzył go w twarz na odlew okrutną wierzchnią stroną dłoni i zawył z całej przerażonej piersi, by usłyszano go na całym świecie, jest ósma, kurwa, ósma, powiedziałem, z Bożego rozkazu. Bendición Alvarado, widząc go, jak wchodzi do podmiejskiej rezydencji, zapytała, skąd przychodzisz, że masz taką minę, jakby cię tarantula ugryzła, co robisz z tą ręką na sercu, powiedziała mu, ale on padł na wiklinowy fotel, nie odpowiadając jej, oderwał rękę, znów o niej zapomniał, więc matka wycelowała w niego pędzelkiem do malowania wilg i zapytała zdziwiona, czy naprawdę wierzy, że jest Sercem Jezusowym z tymi mizernymi oczami i z tą ręką na piersi, a on schował ją zmieszany, gównu, matko, zatrzasnął drzwi, poszedł sobie, zaczął kręcić się po pałacu z rękoma w kieszeni, by samowolnie nie kładły się tam, gdzie nie powinny, przyglądał się deszczowi przez okno, zobaczył wodę, ślizgającą się na gwiazdach z cukierkowych sreberek i księżycach z posrebrzanego metalu, które przyklejono do szyb, by wyglądało na to, że jest ósma wieczorem o trzeciej po południu, zobaczył na dziedzińcu zziębniętych żołnierzy gwardii,

74

zobaczył smutne morze, deszcz Manueli Sanchez w twoim mieście bez niej, okrutnie pustą salę, odwrócone krzesła poustawiane na stołach, nieuleczalną samotność pierwszych mroków następnej ulotnej soboty, następnej nocy bez niej, kurwa, gdyby przynajmniej zabrali ode mnie ten taniec, który najbardziej mnie boli, westchnął, zawstydził się swego stanu, obmacał się po całym ciele, szukając dla swej błędnej ręki miejsca, które nie byłoby sercem, w końcu położył ją na uśmierzonym deszczem chorym jądrze, było takie samo, miało ten sam kształt, ten sam ciężar, bolało tak samo, ale było jeszcze okrutniejsze, tak jakby trzymał w dłoni własne skrwawione serce i dopiero wtedy zrozumiał to, co tylu ludzi z innych czasów mówiło mu, że serce to trzecie jajo, panie generale, kurwa, odszedł od okna, pokręcił się po sali audiencyjnej z nieuleczalnym lękiem wiecznego prezydenta, z wbitą w serce rybią ością, znalazł się w sali Rady Ministrów, jak zwykle słuchając, nic nie rozumiejąc,

nie słysząc, poddając się usypiającemu sprawozdaniu o sytuacji podatkowej, nagle coś zawisło w powietrzu, minister finansów zamilkł, pozostali patrzyli na niego przez szczeliny spękanego od bólu pancerza, zobaczył siebie bezbronno i osamotnionego na końcu orzechowego stołu, z drżącą twarzą, zaskoczony przez wszystkich w biały dzień w swym pożałowania godnym stanie dożywnotnego prezydenta z dłonią na sercu, czuł, jak wypala się w nim życie pod lodowatymi węglami oczu mojego kuma, ministra zdrowia, jubilersko przenikliwymi, które zdawały się badać go od środka, gdy on tymczasem bawił się breloczkiem złotego zegarka przy kamizelce, ostrożnie, powiedział ktoś, to chyba kolka, ale on położył swą syrenią rękę, stwardniała z wściekłości, na orzechowym stole, odzyskał kolory, plunął śmiercionośną

75

serią władczych słów, chcielibyście, żeby to była kolka, sukinsyny, kontynuujcie, kontynuowali, ale mówili, samych siebie nie słysząc, myśląc, że musiało mu się coś stać, skoro jest taki wściekły, szeptali o tym, rozniosła się plotka, wytykali go palcami, popatrzcie, jaki jest zamrtwiony, aż za serce musi się trzymać, rozkleił się, szeptali, rozprowadano, że kazał natychmiast wezwać ministra zdrowia, a ten zastał go z prawą ręką złożoną niczym barani udziec na orzechowym stole, i rozkazał mu, odetnijcie mi ją, kumie, czując poniżenie swego smutnego stanu prezydenta skapanego we łzach, ale minister odpowiedział mu, że nie, generale, tego rozkazu nie wypełnię, choćby kazał mnie pan rozstrzelać, powiedział mu, to kwestia uczciwości, generale, jestem mniej wart niż pańska ręka. Ta i wiele innych wersji o jego stanie krążyło coraz częściej, podczas gdy on odlewał w oborach mleko dla koszar, widząc, jak wznosi się w niebo środa popielcowa Manueli Sanchez, rozkazywał wypędzać trędowatych spośród róż, by nie śmierdziały róże twojej róży, szukał w pałacu ustronnych miejsc, by, przez nikogo nie słyszany, śpiewać twój pierwszy walc królowej, żebyś mnie nie zapomniała, śpiewał, żebyś wiedziała, że umrzesz, jeśli mnie zapomnisz, śpiewał, zanurzał się w trzęsawisko pokoi konkubin, próbując uśmierzyć tam swój niepokój, i po raz pierwszy w swym długim życiu niestałego kochanka puszczał wodze instynktom, bawił się w drobiazgi, wydobywał westchnienia z najpłochliwszych kobiet, raz i jeszcze raz, i doprowadzał w ciemnościach do zdziwionego śmiechu, nie wstyd panu, generale, w pana wieku, ale on zbyt dobrze wiedział, że tym pragnieniem oporu zwodził samego siebie, byleby zyskać na czasie, że każdy skok jego samotności, każde potknięcie jego oddechu nieuchronnie zbliżały go do kani-

76

kuły godziny drugiej nieuniknionego popołudnia, kiedy to poszedł błagać, klnąc się na Boga, o miłość Manueli Sanchez do pałacu śmieciarzy twojego okrutnego królestwa, twojej dzielnicy psich bójek, udał się tam ubrany po

cywilnemu, bez eskorty, w taksówce, która, strzelając z tłumika, przemknęła przez śmierdzące opary spalin miasta powalonego w letargu sjesty, wyminęła azjatycki harmider handlowego labiryntu, zobaczył olbrzymie morze Manueli Sanchez mojej zguby, z samotnym pelikanem na horyzoncie, zobaczył stare tramwaje, które zajeżdżają aż pod twój dom, i rozkazał, by wymieniono je na żółte tramwaje o matowych szybach z aksamitnym tronem dla Manueli Sanchez, zobaczył bezludne kąpieliska twoich nadmorskich niedziel i rozkazał, by ustawiono kabiny do przebierania się i chorągiewki w różnych kolorach, w zależności od kaprysów pogody, i stalową siatkę na plaży zarezerwowanej dla Manueli Sanchez, zobaczył wille z marmurowymi tarasami i zamyślane łąki czternastu rodzin wzbogaconych na jego łaskach, zobaczył jeszcze większą willę z wirującymi wodotryskami i witrażami w oknach balkonowych, gdzie chcę, byś mieszkała dla mnie, i wykwaterowali ją szturmem decydującym o losach świata, on zaś śnił na jawie, siedząc z tyłu w rozklekotanej taksówce, dopóki nie skończyła się morska bryza, nie skończyło się miasto i przez szyby nie wpadł szatański huk twojej dzielnicy psich bójek, gdzie znalazł się, nie dowierzając samemu sobie, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, zobacz, gdzie ja zaszedłem bez ciebie, dopomóż mi, ale nikt w tumultcie nie rozpoznał zrozpaczonych oczu, cienkich ust, wychudłej dłoni na piersi, głosu tego pradziadka, co wychylał się przez wybite szyby w ubraniu z białego lnu, w kapeluszu rządcy, który kręcił się, mówiąc jak przez sen, by zdobyć wiadomość, gdzie

77

mieszka Manuela Sanchez mojego wstydu, królowa biedaków, proszę pani, ta z różą w ręku, przestraszony, pytając, gdzie możesz mieszkać wśród tego kłębowiska dziko najeżonych kręgosłupów, diabelskich spojrzeń okrwawionych kłów, w smudze uciekającego wycia, z ogonem między łapami, w tej rzeźni psów, które w błocie ćwiartowały się jednym kłapięciem, gdzie mogę znaleźć zapach lukrecji twojego oddechu w tym nieustającym grzmocie głośników, gdzieś ty, kurwo, udręko mego serca, i pijaków wyrzuconych kopniakiem z knajpianych jatek, gdzie mogłaś się zgubić w niekończącej się zabawie samby i rumby, i marihuany, i lubczyków, i strasznej kiełbasy z głowizny, i nędznego grosza napiwku w ciągłych majakach mitycznego rajy Czarnego Adama i Juanita Trucupey, kurwa, który tu dom jest twoim domem w tym zamęcie łuszczących się ścian żółtych jak dynia, z framugami w barwach biskupich fioletów, z oknami papuziej zieleni, z przepierzeniami niebieskimi jak ług, ze słupkami różowymi różą w twojej dłoni, która teraz godzina, jeśli ci niegodziwcy nie znają moich rozkazów, że teraz ma być trzecia, a nie ósma wczorajszego wieczoru, jak im się wydaje w tym piekle, którą z tych kobiet jesteś, kiwających głową w pustych pokojach, rozkraczonych w fotelach na biegunach, wachlujących się spód-

nicami, szukając choćby odrobiny cienia między własnymi nogami, gdy on pytał przez lufciki, gdzie mieszka Manuela Sanchez mojej wściekłości, ta od sukni z piany ze lśniącymi diamentami i diademem z ciemnego złota, który on jej podarował w pierwszą rocznicę koronacji, już wiem, kto to jest, proszę pana, powiedział ktoś w tłumie, taka cycata z zadkiem jak pięciogroszówka, której wydaje się, że jest Bóg wie jakie чудо, tam mieszka, proszę pana, tam, w domu takim jak wszystkie, o krzyczących kolorach, ze

78
 świeżo rozmazanym śladem ptasiego świństwa na mozaikowym progu, w domu ubogim, tak niepasującym do Manueli Sanchez na tronie wicekrólów, iż trudno było uwierzyć, że to ten, ale to był ten, matko moja, Bendición Alvarado moich wnętrzności, użycz mi twojej siły, by wejść, matko, bo to był ten, dziesięć razy obszedł osiedle, póki nie odzyskał oddechu, zapukał do drzwi trzema uderzeniami zgiętych palców, które zdawały się trzema prośbami, czekał w skwarnym cieniu balkonu, nie wiedząc, czy cuchnące powietrze, którym oddycha, jest zaduchem nasłonecznionej werandy czy smrodem trwogi, czekał, nie myśląc nawet o swym własnym stanie, dopóki matka Manueli Sanchez nie wpuściła go w chłodny, pachnący rybimi odpadkami półmrok przestronnego i skromnego pokoju śpiącego domu, który był większy wewnątrz niż z zewnątrz, badawczo przyglądał się obszarowi swych cierpień ze skórzanego zydła, na którym usiadł, gdy matka Manueli Sanchez poszła ją budzić, zobaczył ściany z zaciekami starych deszczy, zniszczoną kanapę, dwa inne skórzane zydle, w kącie pianino bez strun, to wszystko, kurwa, tyle cierpień dla takich duperele, westchnął, kiedy matka Manueli Sanchez wróciła z koszykiem i siadła, by dziergać koronki, podczas gdy Manuela Sanchez ubierała się, czesała, wkładała swe najlepsze pantofelki, chcąc przyjąć z należną godnością nieoczekiwanego starca, który pytał zdziwiony, gdzie możesz być, Manuelo Sanchez mojego nieszczęścia, bo przychodzę cię odnaleźć i nie znajduję w tym domu żebraków, gdzie może być twój zapach lukrecji w tym smrodzie obiadowych odpadków, gdzie może być twoja róża, gdzie twoja miłość, wyciągnij mnie z lochu tych psich wątpliwości, wzdychał, gdy zobaczył ją, jak pojawia się w drzwiach niczym sen odbity w lustrze innego snu,

79
 w sukni z etaminy po parę groszy od jarda, z włosami upiętymi w pośpiechu grzebieniem, w zniszczonych pantofelkach, ale była najpiękniejszą i najdumniejszą kobietą na ziemi, z płonąca różą w dłoni, wizją tak oślepiającą, iż porażony zdołał zaledwie schylić nieco czoło, gdy przywitała go z uniesioną głową, niech Bóg ma w swojej opiece jego ekscelencję, i usiadła na kanapie naprzeciw niego, tam, gdzie nie docierały do niej cuchnące wyziewy jego potu, i wtedy odważyłam się spojrzeć mu w twarz po raz pierwszy, dwoma palcami obracając płomień róży, żeby

nie było widać po mnie strachu, przyjrzałam się bez litości ustom nietoperza, niemym oczom, które zdawały się patrzeć na mnie z dna stawu, nieowłosionej skórze, pokrytej ziemistymi guzłkami w otoczkach żółciowego tłuszczu, bardziej napiętej na prawej dłoni z pierścieniem prezydenckim, spoczywającej w znużeniu na kolanie, jego płóciennemu, brudnemu ubraniu, jakby w środku było puste, jego olbrzymim butom trupa, jego niewidzialnym myślom, ukrytej władzy, starcowi najstarszemu na ziemi, najbardziej znieawidzonemu w kraju, wzbudzającemu największy lęk i najmniej litości, który wachlował się kapeluszem rządcy, przyglądając mi się w milczeniu ze swojego drugiego brzegu, mój Boże, co za smutny człowiek, pomyślałam przestraszona, i zapytała bez współczucia, czym mogę służyć, ekscelencjo, a on odpowiedział z uroczystą miną, że przychodzę prosić tylko o jedno, by wasza wysokość raczyła mnie przyjąć. Odwiedzał ją całymi miesiącami, bez przerwy, we wszystkie dni w martwych godzinach upału, w czasie których zwykł odwiedzać swoją matkę, by służby bezpieczeństwa przypuszczają, że przebywa w podmiejskiej rezydencji, gdyż tylko on nie wiedział tego, o czym wiedzieli wszyscy, że wyborowi strzelcy generała Rodriga de Aguilara osłaniali

80

go przyczajeni na dachach, dezorganizowali ruch uliczny, kolbami karabinów opróżniali ulice, którymi miał przejść, trzymali je zamknięte, by zdawały się bezludne od drugiej do piątej, mieli rozkaz bezpardonowego strzelania, gdyby ktoś próbował wyjść na balkon, ale nawet najmniej ciekawscy znajdowali sposób, by w tej upalnej martwocie czyhać na błyskawiczny przejazd prezydenckiej limuzyny przemalowanej na taksówkę, ze starcem w cywilnej kryjówce garnituru z niewinnego płótna, widzieli jego sierocą bladość, jego twarz z niejednym świtem w oczach, z niejedną łzą skrycie wypłakaną, zobojętniałą wobec tego, co pomyśla o dłoni na piersiach, archaiczne, milczące zwierzę, zostawiające za sobą ślad urojeń, że popatrzcie, co się z niego zrobiło, sam z sobą już wytrzymać nie może, w powietrzu szklistym od upału zakazanych ulic, dopóki domysły o dziwnych chorobach nie zaczęły być tak liczne i głośne, że w końcu zderzyły się z prawdą, że on nie przebywał w domu swojej matki, lecz w mrocznym pokoju tajemnego ustronia Manueli Sanchez pod nieugiętą strażą jej matki, która ledwie oddychając, robiła na drutach, dla niej to bowiem kupował owe przemyślnie maszyny, tak zasmucające Bendición Alvarado, próbował ją uwieść tajemnicą igieł magnetycznych, świeżymi burzami stycznia w niewoli kwarcowych przyciskaczy do papieru, aparatami astronomów i aptekarzy, pirografami, manometrami, metronomami i żyroskopami, których nie przestawał kupować od każdego, kto mu je chciał sprzedać wbrew zdroworozsądkowym radom swojej matki, wbrew swemu żelaznemu skąpstwu, wyłącznie dla szczęścia radowania się nimi z Manuelą Sanchez, przykładał jej do ucha

muszę patriotyczną, z której dochodził nie szum morza, lecz marsze wojskowe gloryfikujące jego rządy, przybliżał płomyki zapalek do termometrów, żebyś zobaczyła, jak

81

podnosi się i opada rtęć uciskająca to, co czuję w głębi duszy, przyglądał się Manueli Sanchez, o nic jej nie prosząc, nie wyrażając swych zamiarów, jedynie obsypując ją w milczeniu tymi zwariowanymi prezentami, by za ich pośrednictwem powiedzieć to, czego sam nie potrafił powiedzieć, bo umiał tylko okazywać swe najskrytsze pragnienia widzialnymi symbolami swojej nadludzkiej władzy, jak w dniu urodzin Manueli Sanchez, kiedy poprosił ją, by otworzyła okno, i otworzyła je, i skamieniałam z przerażenia, widząc, co zrobili z mojej biednej dzielnicy psich bójek, zobaczyłam białe drewniane domy z moskitierami w oknach, ukwiecone tarasy, niebieskie pastwiska z wodotryskami wirujących strumieni, pawie, lodowaty wiatr owadobójczy, nikczemną reprodukcję dawnych rezydencji okupacyjnych oficerów, które zostały skopiowane w nocy, w milczeniu, psom ucięto głowy, wyrzucono z domów dawnych mieszkańców, bo nie mieli prawa być sąsiadami królowej, wysłano ich, by zgnili w innym gnojowisku, w ten sposób budując przez wiele potajemnych nocy nową dzielnicę Manueli Sanchez, żebyś ją zobaczyła z twojego okna w dniu twoich urodzin, oto ona, królowo, żebyś dożyła wielu szczęśliwych lat, bo chciał zobaczyć, czy te popisy władzy zdołają zmiękczyć twoje dworne, acz nieustępliwe obejście, ekscelencjo, proszę zanedo się nie zbliżać, bo tam jest mama z kluczami do mojej czci, on zaś dusił się pożądaniem, dławił wściekłość, siorbał powolnymi łykami dziadka litościwe soki ze świeżych owoców, które wyciskała mu, by napić spragnionego, wytrzymywał lodowate ukłucie skroni, by nie odkryto wad jego wieku, żebyś po wyczerpaniu wszystkich sposobów nie kochała mnie z litości, żeby kochała go z miłości, nie pozostawiała go tak samotnego, kiedy jestem z tobą, tracę nawet chęć, żeby po prostu być,

82

usychając z pragnienia, by musnąć ją przynajmniej oddechem, dopóki przez wnętrze tego domu nie przefrunie archanioł ludzkich rozmiarów, bijąc w dzwon godziny mojej śmierci, wtedy on zaskarbiał sobie ostatni łyk odwiedzin, chowając zabawki w oryginalne futerały, żeby robactwo morskie nie obróciło ich w proch, jeszcze minutkę, królowo, wstawał, od teraz do jutra, życie całe, do dupy, ledwo zostawała mu chwila, by ostatni raz popatrzeć na nietykalną pannę, która podczas przelotu archanioła znieruchomiała z różą zmarłą na łonie, on zaś odchodził, przemykał się między pierwszymi cieniami, próbując ukryć hańbę publicznej tajemnicy, komentowanej przez wszystkich w mieście, rozgłaszanej przez anonimową piosenkę, którą znał cały kraj prócz niego, nawet papugi śpiewały w patach, odsuńcie się kobiety, bo nadchodzi generał wściekły, z ręką na piersi, zapłakany,

własną władzą pokonany, rządzi na śpiąco i ma ranę gorejącą, nauczyły się jej nieoswojone papużki, słysząc ją do znudzenia od oswojonych papug, nauczyły się jej sroki i sójki i zabrały ją w swych stadach poza granice jego niezmiernego królestwa zgryzoty, i wszystkie nieba ojczyzny o zmierzchu rozbrzmiały jednym chórem uciekających tłumów, które śpiewały, że tam nadchodzi generał miłości mojej, gębą rzyga gówienkami, a tyłkiem zaś sra prawami, piosenkę bez końca, do której wszyscy, nawet papugi, dodawali kolejne strofy, by wykpić państwowe służby bezpieczeństwa, próbujące je schwycić, patrole wojskowe w wojennym rynsztunku wywazały furtki na podwórza i rozstrzeliwały na żerdziach wywrotowe papugi, pełnymi garściami rzucały psom żywe papużki, ogłoszono stan wyjątkowy, usiłując wypłenić wrogą piosenkę, by nikt nie odkrył tego, o czym wszyscy wiedzieli, że to on wymyka się jak uciekinier o zmierzchu

83

tylnymi drzwiami pałacu prezydenckiego, przechodzi przez kuchnie i znika w dymie ognisk prywatnych pokoi do jutra o czwartej, królowo, do wszystkich następnych dni o tej samej godzinie, o której przychodził do domu Manueli Sanchez, obładowany tyloma niezwykłymi prezentami, iż trzeba było zagarnąć sąsiednie domy, zburzyć ściany działowe, by je pomieścić, w ten sposób to, co było zwykłym pokojem, przemieniło się w ogromny i ponury magazyn, w którym złożona była wielka ilość zegarów z wszystkich epok, wszelkiego rodzaju gramofony, od prymitywnych z cylindrem po automatyczne, wiele maszyn do szycia na korbkę, na pedał i elektrycznych, sypialnie pełne były galwanometrów, homeopatycznych apteczek, pozytywek, maszyn złudzeń optycznych, gablot z zasuszonymi motylami, azjatyckich zielników, laboratoriów fizjoterapii i wychowania fizycznego, aparatów astronomicznych, ortopedycznych i nauk przyrodniczych, cały świat lalek o ludzkich właściwościach, z ukrytymi mechanizmami, pokoje zamknięte, do których nikt nie wchodził nawet, by je zamieść, wszystkie rzeczy pozostawały bowiem w tym miejscu, gdzie je stawiano w chwili przyniesienia, nikt nie chciał o nich pamiętać, a już zwłaszcza Manuela Sanchez, gdyż nie chciała słyszeć o życiu od tamtej czarnej soboty, kiedy na moje nieszczęście przytrafiło mi się zostać królową, tamtego wieczoru skończył się dla mnie świat, jej dawni zalotnicy zmarli jeden po drugim, porażeni niespodziewanymi zapaściami i nieprawdopodobnymi chorobami, jej przyjaciółki znikwały, nie zostawiając żadnego śladu, przenieśli ją, nie ruszając z miejsca, z jej domu do obcej dzielnicy, była sama, strzeżona w swych najskrytszych zamiarach, w niewoli pułapki zastawionej przez los, bo nie miała dość odwagi, by powiedzieć

84

nie, ani tyle odwagi, by powiedzieć tak odrażającemu zalotnikowi, czatującemu na nią z miłością ze starczego

prztyłku, wpatrującemu się w nią z pewnego rodzaju pełnym uszanowania osłupieniem, gdy wachlował się białym kapeluszem, zlany potem, tak daleki od siebie samego, iż pytała, czy naprawdę ją widzi, czy jest tylko przerażającą wizją, widziała, jak ślaniał się w biały dzień, widziała, jak przeżuwa soki owocowe, widziała go w wiklinowym fotelu, trzymającego w dłoni szklanke, widziała, jak z senności opada mu głowa, gdy od miedzianego cykania świerszczy gęstniał mrok saloniku, widziała go, jak chrapał, ostrożnie, ekscelencjo, powiedziała mu, a on budził się zaskoczony, mamrocząc, że nie, królowo, nie zasnąłem, przymknąłem tylko oczy, mówił, nie zauważywszy, że wyjęła mu z dłoni szklanke, by nie upuścił jej podczas snu, zabawiała go delikatnymi podstępami, aż do tamtego niewiarygodnego popołudnia, kiedy zjawił się u niej, dławiąc się nowiną, że dziś przynoszę ci największy dar wszechświata, cud niebiański, który dziś w nocy przeleci o godzinie jedenastej zero sześć po to, byś go zobaczyła, królowo, tylko po to, żebyś go zobaczyła, i była to kometa. Dzień ten okazał się jedną z naszych wielkich dat rozczarowania, gdyż od dłuższego już czasu rozniosła się wieść, jak tyle innych, że godziny jego życia nie są poddane normom czasu ludzkiego, lecz cyklom komety, że został poczęty, by zobaczyć ją raz, ale nie miał jej ujrzeć po raz drugi, mimo aroganckich przepowiedni pochlebców, czekaliśmy więc, jak ktoś oczekujący dnia narodzin, wiekopomnej nocy listopadowej, na którą przygotowano radosną muzykę, dzwony wesela, świąteczne petardy, które po raz pierwszy od wieku wybuchały nie po to, by rozślawiać jego chwałę, lecz oczekiwały na jedenaście metalicznych

85
uderzeń godziny jedenastej, mających wyznaczyć kres jego lat, by uczcić opatrznościowe wydarzenie, którego oczekiwał na tarasie domu Manueli Sanchez, siedząc między nią a jej matką, oddychając ciężko, by nie dosłyszano kłopotów serca pod niebem zziębniętym od złych przeczuć, po raz pierwszy oddychając nocnym oddechem Manueli Sanchez, napięciem jej nagiego nieba, jej świeżego powietrza, dobiegł go zza horyzontu odgłos spiskowych bębnow wychodzących na spotkanie katastrofy, usłyszał dalekie lamenty, szmer wulkanicznego błota tłumów korzających się z trwogi przed istotą obcą jego panowania, która poprzedzała i miała rozgłosić lata jego wieku, poczuł ciężar czasu, doświadczył przez chwilę przekleństwa śmiertelności i wtedy zobaczył ją, jest tam, powiedział, i była tam, znał ją bowiem, widział ją, gdy przeszła na drugą stronę wszechświata, to była ta sama, królowo, starsza niż świat, bolesna, świetlista meduza wielkości nieba, które z każdą iędzią jej drogi nawracało o milion lat do swych początków, usłyszeli warkot wstążek z cynfolii, ujrzeli jej zniszczoną twarz, jej oczy zalane łzami, ślady trucizn zlodowaciałych włosów, potarganych przez wiatry przestworzy, które pozostawiały na

świecie smugi promieniującego pyłu gwiazdnych odpadków i świty opóźnione przez smolne księżyce, i popioły kraterów z oceanów starszych niż początki czasu ziemskiego, tam ją masz, królowo, szepnął, przypatrz się dobrze, bo dopiero za sto lat zobaczymy ją po raz drugi, a ona, porażona strachem, przeżegnała się, jak nigdy piękna w fosforowym blasku komety, z głową ośnieżoną drobną mżawką odpadków gwiazdnych i osadów niebieskich, i wtedy właśnie stało się, matko moja, Bendición Alvarado, stało się, że Manuela Sanchez zobaczyła na niebie otchłań wieczności i, próbując uchwycić się życia,

86

wyciągnęła rękę w pustkę, lecz jedynym oparciem, jakie napotkała, była niechciana ręka z pierścieniem prezydenckim, ciepła i gładka dłoń drapieżnego ptaka, upieczonego w żarze powolnego ognia władzy. Niewielu było poruszonych biblijnym przelotem świetlistej meduzy, która przerażała niebiańskie jelenie i okadziła ojczyznę śladem promieniującego pyłu gwiazdnych odpadków, gdyż my wszyscy, nawet największe niedowiarki, czekaliśmy na tę śmierć nieludzką, która zburzyć miała podstawy chrześcijaństwa i ustanowić początki trzeciego testamentu, czekaliśmy aż do świtu, na próżno, wróciliśmy do domów, zmęczeni bardziej oczekiwaniem niż nieprzespaną nocą, ulicami dogorywającej zabawy, z których kobiety świtu zmiatały po komecie niebiańskie śmieci, lecz nawet wtedy nie mogliśmy uwierzyć, że naprawdę nic się nie stało, że, wprost przeciwnie, padliśmy ofiarami następnego historycznego oszustwa, gdyż oficjalne organa ogłosiły przelot komety zwycięstwem rządu nad siłami zła, skorzystano z okazji, by zadać kłam pogłoskom o dziwnych chorobach, wskazując na niezbite dowody żywotności najwyższego przedstawiciela władzy, wznowiono hasła, odczytano publicznie uroczyste orędzie, w którym on ogłosił moją jedyną i nieprzymuszoną wolę, że gdy znów przeleci kometa, będę na swym posterunku w służbie ojczyźnie, ale w odpowiedzi usłyszał muzykę i petardy jakby nie swoich rządów, niczym niewzruszony usłyszał wiwaty zebranych na placu Broni tłumów z wielkimi transparentami, wieczna chwała Wielce Czcigodnemu, niech mu dane będzie żyć wiecznie, by mógł opowiedzieć potomnym, nie obchodziły go rządowe trudności, odstępował swą władzę pomniejszym funkcjonariuszom, oszołomiony wspomnieniem żaru dłoni Manueli Sanchez w jego dłoni, śniąc o tym, aby znów przeżyć tę chwilę

87

szczęśliwą, choćby miał zmienić bieg przyrody i naruszyć wszechświat, pragnąc tego tak mocno, iż w końcu zaczął błagać swych astronomów, by wymyślili mu komętę pirotechniczną, ulotny świetlik, smoka ze świecy, jakikolwiek gwiazdny aparat, na tyle przerażający, by doprowadzić do wiecznego zawrotu głowy pewną piękną kobietę, ale jedynym, co zdołali znaleźć w swych wyliczeniach, było całkowite zaćmienie Słońca na środę

następnego tygodnia o czwartej po południu, panie generale, a on przystał na to, zgoda, i była to tak prawdziwa noc w biały dzień, że zapaliły się gwiazdy, zwiędły kwiaty, kury się zbiegły i zadrżały zwierzęta o najlepszym instynkcie ostrzegawczym, on zaś oddychał wieczornym oddechem Manueli Sanchez, który przechodził w jej nocny oddech, w miarę jak wędła róża w jej dłoni, zwiedziona oszustwem mroku, oto ono, królowo, powiedział jej, oto twoje zaćmienie, ale Manuela Sanchez nie odpowiedziała, nie dotknęła jego dłoni, nie oddychała, zdawała się tak nierzeczywista, że nie mógł powstrzymać požądania i wyciągnął rękę w ciemności, by dotknąć jej dłoni, ale jej nie znalazł, opuszkami palców przeszukał miejsce, skąd dochodził jej zapach, ale i tam jej nie znalazł, szukał jej nadal obydwoma rękami po olbrzymim domu, pływając w ciemnościach z otwartymi oczyma lunatyka, pytając zbolały, gdzie możesz być, Manuelo Sanchez mojego nieszczęścia, że szukam cię i nie znajduję w nieszczęsnej nocy twojego zaćmienia, gdzie może być twoja bezlitosna dłoń, gdzie twoja róża, płynął niczym nurek zagubiony w stawie niewidzialnych wód, w nurtach, w których znajdował płynące prehistoryczne langusty galwanometrów, kraby zegarów z kurantami, homary twoich maszyn iluzorycznych prac, nie znajdował jednak nawet zapachu lukrecji twojego oddechu,

i im

88

bardziej rozpraszały się mroki krótkotrwałej nocy, tym bardziej rozpalało się w jego duszy światło prawdy, i poczuł się starszy od Boga w półmroku świtu o szóstej po południu w opuszczonym domu, poczuł się smutniejszy, samotniejszy niż kiedykolwiek dotąd, w wiecznej samotności tego świata bez ciebie, królowo moja, stracona na wieczność w tajemnicy zaćmienia, na wieczność, gdyż nigdy w następnych, długich latach swego panowania nie napotkał Manueli Sanchez mojej zguby w labiryncie jej domu, rozplynęła się w nocy zaćmienia, panie generale, mówili mu, że widzieli ją na balu w biały dzień w Puerto Rico, tam, gdzie ścięli Elenę, panie generale, ale to nie była ona, że widziano ją na stypowej hulance Papy Montero, wal rumbę, draniu, w rumbę szarpany, ale to też nie była ona, że widziano ją tańczącą na linie tiquiquitaque z Barlovento, cumbiambę z Aracataca, w ślicznym wiaterku panamskiego bębenka, ale żadna z nich nie była nią, panie generale, diabli ją wzięli, i jeśli wówczas nie poddał się kapryswi śmierci, to nie dlatego, że za mało było w nim wściekłości, ale dlatego, że wiedział, iż nigdy nie umrze z miłości, o tej nieodwołalnej karze wiedział od czasu pewnego popołudnia z początków swego imperium, gdy zwrócił się do wróżki, by odczytała mu w wodach saganów szyfry przeznaczenia, niezapisane ani na jego dłoni, ani w kartach, ani w fusach, ani w żadnym innym środku do przewidywania przyszłości, tylko w tym lustrze wód ostrzegawczych, w którym

zobaczył siebie samego zmarłego śmiercią naturalną w czasie snu, w gabinecie przyległym do sali audiencyjnej, i zobaczył siebie leżącego twarzą do ziemi na podłodze, tak jak spał przez wszystkie noce swego życia od urodzenia, w płóciennym mundurze bez dystynkcji, w sztylpach, złotej ostrodze, z prawym ramieniem wsuniętym

89
pod głowę tak, by służyło mu za poduszkę, i w nieokreślonym wieku między sto siódmym a dwieście trzydziestym drugim rokiem życia. Takim go znaleziono w wilię jego jesieni, gdy trupem był w rzeczywistości Patricio Aragones, i takim znowu go znaleźliśmy wiele lat później, w epoce tak wielkiej niepewności, iż nikt nie mógł przyjąć za oczywiste, że to jego trupem było owo starcze ciało, rozdziobane przez sępy i toczone przez pasożyty z dna morza. Na dłoni, przez rozkład zmienionej w czarną kiszkę, nie pozostał już żaden ślad, który wskazywałby, iż kiedyś nie mogła oderwać się od piersi z powodu wzdorliwej panny, ponoć za czasów hałasu, nie znaleźliśmy również żadnego śladu życia, co skłaniałoby nas nieomylnie ku stwierdzeniu jego tożsamości. Nie było w tym, oczywiście, nic niezwykłego, że zdarzyło się to w naszych czasach, nawet jeśli w latach jego najwyższej chwały nie brakowało powodów, by wątpić o jego istnieniu, przecież nawet jego najemnicy nie mieli pojęcia, w jakim dokładnie jest wieku, istniały bowiem takie epoki galimatiasu, gdy zdawał się mieć lat osiemdziesiąt na loteriach w celach dobroczynnych, sześćdziesiąt na audiencjach cywilnych i nawet mniej niż czterdzieści na uroczystościach publicznych. Ambasador Palmerston, jeden z ostatnich dyplomatów, który przedstawił mu listy uwierzytelniające, opowiadał w swych zakazanych pamiętnikach, iż trudno było pojąć starość tak podeszłą jak jego, zarówno jak ów nieład i opuszczenie, które panowało w tamtym gmachu rządowym, gdzie musiał torować sobie drogę pośród zwałów podartych papierów, zwierzęcych odchodów, resztek jedzenia psów śpiących na korytarzach, nikt nie potrafił udzielić mi żadnej informacji w kancelariach czy urzędach, musiałem więc skorzystać z pomocy trędowatych i paralityków, którzy zajęli już pierwsze pokoje

90
prywatne i wskazali mi drogę do sali audiencyjnej, gdzie kury dziobały urojone ziarna dywanów, a krowa, szarpiąc, żarła płótno portretu jakiegoś arcybiskupa, i natychmiast zdałem sobie sprawę, że on był bardziej głuchy niż pień nie dlatego, iż pytałem go o jedno, a on odpowiadał mi na coś zupełnie innego, ale i dlatego, iż ubolewał, że ptaki nie śpiewają, gdy w rzeczywistości ledwie można było oddychać w tej ptasiej wrzawie, bo było to tak, jakby się szło lasem o świcie, a on przerywał nagle ceremonię przyjmowania listów uwierzytelniających, przykładając od tyłu dłoń do ucha, wskazując jasnym spojrzeniem za okno na równinę pyłu, gdzie kiedyś było morze, , mówiąc głosem zdolnym obudzić śpiącego, niech pan posłucha tego

tumultu mułów dochodzącego stamtąd, niech pan posłucha, mój drogi Stetson, to morze wraca. Nie sposób było pojąć, jak ten zniedołężniały starzec mógł być tym samym mesjaszem, który w początkach swego panowania zjawiał się we wsiach o najmniej spodziewanej porze, eskortowany jedynie przez bosego Indianina z maczetą i nieliczny orszak deputowanych i senatorów, których, wskazując palcem, sam mianował, ulegając podszeptom soków trawiennych, zbierał informacje o wynikach zbiorów, o stanie zdrowia zwierząt i zachowaniu się ludzi, zajmował fotel na biegunach w cieniu mangowców rosnących na placu, wachlując się używanym wówczas przez niego kapeluszem rządcy, i choć wydawał się zmorzony upałem, nie pozostawiał bez wyjaśnień żadnego, nawet najdrobniejszego szczegółu rozmów prowadzonych z mężczyznami i kobietami, którym kazał zbierać się wokół siebie, wołając ich po imieniu i nazwisku, jakby miał w głowie pisemny rejestr wszystkich mieszkańców, cyfry i problemy całego narodu, i tak zawołał mnie nie otwierając oczu, chodź tu, Jacinta Morales, rzekł, opowiedz

91

mi, co się stało z tym chłopcem, którego on sam trzymał za głowę zeszłego roku, żeby wypił butelkę oleju rycynowego, a ty, Juan Prieto, powiedział mi, co z twoim buhajem, nad którym on sam zmówił modlitwy przeciw zarazie, by robaki wypadły mu z uszu, a ty, Matyldo Peralta, no, co mi dasz za dostarczenie ci żywcem tego dezertera, twojego męża, masz go, przywleczonego na sznurze obwiązanym wokół szyi i ostrzeżonego przez niego osobiście, że jeśli jeszcze raz spróbuje opuścić prawowitą małżonkę, to następnym razem zgnije w chińskich dybach, i wciąż w tym samym stylu rządzenia w trybie doraźnym rozkazał jakiemuś rzeźnikowi, by w publicznej egzekucji odciął dłońie pewnemu marnotrawnemu skarbnikowi, i zrywał pomidory w prywatnym ogrodzie, próbował ich z miną fachowca w obecności swych agronomów, mówiąc, że tej ziemi brakuje dużo oślego łajna, i to z samca, niech je rozrzucą na koszt rządu, rozkazywał i przerwał obywatelski obchód, i krzyknął do mnie przez okno, skręcając się ze śmiechu, aha, Lorenza López, jak tam sprawuje się ta maszyna do szycia, którą on mi podarował dwadzieścia lat temu, a ja odpowiedziałam, że już Bogu oddała duszę, generale, proszę sobie wyobrazić, rzeczy, tak jak i my, nie są stworzone po to, żeby przetrwać nasze życie, ale on odpowiedział, że wprost przeciwnie, że świat jest wieczny, i wtedy zaczął rozkręcać maszynę śrubokrętem, manipulować olejarką, obojętny na oficjalne towarzystwo oczekujące go pośrodku ulicy, co jakiś czas można było w dochodzącym sapaniu byka wyczuć jego rozpacz, nawet twarz zabrudził sobie smarem, ale po trzech niemal godzinach maszyna znów zaczęła szyc jak nowa, nie było wówczas takiej trudności życia powszedniego, choćby najdrobniejszej, która nie miałyby dlań tego samego znaczenia, co sprawa

państwowa największej wagi, i wierzył całym sercem, że można rozdać szczęście i przekupić śmierć żołnierskimi fortelami. Trudno było zrozumieć, że ten zagubiony starzec był wszystkim, co pozostało po człowieku, którego władza była tak wielka, że kiedyś zapytał, która jest godzina, i odpowiedzieli mu, wedle rozkazu, panie generale, i to była prawda, gdyż nie tylko zmieniał pory dnia w zależności od tego, jak mu to pasowało do jego zajęć, ale również zmieniał święta kościelne zgodnie ze swymi planami objazdów po kraju z odpustu na odpust, z cieniem bosego Indianina, w towarzystwie posepnych senatorów i z klatkami wspaniałych kogutów, które wystawiał do walk z najdzielniejszymi kogutami każdej wsi, osobiście przyjmował zakłady, doprowadzał areny do paroksyzmów śmiechu poruszającego fundamenty, wszyscy czuliśmy się bowiem zobowiązani do wesołości, gdy on eksplodował swoimi dziwnymi salwami śmiechu wielkiego bębna, zagłuszającymi muzykę i petardy, cierpieliśmy, kiedy milkł, wybuchaliśmy owacją ulgi, gdy jego koguty rozszarpały nasze, tak dobrze wytresowane do przegrywania, że nie zawiódł nas żaden, prócz koguta nie-szczęścia Dionisia Iguarana, który rozgromił pechowca władzy w ataku tak czystym i celnym, iż on był pierwszym, który przeszedł przez arenę, by ucisnąć dłoń zwycięzcy, no, toś chłop z jajami, powiedział mu z humorem, wdzięczny, że ktoś w końcu przysłużył mu się nieszkodliwą porażką, dałbym nie wiem co za tego czerwonego, powiedział mu, i Dionisio Iguaran dygocząc odpowiedział, jest pański, generale, to dla mnie wielki zaszczyt, i wrócił do domu pośród owacji rozwrzeszczanej wsi, huku muzyki i petard, pokazując wszystkim sześć rasowych kogutów, które dostał w prezencie w zamian za niezwyciężonego, tej samej jednak nocy zamknął

się w sypialni, sam wypił tykwę rumu i powiesił się na sznurze od hamaka, biedaczysko, podczas gdy on nie uświadamiał sobie pasma domowych katastrof spowodowanych jego świątecznymi odwiedzinami, ani zostawianego za sobą śladu mimowolnych zmarłych czy wiecznego potępienia popadłych w niełaskę zwolenników, bo zwrócił się do nich nie ich imieniem w obecności pilnych najemników, biorących pomyłkę za umyślny znak niełaski, obchodził cały kraj swym dziwnym krokiem pancernika, z ciągnącą się za nim strugą dzikiego potu, z zapuszczoną brodą, pojawiał się bez zapowiedzi w jakiejś kuchni, wyglądając jak niepotrzebny nikomu dziadek, sprawiając, że mieszkańcy domu dygotali ze strachu, warząchwia czerpał wodę z kadzi, jadł z garnków, przebierając w nich palcami, zbyt jowialny, zbyt prostoduszny, nie podejrzewając, że ów dom na zawsze pozostawał napiętnowany stygmatem jego odwiedzin, a zachowywał się tak, nie z politycznego wyrachowania czy z potrzeby miłości, jak to w innych czasach mu się zdarzało, lecz dlatego, że taki

był jego naturalny sposób bycia wówczas, gdy władza nie była jeszcze bezbrzeżnym bagniskiem w pełni jesieni, lecz gorączkowym potokiem, co wytryskał na naszych oczach ze swych pierwotnych źródeł, tak iż dosyć było, by wskazał palcem drzewa, które powinny były zaowocować, i zwierzęta, które powinny były urosnąć, i ludzi, którzy powinni byli żyć w dobrobycie, i rozkazał, aby przeniesiono deszcz z miejsca, gdzie utrudniał zbiory, na ziemię dotkniętą suszą, i tak się stało, proszę pana, widziałem to, jego legenda zaczęła się bowiem na długo przedtem, nim on sam uwierzył, iż jest panem całej swojej władzy, kiedy jeszcze był na łasce wróżb i kabalarzy tłumaczących jego koszmary i przerywał nagle dopiero co rozpoczętą podróż, jeśli usłyszał śpiew pigua nad głową, i zmieniał datę

94
publicznego występu, bo jego matka, Bendición Alvarado, znalazła jajko z dwoma żółtkami, i rozproszył święte senatorów i niestrudzonych deputowanych wszędzie mu towarzyszących i wygłaszających za niego przemówienia, których nigdy nie odważył się wygłosić, został bez nich, ponieważ zobaczył siebie samego w dużym i pustym domu ze złego snu, w otoczeniu bladych ludzi w szarych surdutach, którzy, uśmiechając się, celowali weń rzeźniczkimi nożami, ścigali go z taką zaciekłością, iż w jakakolwiek stronę odwracał wzrok, napotykał żelazo gotowe zranić go w twarz i w oczy, ujrzał się osaczonym jak zwierzę przez milczących i uśmiechniętych morderców, walczących o przywilej udziału w rytuale sycenia się jego krwią, ale on nie czuł złości ani strachu, tylko olbrzymią ulgę, tym głębszą, im bardziej wyciekało zeń życie, czuł się lekki i czysty, więc i on uśmiechał się, gdy go zabijali, uśmiechał się za nich i za siebie w przestrzeni domu ze snu, którego ściany z gaszonego wapna pokrywały się plamami mojej tryskającej krwi, dopóki ktoś, kto był jego synem we śnie, nie zadał mu pchnięcia w pachwinę, którą uszło ostatecznie powietrze, jakie we mnie pozostało, i wtedy zakrył twarz kocem przesiąkniętym własną krwią, by nikt z tych, co nie mogli poznać go żywym, nie rozpoznał go zmarłym, i padł wstrząsany charczeniem agonii tak prawdziwej, że nie mógł powstrzymać się, by szybko nie opowiedzieć jej mojemu kumowi, ministrowi zdrowia, ten zaś ostatecznie wprowadził go w zakłopotanie odkryciem, że ta śmierć już raz się zdarzyła w historii ludzkości, panie generale, i przeczytał mu fragment opowieści z jednej z osmolonych ksiąg generała Lautara Muñozy, i to było to samo, matko, do tego stopnia, iż w trakcie lektury przypomniał sobie coś, o czym po przebudzeniu zapomniał, że gdy go zabijali, otworzyły się naraz, bez wiatru,

95
wszystkie okna pałacu prezydenckiego, a w rzeczywistości było ich tyle, co ran we śnie, dwadzieścia trzy, przerażający zbieg okoliczności, który swój punkt kulminacyjny osiągnął w tym tygodniu wraz z napadem korsarzy na Senat i gmach Sądu Najwyższego przy współwinnej

obojętności sił zbrojnych, gdy korsarze obrócili w perzynę dostojną siedzibę naszych wielkich antenatów, podłożywszy później ogień, tak że płomienie widać było do późna w nocy z prezydenckiego balkonu, on jednak obojętnie przyjął wiadomość, panie generale, że nie pozostał kamień na kamieniu, nam zaś obiecał ukarać przykładowie sprawców zamachu, których nigdy nie ujawniono, przyrzekł nam dokładną rekonstrukcję siedziby antenatów, której zwęglone resztki przetrwały do naszych dni, nie zrobił nic, aby zamaskować straszliwe egzorcyzmy nad złym snem, lecz skorzystał z okazji, by zlikwidować cały aparat ustawodawczy i sądowy starej republiki, obsypał honorami i bogactwem senatorów, deputowanych i urzędników sądowych, niepotrzebnych mu już do pozorowania fundamentu jego władzy, deportował ich do szczęśliwych i dalekich ambasad, pozostawiając sobie jedynie samotny cień Indianina z maczetą, który ani na chwilę go nie opuszczał, pierwszy próbował jego jedzenia i picia, zachowywał odpowiednią odległość, warował przy drzwiach, gdy on przebywał w moim domu, podsycając pogłoskę, że jest moim tajemnym kochankiem, naprawdę zaś odwiedzał mnie dwa razy w miesiącu, by poradzić się kart w ciągu tych wielu lat, gdy uważał się jeszcze za śmiertelnego i posiadał cnotę wątpliwości, umiał się mylić i bardziej ufał taliom kart niż swemu dzikiemu instynktowi, i zawsze przychodził tak samo wystraszony i stary jak za pierwszym razem, kiedy usiadł naprzeciwko mnie i nie odezawszy się słowem wyciągnął ku mnie owe dłonie

96

gładkie i napięte niczym brzuch ropuchy, jakich nigdy nie widziałam i nie miałam zobaczyć po raz drugi w moim bardzo długim życiu tłumaczki cudzych przeznaczeń, obydwie położył jednocześnie na stole, z gestem niemego prawie błagania człowieka pozbawionego wszelkiej nadziei, i wydał mi się tak zatrwożony, tak odarty ze złudzeń, że poruszyły mnie nie tyle jego jałowe dłonie, co nieuleczalna melancholia, niemoc jego ust, jego biedne serce targanego niepewnością starca, którego przeznaczenie było nieczytelne nie tylko na jego dłoniach, ale i we wszystkich zabiegach wróżebnych znanych nam wtedy, starczyło, by przełożyć talię, a karty stawały się studniami mętnych wód, plątały się fusy na dnie filiżanki, z której pił, zacierały się znaki wszystkiego, co mogło łączyć się z jego osobistą przyszłością, jego szczęściem i powodzeniem jego czynów, były zaś przejrzyste wtedy, gdy dotyczyły przeznaczenia każdego, kto miał z nim jakiś związek, zobaczyliśmy więc jego matkę, Bendición Alvarado, malującą ptaki o cudzoziemskich nazwach w wieku tak daleko posuniętym, że ledwo rozpoznawała kolory poprzez powietrze rozrzedzone śmierzdzącymi oparami, biedna matka, zobaczyliśmy nasze miasto, zrujnowane przez cyklon tak okrutny, że nie zasługiwał na swoje kobiece imię, zobaczyliśmy mężczyznę w zielonej masce, ze szpadą w ręku, i zapytał z trwogą, w jakim miejscu

świata znajduje się ten człowiek, a karty odpowiedziały, że w każdy wtorek jest bliżej niego niż w pozostałe dni tygodnia, a on powiedział, aha, i zapytał, jakiego koloru ma oczy, i karty odpowiedziały, że jedno oko ma koloru soku z trzciny cukrowej w świetle, a drugie w ciemnościach, i on powiedział, aha, i zapytał, jakie są zamiary tego człowieka, i wtedy po raz ostatni wyjawiałam mu do końca prawdę kart, bo odpowiedziałam, że jest to zielona

97
maska przewrotności i zdrady, a on powiedział, aha, z patosem zwycięstwa, już wiem, kto to jest, kurwa, wykrzyknął, i był to pułkownik Narciso Miraval, jeden z jego najbliższych adiutantów, który dwa dni później strzelił sobie z pistoletu w ucho, bez żadnego wytłumaczenia, biedaczysko, i tak zarządzali losem ojczyzny, i wyprzedzali jej historię zgodnie z wróżbami kart, póki nie usłyszał, jak mówiono o pewnej wróżce, która jako jedyna odczytywała śmierć z nieomylnych wód saganów, i w tajemnicy udał się na jej poszukiwanie ścieżkami mułów, tylko w asyście anioła z maczetą, docierając do gospodarstwa na paramo, gdzie mieszkała z trojgiem dzieci prawnuczki, która czekała właśnie na urodzenie następnego dziecka, spłodzonego z mężem zmarłym w zeszłym miesiącu, znalazł ją sparaliżowaną i na wpół ociemniałą w głębi alkowy, niemal w ciemnościach, gdy jednak poprosiła go, by złożył dłonie nad saganem, wody oświełły się od wewnątrz delikatną i przejrzystą jasnością i wtedy zobaczył siebie samego, jak leży, identyczny, twarzą do ziemi na podłodze, w płóciennym mundurze bez dystynkcji, w sztylpach i złotej ostrodze, i zapytał, gdzie to jest, a kobieta odpowiedziała, badając śpiące wody, że jest to pokój nie większy od tego, z czymś, co tu widać, co się wydaje biurkiem, i z wentylatorem elektrycznym, i z oknem wychodzącym na morze, i z tymi białymi ścianami z obrazami koni, i ze sztandarem ze smokiem, i on znów powiedział, aha, poznał bowiem bez cienia wątpliwości gabinet przyległy do sali audiencyjnej i zapytał, czy ma go nagle trafić szlag, czy powalić nagła choroba, a ona odpowiedziała, że nie, że ma to nastąpić w czasie snu i bezboleśnie, a on powiedział, aha, i zapytał, drżąc, kiedy to nastąpi, a ona odpowiedziała, że może spać

98
spokojnie, bo ma to nastąpić nie wcześniej, nim dożyjesz moich lat, a miała ich sto siedem, ale nie później niż po następnych stu dwudziestu pięciu latach, a on powiedział, aha, i wtedy zamordował chorą staruszkę w foamaku, żeby nikt więcej nie poznał okoliczności jego śmierci, udusił ją paskiem od złotej ostrogi, bezboleśnie bezszelestnie, niczym mistrz katowski, mimo że była to jedyna istota na tym świecie, tak ludzka jak i zwierzęca którą zaszczycił śmiercią własnoręcznie wymierzoną, tak w pokoju jak na wojnie, biedna kobieta. Od takich właśnie powrotów do annałów nikczemności nie gryzł

go po nocach jesieni robak sumienia, wprost przeciwnie służyły mu przykładowo baśnie o tym, jak powinno być, a nie jest, przede wszystkim wtedy, gdy Manuela Sanchez rozwiła się w mrokach zaćmienia, on zaś, wykpiony, zapragnął ponownie znaleźć się w rozkwicie swego barbarzyństwa, by wyrwać z siebie wściekłość palącą mu wewnętrznego, kładł się w hamaku, w wietrznych dzwoneczkach tamaryndowców, aby myśleć o Manueeli Sanchez ze złością odbierającą mu sen, gdy tymczasem siły lądowe, morskie i powietrzne szukały jej, nie znajdując śladów, po kres nieznanych, saletranych pustyń, gdzie się, kunva, podzielał, pytał, gdzie się, cholero, zamierzasz podzielać, by nie dosięgło cię moje ramię, abyś dowiedziała się, kto tutaj rządzi, kapelusz na piersi drżał mu od uderzeń serca, oddawał się ekstazie wściekłości, nie zwracając uwagi na uporczywość swojej matki, próbującej dociec, dlaczego od momentu zaćmienia nie rozmawiasz, dlaczego patrzysz do wewnątrz, on jednak nie odpowiadał, poszła sobie, do dupy, matko, powłóczył swymi sierocymi stopami, krwawiąc kroplami żółci, z dumą zranioną przez nieuleczalną gorycz, że te kurewstwa przytrafiają mi się za to, że stałem się głupim kutasem, za to, że nie jestem już panem mego przeznaczenia, jakim byłem przedtem, za to, że wpakowałem się do domu jakiejś dziewczuchy za przyzwoleniem jej matki, a nie tak, jak wszedłem do chłodnej i cichej hacjendy Franciski Linero przy drodze do Santos Higueroles, wtedy, kiedy to jeszcze on osobiście, a nie Patricio Aragones, prezentował widzialne oblicze władzy, wszedł, nie dotknąwszy nawet zasuw, dogadzając swemu kaprysowi w rytmie uderzeń jedenastej na wahadłowym zegarze, i usłyszałam metal złotej ostrogi z tarasu dziedzińca, i zrozumiałam, że te kroki moździerzowego tłuczka, stawiane z taką mocą władzy na ceglach posadzki, mogą być tylko jego krokami, przeczułam go całym ciałem, zanim zobaczyłam go, jak pojawia się w próżni drzwi od wewnętrznego tarasu, gdzie alkarawan wyśpiewywał jedenastą pośród złotych bodziszków, śpiewała wilga oszołomiona acetonowymi oparami kiści bananów zwisających spod okapu, światło sierpniowego wtorku nieszczęścia wygrzewało się pomiędzy nowymi liśćmi rosnących w patio platanów i ciałem młodego jelenia, którego mój mąż, Poncio Daza, upolował o świcie i powiesił za nogi, by krew wyciekła przy kiściach bananów pocętkowanych wewnętrznym miodem, zobaczyłam go większego, bardziej posępnego niż we śnie, w zabłoconych butach, w przepoconej bluzie khaki, nieuzbrojonego, ale eskortowanego przez cień bosego Indianina stojącego nieruchomo za nim, z dłonią opartą na rękocyfeli maczety, zobaczyłam nieuniknione oczy, dłoń śpiącej dziewczuchy, która zerwała banana z najbliższej kiści, i z niepokoju zjadł go, a później zjadł drugiego i jeszcze jednego, z niepokoju przeżuwał je, wydając pełnymi ustami odgłos mokradeł, nie odrywając wzroku od prowokacyjnej Franciski Linero, która patrzyła na

niego, nie wiedząc, co zrobić ze swoją wstydlivością
100

młodej mężatki, on przyszedł bowiem, by dogodzić swemu kaprysowi, i nie było władzy większej od jego władzy, która uniemożliwiłaby mu to, ledwo poczułam drżący ze strachu oddech mojego męża, który usiadł przy mnie, i oboje znieruchomieliśmy, trzymając się za ręce, z dwoma sercami z kartki pocztowej, zgodnie wystraszeni pod uporczywym wzrokiem nieprzeniknionego starca, on zaś stał dwa kroki od drzwi, jedząc banana za bananem i rzucając za siebie skórki na podwórze, nie mrugnawszy ani razu powiekami, od chwili kiedy zaczął patrzeć na mnie, i dopiero gdy zjadł całą kiść i obok zabitego jelenia pozostała ogołocona łodyga, dał znak bosonogiemu Indianinowi i rozkazał Ponciowi Daza, żebyś odszedł na chwilę z moim kumem, tym od maczety, ma z tobą interes do obgadania, i chociaż umierałam ze strachu, zachowałam jeszcze dość rozsądku, by zrozumieć, że moim jedynym ratunkiem jest pozwolić mu, by zrobił ze mną wszystko, co chciał, na stole jadalnym, i jeszcze więcej, bo pomogłam mu dotrzeć pośród koronkowych halek, gdy odebrał mi oddech swoim odorem amoniaku i jednym szarpnięciem rozdarł mi majtki, i szukał palcami nie w tym miejscu, a ja ogłupiała myślałam, Przenajświętszy Sakramencie, co za wstyd, co za pech, bo z rana nie starczyło mi czasu, żeby się umyć, bo musiałam zająć się jelonkiem, w końcu dogodził swemu kaprysowi po tylu miesiącach obłączenia, ale zrobił to szybko i źle, jakby był o wiele starszy, niż był, lub o wiele młodszy, tak oszołomiony, że ledwie wyczułam chwilę, w której spełnił swój obowiązek jak mógł najlepiej, i uderzył w płacz łzami ciepłych siuszków dużego i samotnego sieroty, płacząc z tak głębokim smutkiem, że ogarnęła mnie litość nie tylko dla niego, ale i dla wszystkich mężczyzn na świecie, i zaczęłam drapać go po głowie koniuszkami palców

101

i pocieszać go, że to taka drobnostka, generale, życie jest długie, podczas gdy człowiek z maczetą zaprowadził Poncia Daza w gąszcz platanów i pociął go na plasterki tak cieniutkie, że nie dało się złożyć ciała rozrzuconego przez wieprze, biedaczysko, ale nie było innego wyjścia, powiedział, bo inaczej byłby śmiertelnym wrogiem na całe życie. Były to obrazy jego władzy, które go nachodziły z bardzo daleka i pogłębiały gorycz przeświadczenia, jak bardzo rozwodnili mu sól jego władzy, jeśli nawet nie zdała mu się na to, by odsunąć niebezpieczeństwo złych uroków zaćmienia, przy stoliku domina nitka czarnej żółci targała nim wobec lodowatego opanowania generała Rodriga de Aguilara, jedynego wojskowego, któremu zawierzył swe życie, odkąd kwas moczowy skryztałizował się w stawach anioła od maczety, mimo to pytał, czy obdarzanie jednego człowieka tak dużym zaufaniem i tak dużą władzą nie jest przyczyną jego nieszczęścia, czyż to właśnie nie mój przyjaciel zrobił z niego wałacha na całe

życie, próbując zerwać zeń naturalną skórę wędrownego wodza, by przemienić go w pałacowego inwalidę, niezdolnego do wydania rozkazu, który nie byłby wykonany już wcześniej dzięki temu chorobliwemu pomysłowi publicznego ukazywania twarzy niebędącej jego twarzą, kiedy dość było bosonogiego Indianina z dobrych czasów, by uderzeniami maczety wyciąć drogę w tłumie ludzi, krzyżując, odsuńcie się, skurwysyny, bo tu idzie ten, co rządzi, bez możliwości odróżnienia w tym gąszczu owacji przyzwoitych patriotów ojczyzny od zbójców, gdyż wówczas nie odkryliśmy jeszcze, że najbardziej podejrzani są ci, co najgłośniej krzyczą, niech żyje swój chłop, kurwa, niech żyje generał, za to teraz na nic zdawał się autorytet całych sił zbrojnych, by odnaleźć królową złej śmierci, która zdołała wyrwać się z obłączenia jego starczych pragnień,

102

kurwa, rozrzucił kostki po ziemi, przerywał, z niejasnych powodów, niedokończone partie, przygnębiony nagłym objawieniem, że wszystko w końcu znajduje swe miejsce na ziemi, wszystko prócz niego, czując po raz pierwszy koszulę przesiąkniętą potem o tak wczesnej porze, czując odór padliny unoszący się wraz z oparami morza i łagodny gwizd skręconej wilgocią upału przepuklinowej fujarki, to przez to parne powietrze, powiedział sobie bez przekonania, próbując z okna rozwikłać dziwny stan światła w nieruchomym mieście, gdzie jedynymi żywymi istotami wydawały się stada sępów uciekających w popłochu z gzymsów szpitala dla ubogich i ślepiec na placu Broni, który wyczuł drżącego w oknie prywatnej rezydencji starca i nalegająco pomachał mu laską, wykrzykując coś, czego on nie zdołał usłyszeć, a co zinterpretował jako jeszcze jeden znak dławiącego przeczucia, że coś lada moment się stanie, a mimo to powtórzył sobie, że nie, po raz drugi pod koniec długiego poniedziałku zniechęcenia, to przez to parne powietrze, powiedział sobie i w tej samej chwili zasnął, kołyszany do snu chrobotem mżawki o zamglone szyby filtrów pólenu, szybko jednak przebudził się wystraszony, stój, kto idzie, krzyknął, było to jego własne serce dławione dziwnym milczeniem kogutów o świcie, poczuł, że statek wszechświata dopłynął do jakiegoś portu, podczas gdy on spał, unosił się na powierzchni gęstego rosołu oparów, zwierzęta ziemi i nieba, zdolne przejrzeć śmierć lepiej niż niezdarne wróżby i najgruntowniejsze nauki ludzkie, oniemiały z przerażenia, skończyło się powietrze, czas zmienił kierunek, a on doznał uczucia, że serce mu pęcznieje z każdym krokiem i pękają bębniaki w uszach, i jakaś parząca substancja wycieka mu nosem, to śmierć, pomyślał, czując bluzę przesiąkniętą krwią, nim doszło do jego świadomości, że nie, panie

103

generale, to najbardziej niszczycielski cyklon z tych wszystkich, które rozbiły w strugę rozproszonych wysp dawne, jednolite królestwo Karaibów, katastrofa tak skryta, iż tylko on odebrał jej sygnały swą instynktowną

intuicją na długo przed paniką psów i kur, tak nie w porę, że ledwo starczyło czasu, by znaleźć dla cyklonu jakieś kobiece imię w rozgardiasz przerażonych oficerów, którzy przyszli do mnie z wiadomością, że teraz to już na pewno, panie generale, ten kraj diabli wzięli, ale on rozkazał, by wzmocnili drzwi i okna wręgami, przywiązali strażników w korytarzach, zamknęli kury i krowy w urzędach na parterze, przybili każdą rzecz na właściwym miejscu, od placu Broni po kres jego zastraszonego królestwa zgryzoty, cała ojczyzna została zakotwiczona we właściwym sobie miejscu, nieodwołalną decyzją, by przy pierwszym objawie paniki strzelali dwa razy na postrach, a za trzecim na śmierć, i mimo to nic nie oparło się straszliwemu cięciu wirujących wiatrów, które jednym czystym uderzeniem odrąbało opancerzone stalą wrota głównego wejścia i uniosło moje krowy w powietrze, on jednak, zauroczony uderzeniem, nie dostrzegł, skąd nadleciał ów grzmot poziomych deszczów spadających w swych wulkanicznych strefach gradem balkonowych gruzów i szczątków bestii z mateczników morskiego dna, i miał tak zaćmiony umysł, iż nie pomyślał o przerażających rozmiarach kataklizmu, leCz czując w ustach smak piżma bojaźni, chodził pośród potopu, pytając siebie, gdzie możesz być, Manuelo Sanchez mojej złej śliny, kurwa, gdzie się wpakowałaś, że nie może cię osiągnąć ta katastrofa mojej zemsty. W stojącej wodzie spokoju, który nastąpił po huraganie, znalazł się sam ze swymi najbliższymi adiutantami, płynąc w wiosłowej łodzi po zupie szczątków sali audienCyjnej, wypłynęli drzwiami

104

powozowni, bez przeszkód wiosłując między koronami palm i powalonych latarń placu Broni, wypłynęli na martwy zalew katedry, a jego znów na chwilę oślepił błysk oczywistości, że nigdy nie był i nigdy nie będzie panem całej swojej władzy, i nie przestało go gnębić zuchwalstwo tej gorzkiej prawdy, gdy szalupa wpadała w przestrzenie odmiennych stężeń, w zależności od zmian barwy światła witraży w gąszczu ciężkiego złota i kiści szmaragdów głównego ołtarza, płyt nagrobnych pogrzebanych żywcem wicekrólów i arcybiskupów zmarłych z rozczarowania, i granitowego wzgórzka pustego mauzoleum admirała mórz i oceanów z zarysem trzech karawel, które on kazał wybudować, gdyby tamten zechciał, aby jego kości spoczęły między nami, wypłynęliśmy kanałem prezbiterium ku wewnętrznemu dziedzińcowi przemienionemu w świetliste akwarium, po którego glazurowym dnie błędziły ławice ryb między łodygami tuberoz i słoneczników, przecięliśmy ciemne nurty klasztornej klauzuli baskijskich zakonnic, zobaczyliśmy opuszczone cele, zobaczyliśmy klawikord dryfujący w intymnej kadzi sali chóralnej, zobaczyliśmy w śpiących wodach refektarza całą gminę zatopionych dziewic na swych stałych miejscach przy długim, zastawionym stole, i zobaczył, wypływając przez balkony, rozległą przestrzeń wodną pod promiennym

niebem, w miejscu, gdzie było miasto, i dopiero wtedy uwierzył w prawdziwość wiadomości, panie generale, że ta katastrofa objęła cały świat tylko po to, by uwolnić mnie od niepokoju Manueli Sanchez, kurwa, w porównaniu z nami Bóg ucieka się do barbarzyńskich metod, myślał usatysfakcjonowany, patrząc na mętne trzęsawisko, gdzie było miasto i na którego bezbrzeżnej powierzchni unosił się cały świat zatopionych kur, wystawały zaś jedynie wieże katedry, reflektor latarni morskiej, słoneczne tarasy

105
białych rezydencji dzielnicy wicekrólów, rozrzucone wyspy wzgórz dawnego portu niewolników, gdzie biwakowali rozbitkowie huraganu, niedobitki, którzyśmy z niedowierzaniem przyglądali się szalupie pomalowanej w barwy narodowe, płynącej w milczeniu między sargasami bezwładnych martwych kur, zobaczyliśmy smutne oczy, zwiędłe usta, zamyśloną dłoń, która kreśliła krzyże błogosławieństwa, by ustały deszcze i zaświeciło słońce, i wrócił życie zatopionym kurom, i rozkazał, by wody opadły, i wody opadły. Pośród dzwonów radości, petard jarmarku, muzyki chwały, którymi uczczono pierwszy kamień węgielny odbudowy, i pośród owacji zebranych na placu Broni tłumów, by uczcić Wielce Czcigodnego, który zmusił do ucieczki smoka huraganu, ktoś złapał go za ramię, by wciągnąć na balkon, bo teraz bardziej niż kiedykolwiek naród potrzebuje pańskiego słowa pocieszenia, i zanim zdążył temu zapobiec, usłyszał jednogłośny wrzask, który zalał mu wnętrze niczym sztormowy wiatr, niech żyje nasz generał, gdyż od pierwszego dnia swego panowania poznał rozpacz wystawiania siebie na widok całego miasta, w tym samym czasie poczuł w gardle kamienie słów, pojął w świetlistym przeblysku świadomości, że nie ma odwagi i nigdy nie będzie jej miał, by stanąć całym ciałem nad przepaścią tłumów, dostrzeżliśmy więc na placu Broni jedynie ten sam co zawsze krótkotrwały obraz, mgiełkę nieuchwytnego starca ubranego w płótno, który udzielił milczącego błogosławieństwa z balkonu prezydenckiego i w tej samej chwili zniknął, ale ta ulotna wizja wystarczała nam, by podsycić ufność, że on tam jest, czuwający nad naszą bezsennością i naszym snem w cieniu historycznych tamaryndowców podmiejskiej rezydencji, siedzi zamyślony w wiklinowym fotelu na biegunach, ze szklanką nietkniętej lemoniady w dłoni, słuchając grze-

106
chotu ziaren kukurydzianych suszonych w tykwie przez jego matkę, Bendición Alvarado, widząc ją poprzez lunę skwaru godziny trzeciej, gdy złapała szarą kurę i ściskając ramieniem, ukreślała jej szyję z pewną dozą troskliwości, mówiąc mi głosem matki, patrząc mi w oczy, że mizernejesz, bo za dużo myślisz, a za mało jesz, zostań dziś na kolację, poprosiła go, próbując zwabić pokusą uduszonej kury, którą teraz trzymała mocno w dłoniach, by nie wyrwała jej się w drgawkach agonii, a on powiedział, że dobrze, matko, zostaje, zostawał aż do zmierzchu w wik-

linowym fotelu na biegunach, z zamkniętymi oczami, nie śpiąc, kołysany przez delikatny zapach kury gotującej się w garnku, nie spuszczać z oka biegu naszego życia, gdyż jedynym, co dawało nam poczucie bezpieczeństwa na ziemi, była pewność, że on tam jest, odporny na zarazę i cyklon, odporny na kpinę Manueli Sanchez, odporny na czas, pomazany mesjanistycznym powołaniem myślenia za nas, wiedząc, że my wiemy, iż nie może za nas podjąć żadnej decyzji nie na naszą miarę, albowiem przeżył wszystko nie dzięki swej niepojętej odwadze czy bezgranicznej przezorności, lecz dlatego, że był z nas jedynym, który znał rzeczywisty rozmiar naszego przeznaczenia i sam do tego doszedł, matko, usiadł, by odpocząć po trudach podróży na ostatnim historycznym kamieniu odległej granicy wschodniej, gdzie wyryte były daty i imię ostatniego żołnierza, poległego w obronie niezawisłości ojczyzny, zobaczył ponure i lodowe miasto sąsiedniego narodu, zobaczył wieczną mżawkę, poranną mgłę pachnącą sadzą, ludzi w strojach wizytowych w elektrycznych tramwajach, rodowe pogrzeby w gotyckich karawanach zaprzężonych w białe perszerony z kaskami z piór, okryte gazetami dzieci śpiące w atrium katedry, kurwa, co za dziwni ludzie, wykrzyknął, jakby poeci, ale to nie poeci,

107

panie generale, to Goci-konserwatyści u władzy, powiedzieli mu, i wrócił z tej podróży podekscytowany odkryciem, że nie ma nic, co równałoby się z tym wiatrem zgniłych guajaków, z tą targową wrzawą i z tym głębokim uczuciem zgryzoty o zmierzchu tej nędznej ojczyzny, której granic nigdy nie miał przekroczyć, wcale nie dlatego, że bałby się ruszyć z siodła, w którym siedział, jak mówili jego wrogowie, ale dlatego, że człowiek jest jak drzewo w lesie, matko, jak leśne zwierzęta, co wychodzą z matecznika tylko po to, by zjeść, mówił, wywołując w śmiertelnym przebłysku półsnu sjesty usypiający czwartek sierpniowy sprzed tylu lat, kiedy odważył się wyznać, że zna granice swej ambicji, a wyjawiał to wojownikowi z innych stron i z innej epoki, przyjmując go sam na sam w parzącym mroku gabinetu, owego wstydliwego młodzieńca oszołomionego własną dumą i od urodzenia napiętnowanego stygmatem samotności, który stał nieruchomo w progu, nie decydując się go przekroczyć, póki jego oczy nie przyzwyczaiły się do mroku wyperfumowanego żarem nasłonecznionych glicynii i nie dostrzegły go w obrotowym fotelu z nieruchomą pięścią na gołym stole, tak szarego i zwykłego, że nie miał nic wspólnego ze swym publicznym wizerunkiem, bez eskorty i bez broni, w koszuli przesiąkniętej potem zwykłego śmiertelnika, z liśćmi szalwii przylepionymi do skroni przeciw bólowi głowy, i dopiero wtedy, gdy przekonałem się o niewiarygodnej prawdzie, że ten zgrzybiały starzec jest tym samym bóstwem naszego dzieciństwa, najczystszy wcieleniem naszych snów o chwale, dopiero wtedy wszedł do gabinetu i przedstawił się, wymieniając swoje nazwisko

jasnym i pewnym głosem kogoś, kto oczekuje, iż zostanie rozpoznany dzięki swoim czynom, i on ucisnął mi dłoń swą dłonią łagodną i drobną, dłonią biskupa, i wysłuchał
108

z uważnym zdziwieniem baśniowych snów cudzoziemca, który chciał broni i solidarności dla sprawy będącej również i pańską sprawą, ekscelencjo, chciał logistycznego i politycznego poparcia dla bezlitosnej wojny, co zmiotłaby raz na zawsze wszystkie rządy konserwatystów od Alaski po Patagonię, a on poczuł się tak poruszony tym porywem, że zapytał go, dlaczego bawisz się w te duperele, kurwa, dlaczego chcesz zginąć, a cudzoziemiec odpowiedział mu bez cienia zażenowania, że nie ma chwały większej niż śmierć za ojczyznę, ekscelencjo, a on odpowiedział mu, uśmiechając się pobłaźliwie, nie bądź głupim kutasem, chłopcze, ojczyzna znaczy żyć, powiedział mu, to, właśnie to, powiedział i rozwarł pięść opartą o stół i pokazał mu na dłoni tę szklaną kuleczkę, ona jest tym, co się ma albo czego się nie ma, ale tylko ten, kto ją ma, ten ją ma, chłopcze, to jest ojczyzna, powiedział, klepiąc go na pożegnanie po plecach, nic mu nie dając, nie pocieszywszy go nawet żadną obietnicą, a adiutantowi zamykającemu drzwi rozkazał, by nie przeszkadzali temu człowiekowi, który właśnie wyszedł, żeby nawet nie tracili czasu na jego śledzenie, powiedział, piórka w dupie go świerzbią, nie nadaje się. Nigdy potem nie słyszeliśmy tego zdania, gdyż powtórzył je dopiero po cyklonie, gdy ogłosił nową amnestię dla więźniów politycznych i zezwolił na powrót wszystkich banitów prócz, oczywiście, ludzi pióra, ci nigdy, powiedział, piórka w dupie ich świerzbią jak u kogucików, kiedy się opierzają, są więc do niczego, powiedział, są gorsi od polityków, gorsi od księży, proszę sobie wyobrazić, ale niech wrócą pozostali, bez względu na kolor, by odbudowa ojczyzny była przedsięwzięciem powszechnym, żeby wszyscy zdołali stwierdzić, iż ponownie jest panem całej swojej władzy, z bezwzględnym poparciem sił zbrojnych, które znów
109

były tym, co poprzednio, od czasu gdy rozdzielił pomiędzy członków najwyższego dowództwa transporty żywności, lekarstw i środków opieki społecznej przysyłanych w ramach międzynarodowej pomocy, od czasu gdy rodziny jego ministrów spędzały niedziele nad morzem w polowych szpitalach i w namiotach Czerwonego Krzyża, sprzedawali Ministerstwu Zdrowia transporty plazmy krwi, tony mleka w proszku, które Ministerstwo Zdrowia z kolei sprzedawało szpitalom dla ubogich, oficerowie Sztabu Generalnego zamienili swoje ambicje na kontrakty robót publicznych i programów rekonstrukcji, podjęte za natychmiastową pożyczkę udzieloną przez ambasadora Warrena w zamian za prawo do nieograniczonych połowów dla statków jego kraju na naszych wodach terytorialnych, a co, kurwa, tylko ten, kto ją ma, ten ją ma, mówił, przypominając sobie wie-

lobarwną kuleczkę pokazaną tamtemu biednemu marzycielowi, po którym słuch zaginał, tak podniecony dziełem odbudowy, iż osobiście i żywym słowem zajmował się najmniej znaczącymi szczegółami, niczym w zaraniu swej władzy brodził w rozlewiskach ulic w kapeluszu i butach myśliwego polującego na kaczki, po to, by nie zbudowano innego miasta niż to, które objawiło mu się ku swej chwale w snach samotnego topielca, rozkazywał inżynierom zabrać mi stąd te domy i postawić mi je tam, gdzie nie będą przeszkadzać, zabierali je, podwyższyć tę wieżę jeszcze o dwa metry, żeby można było zobaczyć statki na pełnym morzu, podwyższali, odwrócić bieg tej rzeki, odwracali, bez sprzeciwu, bez śladu zniecierpliwienia, i żył tak oszłomiony tą gorączkową odbudową, tak pochłonięty swym zapalem i tak niezorientowany w innych, pomniejszych sprawach państwa, że rozbił się o twardey mur rze-

110

czywistości, gdy jakiś roztargniony adiutant przez pomyłkę przedłożył mu problem dzieci, a on ze swych obłoków zapytał, jakich dzieci, no, dzieci, panie generale, ale jakich, kurwa, gdyż dotąd zataili przed nim, że wojsko potajemnie trzymało pod strażą dzieci, które ciągnęły losy na loterii, w obawie, że mogłyby wygadać, dlaczego zawsze wygrywał prezydencki los, rodzicom zaś dopytującym się o nie, odpowiadali, że nieprawda, póki nie wymyślili lepszej odpowiedzi, mówili im, że to wymysły bezpieczeństwa, oszczerstwa opozycji, a tych, co zebrali się przed koszarami, odprawili strzałami z moździerza i zrobiła się masowa jatka, którą też przed nim zatailiśmy, żeby panu nie przeszkadzać, panie generale, bo, prawdę mówiąc, dzieci są zamknięte w piwnicach portowej twierdzy w najlepszych warunkach, w znakomitym samopoczuciu i w bardzo dobrym zdrowiu, ale rzecz w tym, że teraz nie wiemy, co z nimi zrobić, panie generale, a jest ich ze dwa tysiące. Niezawodną metodę wygrywania przez siebie loterii znalazł, wcale jej nie szukając, obserwując inkrustowane cyfry kul bilardowych, i był to pomysł tak prosty i olśniewający, iż sam nie mógł w to uwierzyć, gdy zobaczył spragnione tłumy, rozsadzające od południa plac Broni, oddające się zawczasu rozliczaniu cudu w piekącym słońcu, z okrzykami wdzięczności i wymalowanymi transparentami, chwała wieczna najhojniejszemu, szczęście rozdającymemu, zjawili się grajkowie i linoskoczkowie, zjawily się kramy i ruszty, anachroniczne ruletki i bezbarwne loterie z fantami zwierząt, szczątki innych światów i innych czasów, które, węsząc, kręciły się wokół fortuny, próbując pożywić się okruchami tyłu złudzeń, otwarto balkon o trzeciej, poproszono troje dzieci poniżej siedmiu lat, wybranych na chybił trafił przez sam tłum, by

111

nie podawano w wątpliwość uczciwości metody, każdemu dziecku wręczono woreczek w innym kolorze, po spraw-

dzeniu w obecności biegłych świadków, że w każdym woreczku znajduje się dziesięć bilardowych kul ponumerowanych od jednego do zera, uwaga, panie i panowie, tłum wstrzymywał oddech, każde z dzieci wyciągnie z zawiązanymi oczami jedną kulę ze swego woreczka, najpierw dziecko z niebieskim woreczkiem, później z czerwonym, a na koniec z żółtym, troje dzieci, jedno za drugim, wsadzało rękę do swojego woreczka, czuło na dnie dziewięć identycznych kul i jedną kulę zamrożoną i wypełniając rozkaz, który im w sekrecie dawaliśmy, wyciągały zamrożoną kulę, pokazywały ją tłumom, skandowały cyfrę i w ten sposób losowały trzy kule przez wiele dni trzymane w lodzie z trzema numerami losu, które sobie zarezerwował, nigdy jednak nie pomyśleliśmy, że dzieci mogłyby to wygadać, panie generale, skojarzyliśmy to sobie tak późno, że nie pozostało im nic innego, jak ukryć te trójki dzieci, a później piątki, a później dwudziestki, proszę sobie wyobrazić, panie generale, idąc po nitce do kłębka, odkrył bowiem w końcu, że wszyscy oficerowie najwyższego dowództwa sił lądowych, morskich i powietrznych byli zamieszani w cudowne fortuny loterii państwowej, dowiedział się, że pierwsze dzieci weszły na balkon za zgodą swoich rodziców, a nawet przez nich przeszkolone w złudnej nauce rozpoznawania dotykiem numerów inkrustowanych w kości słoniowej, ale że następne zmuszano siłą do wejścia na balkon, ponieważ rozeszła się pogłoska, że dzieci, które raz weszły na balkon, już z niego nie schodziły, rodzice zaczęli ukrywać swoje dzieci, grzebać je żywcem, póki nie przeszły patrole szturmowe poszukujące ich o północy, oddziały specjalne otaczały plac Broni kordonem nie w celu opanowania

112

publicznego obłędu, jak go informowano, ale by powstrzymać tłumy stłoczone jak stada bydła, grożące śmiercią, dyplomaci, którzy poprosili o audiencję, by podjąć się mediacji w konflikcie, natrafili na mur niedorzeczności, bo nawet urzędnicy za wiarygodne podawali im legendy o jego dziwnych chorobach, że nie może ich przyjąć, ponieważ rozmnożyły mu się ropuchy w brzuchu, że może sypiać jedynie na stojąco, by nie uwierały go grzebienie iguany, które rosły mu na kręgach, chowali przed nim orędzia protestacyjne i prośby z całego świata, ukryli telegram od Ojca Świętego, w którym wyrażony był nasz apostolski niepokój o los niewinnych, nie było już miejsca w więzieniach dla tylu zbuntowanych rodziców, panie generale, nie ma już dzieci do poniedziałkowego losowania, o kurwa, ale się wpakowaliśmy w kałużę. Mimo to nie docenił rzeczywistej głębi tej przepaści, póki nie zobaczył dzieci stłoczonych niczym bydło rzeźne na wewnętrznym dziedzińcu portowej twierdzy, zobaczył je wychodzące z piwnic jak gromada kóz oślepionych słonecznym blaskiem po tylu miesiącach nocnej trwogi, zagubiły się w świetle, było ich jednocześnie tyle, iż zobaczył je nie jako dwa tysiące pojedynczych istot, lecz

jako ogromne bezkształtne zwierzę, wydzielające nijaką woń spalonej słońcem sierści, szumiące jak głębiny i chronione przed zniszczeniem dzięki zwielokrotnionej naturze, gdyż nie da się zlikwidować takiej ilości życia, nie zostawiając śladu prerażenia, jakie wstrząsnęłoby całą ziemią, o kurwa, nie było żadnego wyjścia, i z tym przekonaniem zebrał naczelne dowództwo, czternastu drżących dowódców, którzy nigdy tak nie drżeli, bo nigdy nie byli tak wystraszeni, cały czas zszedł mu na przysłądaniu się oczom każdego z nich, dokładnie, po kolei, i wtedy zrozumiał, że jest sam przeciwko wszystkiemu,

113

trzymał więc głowę wyprostowaną i twardym głosem wezwał ich do jedności, obecnie potrzebniejszej niż kiedykolwiek w obronie imienia i godności sił zbrojnych, odpuścił im wszystkie grzechy pięścią ściśniętą na stole, by nie dostrzegli drżenia niepewności, i rozkazał im w konkluzji, by trwali na posterunkach, spełniając swe obowiązki z tym samym zapałem i tą samą determinacją co zawsze, ponieważ moją najwyższą i nieodwołalną decyzją jest, że tutaj nic się nie stało, ogłaszam zamknięcie obrad, ja odpowiadam.

\i

Traktując to jako zwykły środek ostrożności, wyciągnął dzieci z portowej twierdzy i w furgonach wysłał je nocą do najmniej zaludnionych rejonów kraju, sam zaś wywołanej burzy stawiał czoło, oficjalnie i uroczyście oznajmiając, iż nie jest prawdą, jakoby dzieci znajdowały się w rękach rządu, albowiem w zakładach karnych nie przebywa żaden więzień, a oszczerstwa o masowym porywaniu są kalumnią bezpieczeństwa, rozpowszechnianą w celu wprowadzenia zamętu, granice kraju stoją otworem, można ustalić prawdę, przyjechać i sprawdzić, przyjechali, przyjechała komisja Ligi Narodów, wywracając najgłębiej ukryte kamienie kraju i wypytyując do woli, każdego, kogo chciała, z taką skrupulatnością, że Bendición Alvarado zapytała ponoć, kim są ci intruzi przebrani za spirytystów, którzy weszli do jej domu, szukając dwóch tysięcy dzieci pod łózkami, w koszyczku z przyborami do szycia, w słoikach z pędzlami, pod koniec składając publicznie oświadczenie, że naocznie widzieli więzienia puste, ojczyznę w pokoju, każdą rzecz na swym miejscu i że nie znaleźli żadnego znaku potwierdzającego ogólne podejrzenia, iżby miano pogwałcić czy pogwałcono w zamysłach lub czynnie, bądź też przez niedopatrznie, fundamentalne zasady praw człowieka, proszę spać spokojnie, generale, odjechali,

115

pożegnał ich z okna chusteczką obrzeżoną haftem i z uczuciem ulgi po czymś, co kończyło się na zawsze, z Bogiem, skurwysyny, pomyślnych wiatrów i szczęśliwej podróży, westchnął, no i po ptakach, ale generał Rodrigo de Aguilar przypomniał mu, że nie, że jeszcze nie jest po ptakach, bo pozostają dzieci, panie generale, a on klepnął

się w czoło, kurwa, całkiem o tym zapomniał, więc co robimy z dziećmi? Próbując uwolnić się od tych złych myśli do czasu znalezienia ostatecznego rozwiązania, nakazał wydobyć dzieci z ukrycia w puszczy i zawieźć je w przeciwnym kierunku, do prowincji ciągłych deszczy, gdzie nie wiałyby nielojalne wiatry niosące ich głosy, gdzie lądowe zwierzęta gniły w marszu, słowa obrastały irysami, a ośmiornice pływały pośród drzew, rozkazał, by zaprowadzono je do andyjskich grot wiecznych mgieł, by nikt nie wiedział, gdzie są, by przeniesiono je z dżdżystych listopadów gnicia do poziomych dni lutego, by nikt nie wiedział, w jakim czasie przebywają, wysłał im perły chininy i wełniane koce, gdy dowiedział się, że trzęsą się z gorączki, całymi dniami przebywają bowiem ukryte w ryżowiskach, po szyję w błocie, aby nie odkryły ich aeroplany Czerwonego Krzyża, rozkazał pofarbować na czerwono słoneczną jasność i gwiazdne odbłaski, by wyleczyć je ze szkarlatyny, nakazał opylić je z powietrza proszkami owadobójczymi, by nie zżarła ich mszyca bananowa, posyłał im deszcze cukierków i śnieżyce lodów śmietankowych z samolotów, i spadochrony z pakami zabawek bożonarodzeniowych, by przysparzać im radości do czasu znalezienia magicznego rozwiązania, i tak chronił się przed złym urokiem swej pamięci, zapomniał o nich, zatopił się w ponurym trzęsawisku tych samych niezliczonych nocy swych domowych bezsenności, usłyszał metaliczne uderzenie dziewiętej, zdjął śpiące

na
116

I
gzymsach cywilnej rezydencji kury i zaniósł do kurnika, nim dokończył liczyć śpiące na grzędach ptaki, weszła służąca Mulatka, by zebrać jajka, poczuł spiekotę jej wieku, szelest jej spódnic, rzucił się na nią, proszę uważać, generale, mruknęła, drżąc, jajka się potłuką, a niech się potłuką, kurwa, powiedział, zwałił ją jednym szarpnięciem, nie rozbierając jej, sam się nie rozbierając, dręczony pragnieniem ucieczki z nieuchwytniej chwały tego wtorku ośnieżonego zielonymi gówienkami śpiących ptaków, poślizgnął się, runął w złudne oszołomienie otchłani wydrążonej przez sine frędzle ucieczki i strugi potu, i westchnienia dzikiej kobiety, i zwodnicze groźby zapomnienia, padając zostawiał łuk pożądliwych dzwoneczków ulotnej gwiazdy złotej ostrogi, saletrzany ślad swego sapania napalonego męża, swój psi skowyt, swój lęk istnienia poprzez błysk i milczący grzmot natychmiastowego spalania się błyskawicy śmierci, ale na dnie otchłani znów były zasrane ścierniska, bezsenny sen kur, strapienie Mulatki, która wstała z suknią pochłapaną żółtą mazią jajek, utyskując, że no i nie mówiłam, generale, jajka się stłukły, a on odburknął, usiłując opanować wściekłość innej miłości bez miłości, zapisz, ile ich było, powiedział, potrączę ci za nie z twojej pensji, poszedł, była dziesiąta, w oborach zbadał jedno po drugim dziąsła krów, zobaczył

jedną ze swoich kobiet ćwiartowaną bólem na podłodze baraku i zobaczył akuszerkę dobywającą z jej wnętrzości dymiącą istotę z pępowiną owiniętą wokół szyi, był to chłopiec, jakie mu damy imię, panie generale, jakie wam się podoba, odpowiedział, była jedenasta, jak we wszystkie noce swego panowania policzył wartowników, sprawdził zamki, nakrył ptasie klatki, zgasił światła, była dwunasta, w ojczyźnie panował spokój, wszyscy spali, skierował się ku sypialni, przemierzając dom w ciemnościach, poprzez 117

światłne skrzydła migających świtów latarni morskiej, zawiesił lampę od nagłej ucieczki, zasunął trzy sztaby, trzy rygle, trzy zasuwę, usiadł na połowym sedesie i wyciskając z siebie krople moczu, pieścił bezlitosne dziecko chorego jądra, póki jego skręty nie wyprostowały się i nie zasnęło mu w dłoni, ból ustąpił, by po chwili wrócić błyskawicą paniki, gdy oknem wtargnęło uderzenie wiatru spoza kresów saletrzanych pustyń i rozrzuciło po sypialni trociny piosenki młodych tłumów, pytających rycerza, który ruszał na wojnę, wzdychających, co za ból, jaki żal, wspinających się na wieżę, by wypatrywać jego powrotu, doczekać jego powrotu, już z powrotem witanego, jak dobrze w wyścielanej skrzyni, co za ból, jaka żaloba, i był to chór głosów tak licznych i dalekich, iż zasnąłby ze złudzeniem, że to gwiazdy śpiewają, lecz wstał rozjuszony, dosyć, kurwa, krzyknął, albo one, albo ja, krzyknął, i wypadło na nie, bo zanim zaświtało, rozkazał, żeby wsadzono dzieci na barki załadowane cementem, zawieszono śpiewające do granic wód terytorialnych i wysadzono dynamitem w powietrze, pozwalając śpiewać do końca i nie dając im czasu na cierpienie, a gdy trzech oficerowie, którzy popełnili zbrodnię, wyprostowali się przed nim z wiadomością, panie generale, że rozkaz został wykonany, awansował ich o dwa stopnie i odznaczył medalem za lojalność, później jednak kazał ich rozstrzelać bez żadnych honorów niczym pospolitych przestępców, gdyż są takie rozkazy, które można wydać, ale których nie można, kurwa, wykonać, biedactwa. Tak ciężkie doświadczenia potwierdzały jego od dawna żywione przeświadczenie, że najbardziej niebezpieczny wróg siedzi w samym człowieku, w zbyt ufnym sercu, że ludzie, których uzbrajał i wywyższał, czyniąc ostoją swojej władzy, wcześniej czy później 118

ugryzą karmiącą ich rękę, jednym uderzeniem niweczył ich, wyciągał z nicości innych, awansował do stopni najwyższych, na chybił trafił wskazując palcem pod wpływem podszeptów natchnienia, ty na kapitana, ty na pułkownika, ty na generała, reszta na poruczników, a co, kurwa, widział ich rozrastających się w mundurach, aż szwy puszczały, tracił ich z oczu i dopiero przypadek, jak odkrycie dwóch tysięcy porwanych dzieci, wyjawiał mu, że zawiódł go nie jeden człowiek, ale całe naczelne dowództwo sił zbrojnych, oni tylko mleko mi wypijają,

a w godzinę smrodu załatwiają się na talerze, z których przed chwilą jedli, a ja byłem im ojcem i matką, kurwa, wszyscy z mojego zebra, zdobyłem dla nich szacunek i chleb, mimo to jednak nie miał chwili spokoju, próbując zabezpieczyć się przed ich ambicją, najgroźniejszych trzymał bliżej, by pilnować ich lepiej, mniej zuchwałych wysyłał do pogranicznych garnizonów, dla nich zgodził się na okupację piechoty morskiej, matko, nie w celu zwalczenia żółtej febry, jak to napisał ambasador Thompson w oficjalnym komunikacie, i nie w celu ochrony jego osoby przed niezadowoleniem społeczeństwa, jak mówili emigracyjni politycy, ale po to, żeby naszych wojskowych nauczyli być porządnymi ludźmi, i tak było, matko, każdemu według potrzeb, oni nauczyli ich chodzić w butach, podcierać się papierem, używać prezerwatyw, to oni nauczyli mnie sekretu utrzymywania paralelnych służb, by podsycać pomiędzy rozdzielonymi oficerami rywalizację, wymyślili mi urząd bezpieczeństwa państwa, generalną agencję śledczą, krajowy departament porządku publicznego i tyle innych dupereli, że nawet ja ich nie mogłem zapamiętać, organa o tych samych zadaniach, które ukazywał jako odmienne, by z większym spokojem panować w środku burzy, dając jednym do zrozumienia,

119

że są pilnowani przez drugich, mieszając im proch z garnizonowych arsenałów z nadmorskim piaskiem i gmatwając prawdę swych zamiarów pozorami prawdy przeciwnej, a mimo to buntowali się, wpadał do koszar, tocząc pianę żółci, krzycząc, na bok, skurwysyny, bo idzie ten, co rządzi, zaskakując przerażonych oficerów, którzy ćwiczyli oko, strzelając do moich portretów, rozbroić ich, rozkazał, nie zatrzymując się, ale z taką władczą wściekłością w głosie, że rozbroili się sami, rozbierać się, to mundur tylko dla mężczyzn, rozkazał, rozebrali się, zbuntowała się baza San Jerónimo, panie generale, wszedł główną bramą, powłócząc stopami zbolełego starca pośród dwuszeregu rebelianckich żołnierzy, którzy oddali mu honory należne generałowi i naczelnemu wodzowi, zjawił się w sali zrewoltowanego dowództwa, bez eskorty, bez broni, ale spalając się we władczym krzyku, padnij, bo tu przybył wszechmogący, na ziemię, złe nasienia, dziewiętnastu oficerów Sztabu Głównego padło na posadzkę, przeciągnięto gryzących ziemię przez miasteczka wybrzeża, by zobaczyli, ile jest wart oficer bez munduru, skurwysyny, usłyszał przebijające się przez koszarowy tumult własne, nieodwołalne rozkazy, by strzałem w plecy rozstrzelać prowodyrów rebelii, wystawiono na pokaz trupy powieszzone za kostki w słońcu i słońcu, by do każdego dotarło, jaki koniec czeka tych, co plują na Boga, włóczykije, zabawa nie kończyła się jednak na tych krwawych czystkach, gdyż przy najmniejszej nieuwadze znów stykał się z groźnymi mackami tego pasożyta, którego, jak sądził, wyrwał już z korzeniami, a który znów rozmnażał się w wiatrach jego potęgi, w cieniu

nieuchronnych przywilejów, okruchów władzy i wyrachowanego zaufania, jakim musiał obdarzać najdzielniejszych oficerów, nawet wbrew sobie samemu, gdyż niepodobna

120

było bez nich utrzymać się przy władzy, ale i z nimi nie dawało się, na zawsze skazany na oddychanie tym samym dławiącym go powietrzem, kurwa, to niesprawiedliwe, tak jak nie sposób jest żyć z tym ustawicznym, niewinnym zaskoczeniem mego przyjaciela, generała Rodriga de Aguilara, który wszedł do gabinetu z trupią twarzą, pragnąc dowiedzieć się, co się stało z tymi dwoma tysiącami dzieci mojej wielkiej wygranej, bo wszyscy mówią, że utopiliśmy je w morzu, a on obojętnie powiedział, żeby nie wierzył w oszczerstwa bezpieczeństwa, kumie, dzieci dorastają w bożym pokoju, powiedział mu, co noc słyszę, jak tam śpiewają, powiedział z szerokim gestem dłoni, wskazując nieokreślone miejsce wszechświata, i nawet ambasador Evans odszedł w mżawce niepewności, gdy spokojnie odrzekł mu, że nie wiem, o jakich dzieciach pan mówi, przecież nawet delegat pańskiego kraju przy Lidze Narodów oświadczył publicznie, że wszystkie dzieci, całe i zdrowe, są w szkołach, a co, kurwa, już po ptakach, a jednak nie mógł się ustrzec przed budzeniem go o północy wiadomością, że, panie generale, zbuntowały się największe garnizony w kraju, i do tego koszary Conde, o dwie przecznice od pałacu prezydenckiego, najgroźniejsza rewolta dowodzona przez generała Boniventa Barboza, który okopał się, z półtora tysiącem żołnierzy doskonale uzbrojonych i dobrze zaopatrzonych w sprzęt zakupiony z przemytu dzięki pośrednictwu związanych z opozycyjnymi politykami konsulów, rzeczy mają się więc tak, że z palcem w dupie już się tego nie załatwi, panie generale, teraz to już na pewno diabli nas wezmą. W innej epoce ten wulkaniczny rokosz pobudziłby jego żyłkę ryzyka, ale lepiej od kogokolwiek znał prawdziwy ciężar swego wieku i wiedział, że ledwie starczy mu sił, by oprzeć się spustoszeniu własnego

121

sekretnego świata, że w zimowe noce nie może zasnąć, nie uśmierzywszy przedtem w zagłębieniu dłoni czułym gruchaniem, lulajże, lulajże, skarbie mój, dziecińcy gwizdzącej boleśnie, chorego jądra, że stygł w zapale, gdy siedząc na sedesie wyzymał swą duszę kropla po kropli, jakby przepuszczając ją przez filtr zaśniedziały od siusiania przez tyle nocy w samotności, że pruły mu się wspomnienia, że już nie trafiał bezbłędnie w rozpoznawaniu, kim kto jest ani z czyjego polecenia, na łasce nieuchronnego przeznaczenia w tym domu godnym litości, który już dawno zmieniłby na inny, daleko stąd, na byle zakątek zdychających Indian, gdzie nikt by nie wiedział, że był prezydentem ojczyzny przez tyle lat i to tak długich, że nie zliczyłby ich nawet on, gdy jednak generał Rodrigo de Aguilar zaoferował usługi mediacyjne, by w negocjacjach doprowadzić do jakiegoś przyzwoitego kompromisu z re-

beliantami, natknął się nie na zidiociałego starca, który zasypiał podczas audiencji, lecz na rozjuszzonego bizona, który bez chwili namysłu odpowiedział, że za żadną cholere, że nie odejdzie, chociaż nie była to sprawa odejścia czy nie odejścia, ale tego, że wszystko sprzysięgło się przeciwko nam, panie generale, nawet Kościół, ale on powiedział, że to nie Kościół rządzi, powiedział, generałowie z naczelnego dowództwa zebrani od czterdziestu ośmiu godzin nie zdołali uzgodnić swych stanowisk, nie szkodzi, powiedział, zobaczysz, jak szybko uzgodnią, gdy dowiedzą się, kto im więcej płaci, przywódcy opozycji cywilnej w końcu się ujawnili i jawnie konspirują na ulicy, tym lepiej, powiedział, powieś po jednym z nich na każdej latarni placu Broni, żeby dowiedzieli się, kto tu naprawdę jest wszechmocny, nie da rady, panie generale, ludzie są z nimi, kłamstwo, powiedział, ludzie są ze mną, więc jeśli mnie stąd ruszą, to tylko martwego, postanowił, uderzając

122

w stół swoją szorstką panieńską dłońią, tak jak to robił jedynie przy decyzjach ostatecznych i zasnął aż do pory udoju, kiedy to ujrzał rumowisko sali audiencyjnej, rebelianci z koszar Conde wystrzelili bowiem z katapult, nie pozostawiając ani jednej szyby we wschodnich krużgankach, kamienie i ogniste kule wpadające przez rozbite szyby i szerzące przez całą noc panikę wśród mieszkańców pałacu, gdyby pan to widział, panie generale, oka nie zmrużyliśmy, biegając z kąta w kąt, z kocami i kubłami wody, by zdusić ogień wybuchający w najmniej przewidzianych miejscach, ale on puścił to mimo uszu, już mówiłem, byście nie zawracali sobie nimi głowy, mówił, powłócząc swymi nagrobnymi stopami po korytarzach popiołów, wystrzępionych dywanów i okopconych gobelinów, ale oni nie przestaną, mówili mu, przysłali wiadomość, że płonące kule to tylko ostrzeżenie, a później będą eksplozje, panie generale, ale on minął ogród, nie zwracając na nikogo uwagi, w ostatnich cieniach odetchnął głęboko szelestem świeżo narodzonych róż, kogucim rozgardiaszem w morskim wietrze, co robimy, panie generale, już powiedziałem, żebyście nie zawracali sobie nimi głowy, kurwa, i poszedł jak co dzień o tej porze dopilnować udoju, by rebelianci z koszar Conde ujrzeni nadzieżdżający, jak co dzień o tej porze, wóz zaprzężony w muły, z sześcioma beczkami mleka z prezydenckiej obory i siedzącym na koźle tym samym, odwiecznym woźnicą, który przekazywał ustnie, że pan generał przesyła im mleko, choćby nie przestali gryźć karmiącej ich ręki, wykrzyknął to z taką nienawiścią, że generał Bonivento Barboza rozkazał przyjąć mleko pod warunkiem, że wpierv go spróbuje woźnica, by upewnić się, że nie jest zatrute, i wtedy otworzyły się żelazne wrota, i półtora tysiąca rebeliantów wychylających się z wewnętrznych

123

tarasów ujrzało wóz wtaczający się na środek wybrukowanego dziedzińca, zobaczyli ordynansa z dzbankiem i wa-

rzączwią włączącego na kozioł, by dać woźnicy mleko do spróbowania, zobaczyli, jak otwiera pierwszą beczkę, zobaczyli, jak unosi się na ulotnych wodach spokoju oślepiającej eksplozji, i nic więcej już nie zobaczyli na wieki wieków w wulkanicznym żarze ponurego gmachu z żółtego cementu, gdzie nigdy nie było żadnego kwiatu, i którego ruiny zawisły przez chwilę w powietrzu straszliwej eksplozji sześciu beczek dynamitu. No to już, westchnął w pałacu prezydenckim, drżąc od sejsmicznego oddechu, co powalił jeszcze cztery domy wokół koszar i rozbił ślubne kryształły w kredensach za murami miasta, no to już, westchnął, gdy furgony śmieciarzy wywiozły z dziedzińców twierdzy portowej trupy osiemnastu oficerów, rozstrzeliwanych po dwóch, dla zaoszczędzenia amunicji, no to już, westchnął, gdy komendant Rodrigo de Aguilar stanął przed nim na baczość z wiadomością, panie generale, że w więzieniach znów nie ma miejsca dla więźniów politycznych, no to już, westchnął, gdy zaczęły bić dzwony radości, petardy jarmarku, muzyka chwały, ogłaszając nadejście kolejnych stu lat pokoju, no to już, kurwa, po ptakach, powiedział i żył dalej, tak głęboko o tym przekonany, tak o sobie nie dbając, tak obojętny na bezpieczeństwo swej osoby, że pewnego ranka na dziedzińcu, kiedy wracał z udoju, dał się zwieść instynktowi i nie zdążył dostrzec, jak fałszywy trędowaty nagle wyskakuje zza różanych krzewów, odcinając mu drogę w ociężałej mżawce października, i zbyt późno zobaczył krótki błysk wypolerowanego rewolweru, palec drżący na spuście, i krzyknął, rozpościerając ręce i wypinając pierś, odważ się, skurwielu, odważ się, otępiały ze zdziwienia, że oto wybija jego godzina wbrew najmędrszym przepowied-

124
niom, strzelaj, jeśli masz jaja na swoim miejscu, krzyknął w niedostrzegalnej chwili wahania, a już zapaliła się sina gwiazda na niebie oczu napastnika, już zwiędły mu usta, załamała się nieugięta wola i wtedy zadał dwa ciosy obuchem w głowę tamtego, powalił go od razu, ogłuszył na ziemi kopnięciem mózdzierzowego tłuczka w szczękę, usłyszał wrzaski nie z tego świata nadlatującej na jego krzyki warty, przeszedł nad niebieskim płomieniem nieprzerwanego gromu pięciu eksplozji skręconego w kałuży krwi fałszywego trędowatego, który wpakował sobie w brzuch pięć rewolwerowych kul, by go nie wzięli żywcem bezlitośni siepacze gwardii prezydenckiej, usłyszał przebijające się przez inne krzyki wrzącego domu swoje własne nieodwołalne rozkazy, by poćwiartowano ciało ku przestrodze, pocięto je, głowę natartą solą kamienną wystawiono na widok publiczny na placu Broni, prawą nogę na wschodniej granicy w Santa Maria del Altar, lewą na bezkresnym zachodzie saletrzaney pustyni, jedno ramię na równinach, drugie w dżungli, kawałki korpusu smażone w smalcu i trzymane w słońcu i słońcu, póki nie zostaną same oskubane kości, pocięte wzdłuż, na chybił trafił i na przekór temu burdelowi czarnuchów, by

do każdego dotarło, jaki koniec czeka tych, co podnoszą rękę na własnego ojca, i jeszcze zielony z wściekłości ruszył przez rozarium, które gwardia prezydencka ostrzami bagnetów oczyszczała z trędowatych, by zobaczyć, czy się w końcu ujawnią, włóczykije, wszedł na piętro, rozpychając paralityków kopniakami, zobaczymy, czy wreszcie się nauczą, kto nadmuchał brzuchy ich matkom, skurwysyny, przeszedł korytarzem, krzycząc, na bok, kurwa, bo tu nadchodzi ten, co rządzi, pośród paniki urzędników i bezczelnych pochlebców ogłaszających go wiecznym, wszędzie w domu zostawiał za sobą ślad

125
kamiennej smugi sapiącego pieca, niczym przelotna błyskawica przemknął przez salę audiencyjną w stronę prywatnych pokoi, wszedł do sypialni, zasunął trzy sztaby, trzy rygle, trzy zasuwki i końcami palców zdjął z siebie spodnie zapaprane gównem. Nie zaznał chwili spoczynku, węsząc wokół siebie, by odnaleźć ukrytego wroga, który uzbroił fałszywego trędowatego, czuł bowiem, że był to ktoś z jego otoczenia, ktoś tak bliski jego życiu, że znał nawet schowki jego pszczelego miodu, ktoś, kto miał oczy w zamkach i uszy w ścianach o każdej dobie i na każdym miejscu, jak moje portrety, ktoś o ruchliwej obecności świszczącej w pasatach stycznia i dostrzegający go z jaśminowego żaru w upalne noce, i prześladujący go miesiącami w trwodze bezsenności, gdy włókł swoje przerażające stopy widma przez najbardziej odosobnione pokoje domu, w ciemnościach, aż do tej nocy, kiedy podczas gry w domino zobaczył przepowiednię, ucieleśnioną w zamyślonej dłoni kończącej grę podwójną piątką, i tak jakby jakiś wewnętrzny głos wyjawiał mu, że ta dłoń jest dłonią zdrady, o kurwa, to ten, powiedział sobie zdziwiony, i wtedy uniósł wzrok poprzez strumyk światła lampy zawieszanej nad środkiem stołu, i napotkał piękne oczy artylerzysty, mego przyjaciela od serca, generała Rodriga de Aguilara, no to wesoło, jego silne oparcie, jego odwieczny sprzymierzeniec, to niemożliwe, myślał tym bardziej zboląły, im dogłębniej badał osnowę fałszywych prawd, jakimi przez tyle lat karmiono go, by ukryć brutalną prawdę, że mój najwierniejszy przyjaciel był na służbie polityków z bożej łaski, których on wyciągnął z najciemniejszych zakamarków wojny federalnej, bo tak mu pasowało, wzbogacił ich i okadził bajkowymi przywilejami, dawał się przez nich wykorzystywać, pozwalał, aby posługiwali się nim, by wznieść się tam, gdzie dawnej

126
arystokracji, zmiecionej podmuchem liberalnej zawieruchy, nawet się nie śniło, i jeszcze chcieli więcej, kurwa, chcieli zająć miejsce wybrańca Boga, które on sobie zarezerwował, chcieli być mną, podłe nasienia, idąc drogą oświetloną lodowatym rozsądkiem i bezgraniczną ostrożnością człowieka, który najwięcej zaufania i najwięcej władzy zdołał zyskać dzięki jego rządóm, wykorzystując przywilej, iż był jedyną osobą, od której przyjmował

dokumenty do podpisu, każąc odczytywać mu na głos ustawy i ministerialne dekrety, które tylko ja mogłem wydawać, wskazywał mu poprawki, podpisywał, odciskając ślad kciuka i przykładając pod spodem pieczęć pierścienia, wówczas trzymanego w kasie pancерnej otwieranej szyfrem nieznanym nikomu prócz niego, na zdrowie, kumie, mówił mu, zawsze oddając podpisane dokumenty, bierzcie je, będziecie mieli czym się podetrzeć, mówił, śmiejąc się, i było to tak, jakby generał Rodrigo de Aguilar zdołał ustanowić wewnątrz władzy inny system władzy, tak rozgałęziony i dobrze funkcjonujący jak mój, i nie zadowolając się tym, wszczął z ukrycia rebelię w koszarach del Conde, przy współudziale i nieograniczonej pomocy ambasadora Nortona, kompana od holenderskich kurw, swego mistrza szermierki, który przemycił z Norwegii amunicję w beczkach na dorsze, chroniony przez dyplomatyczny immunitet, w tym samym czasie balsamując mnie przy stoliku domina ogarkami kadzidla, że nie ma bardziej życzliwego ani sprawiedliwego i przykładowiejszego niż mój rząd, i to również oni włożyli rewolwer w rękę fałszywego trędowatego razem z tymi pięćdziesięcioma tysiącami pesos w przeciętych na pół banknotach, które znaleźliśmy zakopane w domu zamachowca i których drugie połówki miał otrzymać po dokonaniu zbrodni od mojego rodzzonego przyjaciela, matko, no i zobacz, co

127
za gorzka niespodzianka, a jednak po klęsce nie poddali się, lecz obmyślili w końcu zamach doskonały, bez przelewania kropli krwi, nawet jego własnej, panie generale, gdyż generał Rodrigo de Aguilar był najbardziej wiarygodnym świadkiem, że nie śpiąc po nocach, rozmawiam z doniczkami i olejnymi portretami bohaterów i arcybiskupów pałacu w ciemnościach, że wkładam termometr krowom i karmię je fenocytyną, aby obniżyć im gorączkę, że kazałem zbudować mauzoleum dla jakiegoś admirała mórz i oceanów, który istniał tylko w mojej chorej wyobraźni, podczas gdy ja sam widziałem na własne miłosierne oczy trzy karawele, zakotwiczone na wprost mojego okna, że w niepohamowanej manii kupowania wymyślnych aparatów sprzeniewierzył fundusze publiczne i że nawet usiłował nakłonić astronomów do naruszenia Układu Słonecznego, by przypodobać się jakiejś królowej piękności, istniejącej jedynie w majakach jego obłądu, i że w ataku starczego otępienia rozkazał wsadzić dwa tysiące dzieci na barkę załadowaną cementem, która na pełnym morzu została wysadzona w powietrze, proszę sobie wyobrazić, co za skurwysyny, i to na podstawie tych niepodważalnych świadectw generał Rodrigo de Aguilar i Sztab Generalny gwardii prezydenckich postanowili jednomyślnie internować go w przytułku dla wielce zasłużonych starców na skalistej skarpie, o północy 1 marca, podczas dorocznej kolacji na cześć Anioła Stróża, patrona straży przybocznej, to znaczy za trzy dni, panie generale, proszę sobie wyobrazić, ale pomimo

nieuchronności i rozmiarów spisku nie uczynił żadnego gestu, który mógłby obudzić podejrzenia, iż został przez niego wykryty, wprost przeciwnie, gdyż o ustalonej godzinie przyjął jak co roku gości, członków swej przybocznej straży i wskazał im miejsca przy bankietowym stole,
128

i poprosił, by częstowali się zakąskami, wstrzymując się ze wzniesieniem honorowego toastu do chwili przybycia generała Rodriga de Aguilara, gawędził z nimi, śmiał się z nimi, oficerowie zaś, jeden po drugim, niby w roztargnieniu spoglądali na zegarki, przykładali je do ucha, nakręcali, była za pięć dwunasta, ale generał Rodrigo de Aguilar nie nadchodził, biła spiekota pachnącego kwiatami okrętowego kotła, pachniały gladiole i tulipany, w zamkniętej sali dławiała woń żywych róż, ktoś otworzył okno, odetchnęliśmy, spojrzeliśmy na zegarki, poczuliśmy delikatny powiew znad morza, zmieszany z zapachem świeżej potrawy weselnego stołu, wszyscy pocili się oprócz niego, wszyscy poczuliśmy torturę tej parnej chwili w nienaruszonym blasku leciwego zwierzęcia, mrugającego otwartymi oczami we własnej przestrzeni, zarezerwowanej w innym wieku świata, na zdrowie, powiedział, znów uniosła kieliszek nieodwołalna dłoń smukłego irysa, którą przez całą noc wznosił toasty, nic nie pijąc, w ciszy przepaści ostatecznej rozległ się zgrzyt wnętrzości zegarków, biła dwunasta, ale generał Rodrigo de Aguilar nie nadchodził, ktoś usiłował wstać, przepraszam, powiedział, ukamienował go śmiertelnym wzrokiem rozkazu, nie ruszać się, nie oddychać, nie żyć bez mojego przyzwolenia, póki nie przebrzmiało ostatnie uderzenie dwunastej, i wtedy rozsunęły się zasłony, i pojawił się znamienity generał dywizji Rodrigo de Aguilar na srebrnej tacy, ułożony w całej swej okazałości i długości, w przybraniu kalafiorów i liści laurowych, natarty przyprawami, przyrumieniony w piecu, usztywniony w mundurze pięciu złotych migdałów na uroczyste okazje, z naszywkami bezgranicznej odwagi na rękawie ręki urwanej do połowy, z czternastoma funtami medali na piersi, z natką pietruszki w ustach, w sam raz gotowy do podania przez
129

oficjalnych oprawiaczy na bankiecie swych towarzyszy, wobec skamieniałych z przerażenia gości, którzyśmy z zapartym tchem śledzili wytworną ceremonię ćwiartowania i porcjowania, i gdy na każdy talerz nałożono po równej porcji ministra obrony, z farszem szyszkowych ziarenek i wonnych ziół, on dał rozkaz, że można zacząć, smacznego, panowie. Ominął tyle raf ziemskich nieporządków, tyle zgubnych zaćmień, tyle kul ognistych na niebie, że zdawało się niemożliwe, by ktoś w naszych czasach ufał jeszcze karcianym zapowiedziom dotyczącym jego przeznaczenia. A jednak w trakcie przygotowań do złożenia i zabalsamowania ciała, nawet my, najmniej naiwni, oczekiwaliśmy, nie wyznając tego, spełnienia dawnych przepowiedni, że w dniu jego śmierci muł

z trzęsawisk wróci dopływami do swych źródeł, że spadnie deszcz krwi, że kury zniosą pięcioboczne jajka i że cisza i ciemność znów zapanują we wszechświecie, albowiem miał to być koniec dzieła stworzenia. Trudno było w to nie wierzyć, skoro jeszcze nieliczne wydawane gazety nadal głosiły jego wieczność i fałszowały jego blask, publikując archiwalne materiały, ukazywano go nam codziennie w znieruchomiałym czasie tytułowych stron, w obcisłym mundurze pięciu smutnych słońc z czasów jego chwały, z większym niż kiedykolwiek autorytetem, zapobiegliwością i w lepszym zdrowiu, mimo że od długiego czasu straciliśmy rachubę jego lat, znów inaugurował na tych samych co zawsze portretach znane pomniki lub gmachy użyteczności publicznej, których nikt na oczy nie widział, przewodniczył uroczystościom określany jako wczorajsze, w rzeczywistości zaś obchodzonym w poprzednim wieku, chociaż wiedzieliśmy, że to nieprawda, że nikt nie widział go pojawiającego się publicznie od okrutnej śmierci Letycji Nazareno, gdy

130

został sam w tym niczym domu, a codzienne sprawy rządu jakoś tam szły, wyłącznie dzięki sile bezwładu jego bezkresnej władzy od tylu lat, zamknął się aż do śmierci w zniszczonym pałacu i z najwyższych okien tego pałacu przyglądaliśmy się ze ściśniętym sercem temu samemu żalobnemu zmierzchowi, który tyle razy oglądał ze swego tronu złudzeń, widzieliśmy pulsujące światło latarni morskiej zalewające swymi zielonymi i płytkimi wodami salony w ruinie, widzieliśmy lampy biedaków wewnątrz skorupy tego, co było przedtem rafami lustrzanych szyb nowych ministerstw opanowanych przez hordy nędzarzy, gdy kolorowe baraki wzgórz portowych zostały zniesione przez kolejny, jeden z tak wielu naszych cyklonów, widzieliśmy w dole rozproszone i dymiące miasto, migający horyzont białych błyskawic w kraterze popiołu sprzedanego morza, pierwszą noc bez niego, jego rozległe nadwodne imperium zawilców malarii, jego upalne osady w deltach mulistych dopływów, chciwe ogrodzenia kolczastych drutów jego prywatnych prowincji, gdzie rozmnażał się bez ograniczeń ilości i wagi nowy gatunek wspaniałych krów, które rodziły się z dziedzicznym piętnem prezydenckim. Ostatecznie nie tylko uwierzyliśmy, że naprawdę został poczęty, aby przeżyć trzecią kometę, ale zarazem przekonanie to wzbudziło w nas takie poczucie bezpieczeństwa i spokoju, że nieporadnie ukrywaliśmy je za wszelkiego rodzaju dowcipami o starości, że przypisywaliśmy mu starcze zalety żółwi i zwyczaję słoni, opowiadaliśmy w barach, że ktoś poinformował Radę Ministrów o jego zgonie, a wszyscy ministrowie popatrzyli na siebie przestraszeni i przestraszeni zapytali, no i kto teraz odważy mu się to powiedzieć, cha, cha, cha, gdy w rzeczywistości niewiele obeszlaby go ta wiadomość, i nawet sam nie byłby nazbyt pewny, czy ten uliczny

131

dowcip jest prawdą czy zmyśleniem, nikt wówczas prócz niego nie wiedział bowiem, że w zakamarkach pamięci pozostawało mu zaledwie kilka luźnych strzępów po śladach przeszłości, był sam na świecie, głuchy jak lustro, wlokąc swoje ciężkie stopy zgrzybiałego starca po mrocznych urzędach, gdzie ktoś w surducie i nakrochmalonym kołnierzu dał mu tajemniczy znak białą chusteczką, pa, pa, powiedział on, omyłka przemieniła się w prawo, urzędnicy pałacu prezydenckiego musieli stawać z białą chusteczką, gdy przechodził, wartownicy na korytarzach, trędowaci w różach, gdy przechodził, machali mu białą chusteczką, pa, pa, panie generale, pa, pa, ale on nie słyszał, nie słyszał nic od czasów żałobnych zmierzchów Letycji Nazareno, kiedy myślał, że ptakom w klatkach głos się zdziera od śpiewu, i karmił je swoim własnym pszczelim miodem, by głośniej śpiewały swe kantyczki, wlewał do dziobów kroplomierzem krople kantarydyny, śpiewał im piosenki z innej epoki, lśniący księżycu styczniowy, śpiewał, nie zdawał sobie bowiem sprawy, że to nie ptaki traciły siłę głosu, lecz on coraz gorzej słyszał, i pewnej nocy bzycczenie bębenków rozprysło się na kawałki, skończyło się, zamieniło w powietrze betonu, przez które ledwie przedostawały się lamenty pożegnań złudnych statków mroków władzy, przebijały się wiatry wyobraźni, wrzawa wewnętrznych ptaków, które ostatecznie pocieszyły go w otchłani ciszy po ptakach rzeczywistych. Tych kilka osób, mających prawo wstępu do prywatnej rezydencji, widziało go w wiklinowym fotelu na biegunach, znoszącego tortury spiekoty godziny drugiej po południu w cieniu bugenwilli, rozpiął kurtkę, odpiął szablę z szarfą w barwach narodowych, zzuł buty, ale nie zdejmował purpurowych skarpetek z dwunastu tuzinów zrobionych przez prywatnych pończoszników Ojca Świętego i przez

132
niego osobiście przysłanych, dziewczynki z sąsiedniego gimnazjum, wspinając się po ogrodzeniu na tyłach, gdzie nie trzymano tak ostrych straży, wielokrotnie zaskakiwały go na tej bezsennej drzemce, bladego, z leczniczymi ziołami przyklejonymi na skroniach, pocętkowanego kałużami światła z werandy, w ekstazie płaszczyki odwróconej do góry brzuchem na dnie stawu, stary ramol, krzyczały, widział je zniekształcone przez rozedrganą mgiełkę upału, uśmiechał się do nich, pozdrawiał je dłonią bez atłasowej rękawiczki, ale ich nie słyszał, czuł mulistą woń krewetek w morskiej bryzie, czuł kurze dzioby na palcach stóp, ale nie czuł świetlistego grzmotu cykad, nie słyszał dziewczynek, nie słyszał nic. Jedynym kontaktem z rzeczywistością tego świata było wtedy dla niego kilka luźnych skrawków najważniejszych wspomnień, tylko one utrzymywały go przy życiu, gdy pozbył się spraw rządowych, by unosić się w niewiedzy otchłani władzy, tylko im stawiał opór w niszczyielskich porywach nadmiaru swych lat, gdy o zmierzchu błędził po bezludnym domu, chował się w ciemnych biurach, obrywał marginesy akt

i na nich spisywał swym ozdobnym pismem ocalałe resztki ostatnich wspomnień chroniących go przed śmiercią, pewnej nocy napisał, nazywam się Zachariasz, przeczytał to w pulsującym świetle latarni morskiej, przeczytał to jeszcze wiele razy i tak często powtarzane imię wydało mu się w końcu dalekie i obce, o kurwa, powiedział sobie, rwąc na strzępy pasek papieru, ja to ja, powiedział sobie i napisał na innym pasemku, że skończył sto lat w czasach, kiedy znowu przeszła kometa, chociaż wtedy nie był pewny, ile razy widział jej przelot, i napisał z pamięci na innym, dłuższym pasemku, cześć rannemu i cześć wier-
nym żołnierzom, których życia pozbawiła obca ręka, gdyż były okresy, kiedy zapisywał wszystko, co mu przyszło na

133
myśl, wszystko, co wiedział, napisał na kartonie i szpil-
kami przypiął na drzwiach ubikacji, że surowo zabrania
się robić sfiństfa wóbiakach, bo przez pomyłkę otworzył
te drzwiczki i zaskoczył oficera wysokiej rangi ona-
nizującego się w kucki nad sedesem, zapisywał niewiele
zapamiętanych spraw, by upewnić się, że nigdy ich nie
zapomni, Letycja Nazareno, pisał, moja jedyna i pra-
wowita małżonka, która nauczyła go czytać i pisać w pełni
starości, z całych sił starał się wywołać w pamięci jej
publiczny wizerunek, chciał znów ujrzeć ją z parasolką
z tafty w narodowych barwach i etoli pierwszej damy
z kit srebrnych lisów, ale powracało mu tylko wspo-
mnienie Letycji nagiej o drugiej po południu w mącznym
świetle moskitiery, przypominał sobie ociążały odpo-
czynek tego ciała łagodnego i sinego w bzczeniu elek-
trycznego wentylatora, czuł twoje żywe sutki, twój za-
pach suki, żrący wyziew twoich dzikich dłoni klasztornej
nowicjuszki, od którego ścinało się mleko, rdzewiało
złoto i wędły kwiaty, ale to były dłonie dobre do
miłości, tylko ona bowiem osiągnęła niepojęty triumf,
że ściągnij buty, bo zabrudzisz moje brabanckie prze-
ścieradła, i ściągał je, zdejmij ten rynsztunek, bo mnie
uwierasz sprzączkami w serce, i zdejmował go, zdejmij
szablę i bandaż, i sztylpy, zdejmij wszystko, życie moje,
bo cię nie czuję, i zdejmował z siebie wszystko dla
ciebie, czego przedtem nigdy nie czynił i nie uczynił
nigdy potem przy żadnej kobiecie po Letycji Nazareno,
mojej jedynej i prawowitej miłości, wzdychał, zapisywał
westchnienia na pasemkach wyrywanych z pozółkłych
akt, skręcając je później jak papierosy i chowając w naj-
mniej spodziewanych zakątkach pałacu, gdzie tylko on
mógł je znaleźć, by przypomnieć, gdzie nikt ich nigdy
nie znalazł, nawet kiedy ostatnie krople obrazu Letycji

134
Nazareno spłynęły rynnami pamięci i pozostało jedynie
niezniszczalne wspomnienie jego matki, Bendición Al-
varado, podczas wieczorów pożegnań w podmiejskiej
rezydencji, jego matki umierającej, która zwoływała kury,
grzechocząc ziarnami kukurydzy w tykwie, by nie spo-
strzegł, że ona umiera, nadal nosiła mu owocowe soki

do hamaka zawieszono między tamaryndowcami, aby nie zaczął podejrzewać, iż ledwo oddycha z bólu, jego matka, która poczęła go sama, urodziła go sama i sama gniła, póki samotnicze cierpienie nie rozrosło się tak bardzo, że stało się silniejsze od dumy, i musiała poprosić syna, popatrz na moje plecy i zobacz, skąd ten piekący żar, co nie daje mi żyć, i zdjęła koszulę, odwróciła się, a on przyjrzał się, powstrzymując okrzyk trwogi, plecocom przemacerowanym przez dymiące wrzody, w których smrodzie wyciśniętych owoców guajany pękały bąbelki pierwszych larw. Złe to były czasy, panie generale, nie było tajemnic państwowych niebędących własnością publiczną, nie było rozkazu, który byłby z całą pewnością wykonany od czasu, gdy na bankietowy stół podano przepyszno trupa generała Rodriga de Aguilara, ale jego to nie obchodziło, nie obchodziła go kulejąca władza podczas gorzkich miesięcy, gdy jego matkę trawił wolny ogień gnicia w sypialni przylegającej do jego pokoju, po tym, jak najbardziej doświadczeni w azjatyckich plagach lekarze orzekli, że choroba jej nie jest ani dżumą, ani świerzbem, ani pianem, ani żadną inną zarazą Wschodu, lecz wywołana jest jakimś urokiem Indian, wyleczalna jedynie przez tego, kto urok rzucił, on zaś zrozumiał, że to jest śmierć, i zamknął się, by z matczynym oddaniem zająć się swoją matką i gnić razem z nią, by nikt nie widział, jak dusi się we własnym sosie larw, rozkazał, by jej kury przeniesiono do cywilnej rezydencji,

135

by przyniesiono pawie, przemalowane ptaki, które chodziły własnymi ścieżkami po salonach i biurach, by jego matka nie zaczęła tęsknić do swych wiejskich zajęć w podmiejskiej rezydencji, sam rozpalał polana z aromatycznego drzewa w sypialni, by nikt nie poczuł odoru ścierwa umierającej matki, sam nacierał kojącymi maściami świeżych roślin ciało czerwone chromową rtęcią, żółte pikrynianem, błękitne metylenem, sam nacierał tureckimi balsamami dymiące wrzody, wbrew ministrowi zdrowia panicznie bojącemu się uroków, a co, kurwa, to i lepiej, jak umrzemy razem, matko, mówił, ale Bendición Alvarado wiedziała, że tylko ona umiera, i próbowała wyjawiać synowi sekrety rodzinne, których nie chciała zabrać z sobą do grobu, opowiadała mu, jak jej łożysko rzucili świniom, proszę pana, jak to się stało, że nigdy nie mogłam ustalić, który z tylu przydrożnych uciekinierów był twoim ojcem, próbowała przekazać mu dla potomności, że spłodziła go na stojąco, nie zdejmując kapelusza, chroniącego ją przed torturą metalicznych much, unoszących się z bukłaków sfermentowanej melasy na zapleczu knajpy, źle był urodzony o świcie tamtego sierpnia w sieni klasztoru, przyjęła go w świetle melancholijnych harf geranium i miał prawe jądro wielkości gruszki, i opróżniał się jak miech, i oddychając, wydawał westchnienia dud, odwijała go z pieluch podarowanych jej przez klasztorne nowicjuszek i pokazywała go na jarmarcznych placach,

licząc, że spotka kogoś, kto zna lepszy, a zwłaszcza tańszy środek niż pszczeli miód, który był jedynym lekarstwem zalecanym na jego ułomność, zawracali jej głowę słowami otuchy, że nie ma co uciekać przed przeznaczeniem, mówili jej, że tak czy owak dziecko jest zdatne do wszystkiego, prócz gry na instrumentach dętych, mówili jej i dopiero jakaś kabalarka z cyrku dostrzegła, że

136

niemowlę ma zupełnie gładką dłoń, bez jednej linii, a to znaczyło, że urodził się na króla, i tak też było, ale on nie słuchał jej, błagał, by zasnęła, nie grzebiąc w przeszłości, było mu bowiem wygodniej wierzyć, że owe ułomności historii ojczyzny były majakami gorączki, zaśnij, matko, błagał, okrywał ją od stóp po szyję lnianym prześcieradłem, jednym z wielu, które kazał wówczas wyprodukować, by nie jątrzyć jej ran, kładł ją spać na boku, z ręką na sercu, uspokajał, by nie przypominała sobie smutnych dupereli, matko, tak czy owak ja to w końcu ja, śpij spokojnie. Daremne okazały się liczne i gorące starania oficjalnych czynników, by zapobiec publicznym pogłoskom, jakoby macierz ojczyzny gniła za życia, rozpozszesniono zmyślane diagnozy lekarskie, ale nawet heroldzi tych orzeczeń potwierdzali, że prawdą było to, co sami dementowali, że fetor zgnilizny dobywający się z sypialni konającej był tak mocny, że przegnał nawet trędowatych, że zarzynano barany, by kąpać ją w ciepłej krwi, że ściągano prześcieradła przesiąknięte tęczą mazią wypływającą z jej ran i że choćby sto, a nawet tysiąc razy były prane, nigdy nie zdołano przywrócić im pierwotnej wspaniałości, że nikt nie widział go już w oborach podczas udoju ani w pokojach konkubin, gdzie zawsze go widywano o świcie, nawet w gorszych czasach, sam prymas zaofiarował się, by namaścić ostatnimi sakramentami konającą, ale on odprawił go w drzwiach, tu nikt nie umiera, proszę księdza, niech ksiądz nie wierzy plotkom, powiedział mu, dzielił jedzenie ze swą matką, jadł z tego samego talerza, tą samą łyżką, mimo że powietrze, jakim się oddychało w pokoju przed ułożeniem jej do snu, było jak w szpitalu zadżumionych, i słuchał z zamierającym z litości sercem, jak ostatnimi strzępkami głosu zaleca opiekę nad zwierzętami po swojej śmierci, by pawiom nie

137

wyrywali piór na kapelusze, tak, matko, mówił i wprowadzał garść kreoliny po całym jej ciele, żeby nie zmuszali ptaków do śpiewania na zabawach, tak, matko, i owijał ją prześcieradłem do spania, żeby wyjmowali kury z gniazd, kiedy będzie grzmiało, by nie zniosły bazyliszków, tak, matko, i kładł ją z ręką na sercu, tak, matko, śpij spokojnie, całował ją w czoło, spał tych kilka godzin, które mu pozostawały, leżąc obok łóżka twarzą do ziemi,

uważnie śledzący dryfowanie jej snów, uważnie śledzący niekończące się majaki, które im bliżej śmierci, tym bardziej stawały się przytomne, na swych złościach, odkładanych co noc, ucząc się wytrzymywać bezbrzeżną wściekłość bolesnego poniedziałku, gdy obudziła go straszliwa cisza świata o świcie, a to jego matka, życie moje, Bendición Alvarado, wydała ostatnie tchnienie, i wtedy odwinął cuchnące ciało, i zobaczył w bladym brzasku pierwszych kogutów, że było tam inne, identyczne ciało z ręką na sercu, z odmalowanym na prześcieradle zarysem, i zobaczył, że odmalowane ciało nie było popękane morowymi szczelinami ani stoczone starością, ale że było po obu stronach całunu twarde i gładkie niczym olejny obraz, i wydawało naturalną woń świeżych kwiatów, która oczyściła szpitalną przestrzeń sypialni, i szorowali je saletrą i wygotowali w bielince, i choćby robili to w nieskończoność, nie zdołaliby zmyć go z prześcieradła, albowiem było nierozzerwalnie zespolone po jednej i po drugiej stronie z samą osnową lnu, a był to len wieczny, on jednak, niezdolny uświadomić sobie rozmiarów tego cudu, opuścił sypialnię, z wściekłością trzasnąwszy drzwiami tak, iż rozległo się to po całym domu jak strzał, i wtedy zaczęły bić dzwony żałobne w katedrze, a następnie dzwony wszystkich kościołów, a później dzwony całego kraju, które bez przerwy biły przez sto dni, i ludzie

wyrwani ze snu zrozumieli jasno, że znowu jest panem całej swojej władzy i że tajemnica jego serca, zduszonego wściekłym bólem śmierci, buntuje się z większą niż kiedykolwiek siłą przeciw kaprysowi rozumu, godności i pobłażania, bo jego matka, życie moje, Bendición Alvarado, umarła o świcie tego poniedziałku 23 lutego i następuje oto nowy wiek zamieszania i niepokoju na świecie. Nikt z nas nie był aż tak stary, by dać świadectwo tamtej śmierci, ale szum i okazałość ceremonii pogrzebowych przetrwały do naszych czasów i byliśmy w posiadaniu prawdziwej nowiny, że już na zawsze przestał być tym co przedtem człowiekiem, nikt nie miał prawa zakłócać jego osieroconej bezsenności, póki nie minęło sto dni oficjalnej żałoby, nie ujrzano już w domu żałoby, którego wewnątrz zalało bezkresne bicie pogrzebnych dzwonów, nie były inne godziny prócz godzin jego żałoby, rozmawiało się westchnieniami, strażę pałacową chodziły boso, jak w początkach jego panowania, i tylko kurom pozwalano na wszystko w zakazanym domu, którego monarcha stał się niewidzialny, wykrwawiał się z wściekłości w wiklinowym fotelu na biegunach, gdy w tym czasie jego matka, dusza mej duszy, Bendición Alvarado, krążyła po tych ugorach skwaru i nędzy w trumnie pełnej trocin i tłuczonego lodu, żeby nie gniła bardziej niż za życia, gdyż obnoszono ciało w uroczystej procesji po najbardziej zapadłych zakątkach jego królestwa, by niko-

go nie ominął zaszczyt oddania czci jej pamięci, wynieśli je wśród hymnu wiatrów ciemnych krep aż po najdalsze stacyjki kolejowe, gdzie oczekiwali ich ci sami żałobni muzykanci, te same milczące tłumy, które w innych czasach chwały ścigałyby, ciekawe władzy ukrytej w półmroku prezydenckiego wagonu, wystawili ciało w miłosierdnym klasztorze, gdzie wędrowna ptaszniczka w zaraniach

139

czasów źle urodziła niczyjego syna, który został królem, rozwarli bramy sanktuarium po raz pierwszy od wieku, konni żołnierze po wsiach robili oblławę na Indian, bijąc kolbami, wpędzali porwanych do obszernej nawy, umartwionej mroźnymi słońcami witraży, tu zaś dziewięciu biskupów w szatach pontyfikalnych odprawiało ciemne jutrznie, spoczywaj w pokoju, w chwale swojej, śpiewali diakoni, akolici, spoczywaj w prochu, śpiewali, na zewnątrz deszcz padał na geranium, klasztorne nowicjuszki rozdawały sok z trzciny cukrowej i stypowe bułki, sprzedawały żeberka wieprzowe, różańce, buteleczki wody święconej pod kamiennymi arkadami dziedzińców, grzmiała muzyka w przydrożnych karczmach, hucznie było, tańczono w sieniach, była niedziela, teraz i zawsze, były to lata zabawy na drogach uciekinierów i w wąwozach mgły, którymi jego matka śmierci mojej, Bendición Alvarado, przeszła za życia, podążając za synem porwanym federalną zawieruchą, bo opiekowała się nim na wojnie, broniła przed stratowaniem przez wojskowe muły, gdy padał na ziemię owinięty kocem, bez czucia, plotąc brednie w gorączce febry, próbowała wpoić w niego swój atawistyczny lęk przed niebezpieczeństwem czyhającym na ludzi z paramo w miastach nad morzem ciemności, bała się wicekrólów, posągów, krabów spijających łzy noworodków, drżała z przerażenia przed majestatem siedziby władzy, którą poznała w deszczową noc szturmu, nie przeczuwając wówczas, że przyjdzie jej w niej umrzeć, w tym domu samotności, gdzie przebywał on, gdzie pytał w gorączce wściekłości, rozciągnięty na podłodze twarzą do ziemi, gdzie, do cholery, się podziałaś, matko, w jakie sieci namorzyn mogło zaplątać się twoje ciało, kto odpędza ci z twarzy motyle, wzdychał powalony bólem, gdy jego matka, Bendición Alvarado, płynęła pod baldachi-

140

mem bananowych liści, pośród bagiennych wyziewów przyprawiających o mdłości, by zostać wystawioną w przydrożnych szkołach gminnych, w koszarach saletranych pustyń, w indiańskich zagrodach, wystawiano ją w domach notabli, razem z obrazem, na którym była młoda, była szczupła, była piękna, nałożyła diadem na czoło, nałożyła koronkową kryzę wbrew swej woli, dała sobie upudrować twarz i uszminkować usta na ten jeden,

jedyny raz, włożyli jej w dłoń jedwabny tulipan, żeby trzymała go tak, nie tak, proszę pani, tak, niedbale na łonie, gdy wenecki fotograf monarchów europejskich robił oficjalny portret pierwszej damy, który pokazywano razem z ciałem jako ostateczny dowód przeciwko wszelkim podejrzeniom o podstawienie, i ciało, i portret były identyczne, nie pominięto bowiem żadnego szczegółu, ciało było odnawiane tajemnymi zabiegami, w miarę jak rozkładał się jej makijaż, a skóra spływała parafiną, popękana od upału, w deszczowych porach odrywali jej mech z powiek, wojskowe krawcowe utrzymywały ubranie zmarłej w takim porządku, jakby włożone było wczoraj, i utrzymywały w stanie pełnym wdzięku wiązanek kwiatów pomarańczy i dziewiczy welon panny młodej, którego nigdy nie miała za życia, by nikt w tym burdelu bałwochwalców nie śmiał nigdy powtórzyć, że jesteś inna niż na portrecie, matko, by nikt nie zapomniał, kto rządzi na wieki wieków, nawet w najnędnieszych mieliznach indiańskich osad, gdzie po tylu latach zapomnienia znów ujrzano o północy archaiczny parostatek z drewnianym kołem, z wszystkimi światłami zapalonymi, i przywitali go wielkanocnymi bębniami, myśląc, że wróciły czasy chwały, niech żyje generał, swój chłop, krzyczeli, błogosławiony, który nadchodzi w imię prawdy, krzyczeli, rzucali się do wody z podtuczonymi pancernikami, z dynią wielkości

141

wołu, wspinali się po drewnianych koronkach balustrad, by oddać trybuty poddanych niewidzialnej władzy, gdzie kości do gry decydowały o losach ojczyzny, i stawali bez tchu przed katafalkiem z kawałkami potłuczonego lodu i soli kamiennej, powtórzonym w kryształach zwierciadeł prezydenckiej jadalni, wystawionym pod publiczny osąd w cieniu śmigieł wentylatorów archaicznego statku miłego wypoczynku, który miesiącami pływał między efemerycznymi wyspami równikowych dopływów, aż zgubił się w starości koszmaru, gdzie gardenie były istotami myślącymi, a iguany fruwały w ciemnościach, skończył się świat, drewniane koło osiadło na ławicach złota, pękło, stopił się lód, sól się rozpuściła, obrzmiałe ciało wypłynęło na powierzchnię, dryfując w zupie trocin, a jednak nie zgniło, wprost przeciwnie, panie generale, bo wtedy zobaczyliśmy, jak otworzyła oczy, i zobaczyliśmy, że jej źrenice są przezroczyste i mają barwę tojadu w styczniu i własny swój odcień księżycowego kamienia, i nawet my, największe niedowiarki, zobaczyliśmy, jak zamgliło się szklane wieko katafalku parą jej oddechu, i zobaczyliśmy, jak jej skórą cieknie żywy i pachnący pot, i zobaczyliśmy, jak się uśmiecha. Pan nawet sobie nie wyobraża, co się porobiło, panie generale, świat stanął na głowie, zobaczyliśmy rodzące mulice, zobaczyliśmy kwiaty rosnące w saletrze, widzieliśmy głuchoniemych ogłuszonych cudem swoich własnych wrzasków, że cud, cud, w drobny pył rozbili

szklane wieko trumny, panie generale, i niewiele brakowało, a poćwiartowaliby ciało, by podzielić się relikwiami, musieliśmy więc wezwać batalion grenadierów w obronie przed podnieceniem oszalałych tłumów, które tysiącami przybywały z rozsadanika wysp karaibskich, zauroczone wiadomością, że dusza jego matki, Bendición Alvarado, otrzymała od Boga dar sprzeciwiania się prawom natury,
142

sprzedawali nitki z całunu, sprzedawali szkaplerze, wody z jej boku, obrazki z jej królewskim wizerunkiem, a była to tak ogromna i otumaniona masa, że zdawała się raczej rwącym potokiem nieujarzmionych wołów, których kopyta niszczyły wszystko, co napotkały na swojej drodze, grzmotami trzęsienia ziemi, że nawet z tego miejsca może pan to usłyszeć, jeśli przysłucha się pan uważnie, panie generale, proszę posłuchać, i przyłożył dłoń do bzyczącego mu słabiej ucha, przysłuchał się uważnie i wtedy usłyszał, matko moja, Bendición Alvarado, usłyszał ten niekończący się grzmot, zobaczył wrzawę trzęsawiska bezkresnych tłumów, ciągnących się aż po horyzont morza, ujrzał potok palących się świec niosących inny, bardziej promienny dzień w promiennej jasności południa, gdyż jego matka, dusza mej duszy, Bendición Alvarado, wracała do miasta swoich dawnych lęków, tak jak przybyła po raz pierwszy z wojenną szarańczą, z wojennym zapachem surowego mięsa, lecz na zawsze uwolniona od niebezpieczeństw świata, kazał bowiem wyrwać z podręczników szkolnych strony o wicekrólach, by nie istnieli w historii, zniszczył posągi, które zakłócały twój sen, matko, wracała więc bez swych dziedzicznych lęków na barkach pokojowego tłumy, wracała bez trumny, pod czystym niebem, w powietrzu zakazanym motylom, przytłoczona ciężarem złota wotów, którymi obwieszano ją w podróży bez końca od najdalszych zakątków puszczy poprzez jego rozległe i targane konwulsjami królestwo zgryzoty, ukryta pod stosem miniaturowych złotych kul, zawieszanych przez uzdrowionych paralityków, złotych gwiazd rozbitków, złotych figurek dzieci, kobiet bezpłodnych i jeszcze niedowierzających, które teraz w pośpiechu musiały kryć się w krzakach, by tam rodzić jak na wojnie, panie generale, niesiona prądem niszczycielskiego
143

potoku biblijnego marszu całego narodu, niewiedzącego, gdzie by tu złożyć swoje kuchenne graty, swoje zwierzęta, resztki życia pozbawionego jakiegokolwiek nadziei na odkupienie, prócz tych samych modlitw tajemnych, które Bendición Alvarado odmawiała podczas wszystkich bitew, by zmienić lot kul celujących w jej syna, kiedy nadchodził, tak jak przyszedł, w wojennym tumultie z czerwoną szmatą na głowie, krzycząc w wolnych od gorączkowych

majaków przerwach, niech żyje partia liberalna, kurwa, niech żyje zwycięski federalizm, zasrani konserwatyści, chociaż w rzeczywistości pchała go atawistyczna ciekawość poznania morza, tyle że tłum nędzarzy z ciałem jego matki, który opanował miasto, był o wiele bardziej wrzaskliwy i oszalały niż te wszystkie tłumy, które zdewastowały kraj w awanturze wojny federalnej, żarłoczniejszy od szarańczy, bardziej przerażający niż panika, najstraszniejszy, jaki widziały moje oczy przez wszystkie dni niezliczonych lat jego panowania, cały świat, panie generale, proszę popatrzeć, jakie to cudowne. Przekonany tą oczywistością, wyszedł w końcu z mgieł swojej żałoby, wyszedł blady, twardy, z czarną opaską na ramieniu, zdecydowany użyć wszystkich możliwości władzy, by osiągnąć kanonizację swojej matki, Bendición Alvarado, na podstawie przytłaczających dowodów jej świętości, wysłał do Rzymu swych uczonych ministrów, ponownie zaprosił nuncjusza papieskiego, by wypić z nim czekoladę z ciasteczkami w studniach światła werandy z bugenwilli, przyjął go w rodzinnej atmosferze, on wyciągnięty w hamaku, bez koszuli, wachlujący się białym kapeluszem, nuncjusz zaś siedzący naprzeciwko z filiżanką dymiącej czekolady, w lawendowej aurze niedzielnej sutanny, uodporniony na upał i kurz, uodporniony na marazm tropiku, uodporniony na gówienka
144

ptaków zmarłej matki, ptaków swobodnie fruujących w studniach słonecznej wody werandy, ściśle odmierzonymi łyżkami popijał waniliową czekoladę, z panięńską wstydlivością zagryzał ciasteczka, usiłując opóźnić nieuniknioną truciznę ostatniego łyżka, sztywny w fotelu wiklinowym, którego nie odstępował nikomu, tylko wam, ojczy, jak za tych malwowych popołudni z czasów chwały, kiedy inny, stary i naiwny nuncjusz, próbował nawrócić go na wiarę Chrystusową scholastycznymi łamigłówkami Tomasza z Akwinu, z tą różnicą, że to teraz ja wzywam ojca, by go nawrócić, proszę księdza, tak to się zmienia na tym świecie, bo teraz wierzę, powiedział i powtórzył to bez mrugnięcia okiem, teraz wierzę, choć w rzeczywistości nie wierzył w nic z tego świata ani z żadnego innego, oprócz tego, że jego matka, życie moje, miała prawo do chwały ołtarzy z racji swych wybitnych zasług na polu poświęcenia i bezprzykładnej skromności, nie opierał w żadnej mierze swej prośby na głupiej gadaninie tłumów, że gwiazda polarna szła za orszakiem żałobnym, a instrumenty strunowe, gdy czuły niesione w pobliżu ciała, same grały wewnątrz szaf, lecz opiera ją na świadectwie tego oto prześcieradła, które rozwinął w sierpniowej okazałości, by nuncjusz zobaczył to, co w rezultacie zobaczył odbite w teksturze lnu, zobaczył wizerunek jego matki, Bendición Alvarado, bez oznak starości czy morowych zni-

szczeń, leżąc bokiem z dłonią na sercu, poczuł na palcach wilgoć wiecznego potu, odetchnął zapachem rozkwitłych kwiatów pośród wrzawy podnieconych podmuchem cudu ptaków, czy to nie cudowne, proszę księdza, mówił, pokazując prześcieradło z jednej i drugiej strony, nawet ptaki ją rozpoznały, nuncjusz jednak pochłonięty był płótnem, z czujną uwagą, zdolną odkryć

145

nieczystości popiołu wulkanicznego w tworzywie wypracowanym przez wielkich mistrzów chrześcijaństwa, dojrzał ułomności charakteru, a nawet rozterki wiary w natężeniu koloru, od kulistości Ziemi doznał ekstazy, leżąc krzyżem na wznak pod kopułą samotnej kaplicy nierealnego miasta, gdzie czas nie płynął, lecz utrzymywał się na powierzchni, aż wreszcie pod koniec głębokiej kontemplacji zebrał się na odwagę, by oderwać wzrok od prześcieradła i osądzić tonem łagodnym, lecz nieodwołalnym, że ciało odbite na lnie nie jest dziełem Boskiej Opatrzności, pragnącej dać nam jeszcze jedno świadectwo swego niezmiernego miłosierdzia, nie jest ani tym, ani w najmniejszym stopniu czymkolwiek podobnym, jest to dzieło malarza niezmiernie zręcznego w sztuce dobrego i złego, który nadużył wielkości serca jego ekscelencji, albowiem nie jest to olejny portret, lecz najpospolitszy chałupniczy wyrób, wykonany farbą wapienną do malowania okien, ekscelencjo, pod aromatem naturalnych żywic rozpuszczonych w farbie zachowała się jeszcze bękartia stęchlizna terpentyny, pozostały grudki gipsu, zachowała się uparta wilgoć, która nie jest potem ostatniego dreszczu śmierci, jak mu to wmówiono, lecz zmyślną wilgocią lnu nasyconego olejem lnianym i rozłożonego w ciemnym miejscu, proszę wierzyć, że jest mi niewypowiedziane przykro, zakończył nuncjusz z najszczerzym smutkiem, ale nic więcej nie zdołał powiedzieć granitowemu starcowi, ten zaś z hama przyglądał mu się, nie mrugnawszy okiem, wysłuchał go z mułu swego żalobnego, azjatyckiego milczenia, nie otworzywszy nawet ust, by zaprzeczyć, mimo że nikt nie znał lepiej od niego prawdy tajemniczego cudu prześcieradła, którym ja sam, własnymi rękami owinąłem cię, matko, to ja przestraszyłem się pierwszą ciszą twojej

146

śmierci, bo było tak, jakby świat przebudził się o świcie na dnie morza, ja zobaczyłem cud, kurwa, mimo swej wiedzy nie przerwał jednak nuncjuszowi orzeczenia, zaledwie dwa razy mrugnął, nie zamykając oczu jak iguany, zaledwie uśmiechnął się, rozumiem, ojczyste westchnął w końcu, widać jest tak, jak ksiądz mówi, ale ostrzegam, że całą odpowiedzialność za swoje słowa bierze ksiądz na siebie, powtarzam litera po literze, żeby ksiądz nie

zapomniał przez resztę swego długiego życia, że całą odpowiedzialność za swoje słowa bierze ksiądz na siebie, ja za nic nie odpowiadam. Świat nie przerwał swej drzemki podczas tego tygodnia złych przepowiedni, który on spędził w hamaku, nie wstając nawet po jedzenie, płoszył wachlarzem obsiadające go wytresowane ptaki, płoszył plamy światła z bugenwilli, myśląc, że to wytresowane ptaki, nie przyjął nikogo, nie wydał żadnego polecenia, ale siły porządkowe zachowały się obojętnie, kiedy grupy opłaconych fanatyków zaatakowały pałac nuncjusza papieskiego, splądrowały muzeum historycznych relikwii, zniecałkowały na drzemiącego pod gołym niebem w zaciszu wewnętrznego ogrodu nuncjusza, nagiego wywlekli na ulicę, unieśli na ramionach, panie generale, proszę sobie wyobrazić, ale on nie ruszył się z hamaka, nawet nie mrugnął, gdy przyszli do niego z wiadomością, panie generale, że nuncjusza obwożono na ośle po handlowych ulicach w strugach kuchennych mydlin wylewanych z balkonu, wśród okrzyków nienazarty kałdun, miss watykan, pójdźcie dziatki ku mnie, i dopiero gdy pozostawiono nuncjusza półżywego na targowym śmietniku, on wstał z hamaka, zrywając rękami ptaki do lotu, pojawił się w sali audiencyjnej z opaską z krepy i oczami spuchniętymi z niewyspania, zrywając rękami pajęczyny żaloby, i wtedy wydał rozkaz, by spuszczone

147

nuncjusza na ratunkowej tratwie z trzydniowym prowiantem i pozostawiono dryfującego na szlaku europejskich krążowników, żeby cały świat dowiedział się, jaki koniec czeka cudzoziemców, którzy podnoszą rękę na majestat ojczyzny, i żeby nawet papież nauczył się od dziś i raz na zawsze, że może sobie popapieżować w Rzymie ze swoim pierścieniem na palcu, na swoim złotym tronie, ale tutaj ja jestem tym, kim jestem, kurwa, zasrane baby. Środek okazał się skuteczny, pod koniec owego roku rozpoczęto bowiem proces kanonizacyjny jego matki, Bendición Alvarado, której nietknięte ciało wystawiono na widok publiczny w głównej nawie bazyliki prymasowskiej, odśpiewano glorię przy ołtarzach, został zniesiony stan wojny, którą wypowiedział Stolicy Apostolskiej, niech żyje pokój, krzyczały tłumy na placu Broni, niech żyje Bóg, krzyczeli, gdy on przyjmował na uroczystej audiencji audytora Świętej Kongregacji Kultu Bożego, promotora i krzewiciela wiary, monsignore Demetria Aldousa, zwanego Erytrejczykiem, któremu zlecono misję dokładnego zbadania życia Bendición Alvarado, póki nie zniknie ostatnia najdrobniejsza wątpliwość co do jej bezspornej świętości, co tylko ojciec będzie chciał, powiedział mu, zatrzymując przez chwilę swą dłoń w jego dłoni, gdyż natychmiast poczuł zaufanie do tego oliwkowego Abisyńczyka, który kochał życie nade wszystko, jadł jaja iguany, panie generale, uwielbiał walki kogutów, wesołą kokieterię

Mulatek, jak my, panie generale, taka sama cholera, w ten sposób najbardziej strzeżone drzwi stanęły otworem z jego rozkazu, by śledztwo tego adwokata diabła nie napotkało najmniejszych przeszkód, albowiem niczego się nie ukrywa, tak jak nic nie jest niewidzialne w jego bezbrzeżnym królestwie zgryzoty, co nie byłoby niezbitym dowodem, że jego matka, dusza mojej duszy,
148

Bendición Alvarado, była predestynowana do chwały ołtarzy, ojczyzna należy do was, ojcze, oto ona, oczywiście to była ona, uzbrojone oddziały przywróciły porządek w pałacu nuncjusza apostolskiego, przed którym to pałacem świt zastał niezliczone szeregi uzdrowionych trędowatych, zebranych tu, by zademonstrować swą nowo narodzoną na wrzodach skórę, przybyli dawni tancerze świętego Wita, by nawlec igły na oczach niedowiarków, przybyli pokazać swoje bogactwa ci, co wzbogacili się na ruletce, gdyż Bendición Alvarado we śnie ujawniała im numery, ci, co mieli wiadomości o swych zaginionych, ci, co znaleźli swoich topielców, ci, co nic nie mieli, a teraz mają wszystko, przybyli, defilowali niestrudzenie przez rozpalony urząd udekorowany arkebuzami sir Waltera Raleigha do zabijania kanibali i prehistorycznych żółwi, gdzie niezmordowany Erytrejczyk wysłuchiwał wszystkich, nikogo o nic nie pytając, nie przerywając, zlany potem, nieczuły na smród gnijącej ludzkości, która tłoczyła się w biurze okadzonym dymem jego papierosów, tych najpospolitszych, notował skrupulatnie relacje świadków i kazał się im podpisywać, o tu, pełnym imieniem i nazwiskiem albo krzyżykiem, albo tak jak pan, panie generale, odbijając ślad palca, jakkolwiek, byle podpisywali, wchodził następny, taki sam jak poprzedni, ja byłem gruźlikiem, proszę księdza, mówił, ja byłem gruźlikiem, zapisywał Erytrejczyk, a teraz niech ksiądz posłucha, jak śpiewam, ja byłem impotentem, proszę księdza, a teraz niech ksiądz zobaczy, jaki napalony chodzę przez cały dzień, ja byłem impotentem, pisał niewywabialnym atramentem, aby zabezpieczyć swój szczegółowy zapis przed wszelkimi poprawkami po kres ludzkości, ja miałem żywe zwierzę w brzuchu, proszę księdza, ja miałem żywe zwierzę, pisał bez skrupułów, zatruty gorzką kawą, struty
149

zwietrzałym tytoniem nieustannie palonego papierosa, rozchełstany niczym wioślarz, panie generale, kawał chłopca z tego księdza, tak jest, mówił on, chłop z jajami, każdemu według zasług, pracuje bez ustanku, do późnej nocy, nic nie jedząc, żeby nie tracić czasu, ale nawet wtedy nie pozwala sobie na odpoczynek, lecz zjawia się świeżo

wykąpany w knajpach nadmorskiego bulwaru, w płócienej sutannie poobszywanej kwadratowymi łatami, przychodzi ledwie żywy z głodu, siada przy długim stole z desek, by dzielić z tragarzami polewkę z bacacbico, je rybę palcami, nawet ości rozgryza tymi szatańskimi zębami świecącymi w ciemnościach własnym światłem, jak poławiacze koralu wypija zupę z talerza, panie generale, gdyby pan to widział, wmieszany w ludzkie rojowisko z nędznych żaglowców, które odbijały z ładunkiem małą i zielonych bananów, z kolejną partią nieletnich kurewek dla szklanych hoteli Curañaó, gdzie nawet nie można dopłynąć, bo nie ma morza, proszę księdza, ku najpiękniejszym i najsmutniejszym na świecie wyspom, o których nie przestawaliśmy śnić do pierwszych brzasków świtu, proszę księdza, niech ksiądz przypomni sobie, jacy stawaliśmy się inni, gdy odpływały szkunery, niech ksiądz przypomni sobie papugę, która przepowiadała przyszłość w domu Matilde Arenales, kraby wychodzące z talerzy z zupą, wiatr rekinów, dalekie bębny, życie, proszę księdza, kurewskie życie, chłopcy, bo mówi tak jak my, panie generale, jakby urodził się w dzielnicy psich bójek, gra w piłkę na plaży, nauczył się grać na akordeonie lepiej niż najlepsi akordeoniści z Valledupar, nawet śpiewa lepiej od nich, nauczył się kwiecistego języka od marynarzy parostatków, nabijał się z nich po łacinie, upijał się z nimi w budach pedałów na targowisku, pobił się z jednym z nich, bo wyrażał się źle o Bogu, tłukąc się na amen,

150

panie generale, co robimy, a on rozkazał, by nikt ich nie rozdzielał, otoczyli ich, wygrał, ksiądz wygrał, panie generale, wiedziałem, rzekł zadowolony, to chłop z jajami i wcale nie taki frywolny, jak sobie wszyscy wyobrażali, bo podczas tych burzliwych nocy pojął tyle prawd, co podczas wyczerpujących dniówek w pałacu nuncjusza papieskiego, o wiele więcej niż w mrocznej rezydencji podmiejskiej, którą bez zezwolenia spenetrował pewnego popołudnia wielkich deszczy, myśląc, że zwiódł nieustanną czujność prezydenckiej służby bezpieczeństwa, przeszukał ją po ostatni zakamarek, przemoczony deszczem kropli spadających z sufitu, wciągnięty przez trzęsawiska bagiennych roślin i trujących kamelii wspaniałych pokoi, z których Bendición Alvarado zrezygnowała ku radości swych służących, bo była dobra, proszę księdza, była skromna, kładła je spać na perkalowych prześcieradłach, podczas gdy sama spała na wytartej macie polowego łóżka, pozwalała im ubierać się w swoje niedzielne suknie pierwszej damy, perfumowały się jej solami kąpielowymi, nagie zabawiały się z ordynansami w kolorowych pianach tombakowych wanien na lwich łapach, żyły jak królowe, a jej życie mijało na pacykowaniu ptaków, gotowaniu tych swoich potrawek z jarzyn na piecyku opalonym drewnem i hodowaniu leczniczych roślin dla ratowania sąsiadów,

którzy budzili ją o północy, bo mam skurcz żołądka, proszę pani, a ona dawała im do gryzienia nasiona nasturcji, bo chrześniak ma krzywe oko, a ona dawała mu robakobójczy środek z pazote, bo umieram, proszę pani, ale nie umierali, bo ona miała zdrowie w swoim ręku, to była chodząca świętość, proszę księdza, chodziła we własnej, niepokalanej przestrzeni, po tej samej milej rezydencji, gdzie zaczęło bezlitośnie padać od czasu, gdy siłą przenieśli ją do pałacu prezydenckiego, padało na

151

lotosy fortepianu, na alabastrowy stół wystawnej jadalni, z której Bendición Alvarado nigdy nie skorzystała, bo to tak jak usiąść i jeść na ołtarzu, niech ksiądz sobie wyobrazi, co za przeczucie świętości, ale mimo żarliwych świadectw sąsiadów adwokat diabła znalazł pośród tych ruin więcej oznak wstydlivosti niż pokory, znalazł więcej świadectw ubóstwa ducha niż rezygnacji pośród hebanowych Neptunów i szczątków rodzinnych demonów i wojskowych aniołów, unoszących się wśród mangrowii dawnych sal balowych, nie znalazł zaś najmniejszego śladu owego trudnego trójjedynego Boga, który wysłał go z rozpalonych równin Abisynii, by szukał prawdy tam, gdzie nigdy przedtem nie był, bo nic nie znalazł, panie generale, nic a nic, no to wesoło. Mimo to monsignore Demetrio Aldous nie zadowolili się przeprowadzeniem śledztwa w mieście, lecz na grzbiecie mulicy wspiał się na lodowe grzbiety płaskowyżu, próbując odnaleźć źródła świętości Bendición Alvarado w miejscach, gdzie obraz jej nie był jeszcze zdeprawowany odbłaskami władzy, i wyłaniał się z mgły owinięty w koc rozbójnika, w siedmiomilowych butach, niczym szatańska zjawa, z początku wzbudzając strach, później zdziwienie, a w końcu ciekawość miejscowych, którzy nigdy nie widzieli istoty ludzkiej tego koloru, więc sprytny Erytrejczyk zapraszał ich, by go dotykali, chcąc ich przekonać, że nie wydziela smoły, pokazywał w ciemnościach zęby, upijał się z nimi, jedząc wiejski ser, pijąc chichę z tej samej tykwy, by zdobyć sobie ich zaufanie w posępnych namiotach nieprzystępnych ścieżek, gdzie o brzasku innych wieków poznali jakąś ubogą ptaszniczkę, wyczerpaną idiotycznym ładunkiem klatek z kurczakami przemalowanymi na słowiki, złote tukany, drób przerobiony na pawie, żeby w żałobne niedziele jarmarków na paramo oszukiwać

152

wieśniaków, siadała tam, proszę księdza, w ciepłe ognisk, czekając, aż ktoś się zlituje i położy się z nią na bukłakach z melasą na zapleczu, żeby mieć co do gęby włożyć, proszę księdza, tylko dlatego, bo nikt nie był aż tak naiwny, żeby kupować od niej te nędzne straszidła, które puszczały farbę przy pierwszych deszczach i rozpadały się

w drodze, tylko ona była taka naiwna, proszę księdza, święta Błogosławiona od ptaków albo od paramo, jak kto woli, gdyż nikt nie wiedział, jak wtedy naprawdę miała na imię ani kiedy zaczęła nazywać siebie Bendición Alvarado, bo to chyba nie było jej prawdziwe imię, to nietutejsze imię, tylko ludzi znad morza, no to wesoło, nawet do tego doszedł ten wściekły piskorz szatana, który odkrywał wszystko i do wszystkiego dochodził, mimo płatnych morderców prezydenckiej służby bezpieczeństwa, którzy plątali nici prawdy i rzucali pod nogi niewidzialne kłody, jak się panu wydaje, panie generale, trzeba go będzie sprzątnąć nad jakąś przepaścią, trzeba mu będzie spłoszyć mulicę, ale on osobiście zabronił tego, rozkazując, by nadal pilnowano Erytrejczyka, ale chroniąc całość jego osoby fizycznej, powtarzam, całość jego osoby fizycznej, dać absolutną wolność, wszystkie ułatwienia w wypełnianiu jego misji z nieodwołalnego mandatu naszej władzy najwyższej wykonać, odmaszerować, podpisano ja i podkreślił ja sam, świadom, że tą decyzją naraża się na straszne ryzyko poznania prawdziwego obrazu swojej matki, Bendición Alvarado, z zakazanych czasów, w których jeszcze była młoda, była szczupła, chodziła w postrzępionych szmatach, boso, i zarabiała na jedzenie podbrzuszem, ale była piękna, proszę księdza, i była tak naiwna, że zdobyła najtańsze papugi ogonami rasowych kogutów, żeby zrobić z nich ary, poprawiała okaleczone kury piórami z pawich wachlarzy, żeby sprzedawać je jako

153
 rajskie ptaki, nikt, oczywiście, nie dał się nabrać, nikt nie wpadł w sidła samotnej ptaszniczki, która szeptała we mgle niedzielnych jarmarków, no, kto powiedział dziesięć i weźmie za pół darmo, gdyż wszyscy na płaskowyżu pamiętali jej spryt i ubóstwo, a jednak wydawało się, iż nie sposób wykazać jej tożsamość, w archiwach klasztoru, gdzie ją ochrzczono, nie znaleziono bowiem metryki jej urodzenia, za to znalazły się trzy różne metryki jej syna, we wszystkich był trzy razy inny, trzy razy poczęty w trzech różnych okolicznościach, trzy razy źle urodzony z łaski forteli historii ojczyściej, które splątały nici rzeczywistości, by nikt nie mógł rozwiązać sekretu jego pochodzenia, ciemnej tajemnicy, którą zdołał rozgrzebać jedynie Erytrejczyk, odsiewając plewy licznych oszustw, więc doszedł i do tego, panie generale, miał już to w zasięgu ręki, kiedy huknął niekończący się strzał, długo odbijający się echem o szare grzbiety i głębokie wąwozy gór, i rozległo się przeciągłe wycie przerażenia zepchniętej mulicy, która, spadając w bezdenną otchłań ze szczytu wiecznych śniegów, mijała kolejno chwilowe klimaty chromów, nauk przyrodniczych, przepaści i niepozorne narodziny wielkich wód żeglownych, i urwiste półki, którymi wspinali się na grzbiecie Indianina ze swymi tajemnymi zielnikami uczeni doktorzy botanicznej ekspedycji, i mesety dzikich magnolii, gdzie pasły się owce o chłodnej wełnie, obdarzające nas hojnym wiktem, opierunkiem

okryć i dobrym przykładem, i rezydencje plantacji kawowych z papierowymi girlandami na samotnych tarasach, i ich niezliczone rzesze chorych, i nieprzerwany pomruk hałaśliwych rzek z naturalnych górskich krańców, gdzie zaczynał się upał i o zmierzchu nadlatywały śmierdzące podmuchy zmarłego starca, zmarłego od zdrady, zmarłego samotnie na plantacjach kakao o wielkich, trwałych liś-

154

ciach i wiśniowych kwiatach, i jagodach owoców, których nasion używano jako głównego składnika czekolady, i słońce nieruchome, i rozpalony pył, i cucurbita pepo, i cucurbita melo, i chude i smutne krowy nadatlantyckiego departamentu w jedynej szkole miłosierdzia w promieniu dwustu mil, i odór jeszcze żywej mulicy, która w wybuchu soczystej guanabany rozprysła się między bananowcami i przerażonymi kurkami na dnie przepaści, o kurwa, sprzątnęli go, panie generale, upolowali strzelbą na jaguary w wąwozie Anima Sola mimo ochrony mojego autorytetu, skurwysyny, mimo moich kategorycznych telegramów, kurwa, ale teraz dowiedzą się, z kim mają do czynienia, parską, toczył pianę żółci nie tyle z wściekłości za niesubordynację, ile z przekonania, że coś ważnego ukrywali przed nim, skoro odważyli się sprzeciwić piorunom jego władzy, czujnie przysłuchiwał się oddechowi tych, co go informowali, wiedział bowiem, że tylko ten, który znał prawdę, miałby odwagę okłamać go, śledził tajemne intencje dowództwa naczelnego, by zobaczyć, który z nich był zdrajcą, ty, którego wyciągnąłem z dna, ty, którego położyłem spać na łóżku ze złota, gdy znalazłem cię na ziemi, ty, któremu uratowałem życie, ty, którego kupiłem za większe niż cokolwiek pieniądze, wy wszyscy, takie syny, gdyż tylko jeden z nich śmiało znieważać telegram podpisany moim imieniem i poświadczony pieczęcią pierścienia jego władzy, osobiście więc podjął się dowództwa nad Operacją Odzysk, wydając kategoryczny rozkaz, by w ciągu najwyżej czterdziestu ośmiu godzin odnaleźć go żywego i przyprowadzić mi go, a jeśli odnajdą go martwego, to przyprowadzić go żywego, a jeśli go nie odnajdą, to przyprowadzić mi go, rozkaz tak jasny i groźny, że przed upływem przewidzianego czasu przyszli do niego z wiadomością, panie generale, że znaleziono go

155

w zaroślach przepaści z ranami spowodowanymi przez złote kwiaty frailejones, bardziej żywego niż my, panie generale, zdrowego i uratowanego cudem za wstawiennictwem jego matki, Bendición Alvarado, która raz jeszcze dała dowód swego miłosierdzia i swojej władzy na osobie tego, który usiłował przynieść ujmę jej pamięci, znieśli go indiańskimi ścieżkami w hamaku zawieszonym na palu, w eskorcie grenadierów poprzedzanej przez konnego

herolda, potrząsającego dzwoneczkami sumy, żeby wszyscy wiedzieli, iż jest to za sprawą tego, który rządzi, złożyli go w sypialni honorowych gości pałacu prezydenckiego, pod natychmiastową opieką odpowiedzialnego za jego stan ministra zdrowia, dopóki Erytrejczyk nie skończył przerażającego raportu napisanego własnoręcznie i poświadczonego jego inicjałami na prawym marginesie każdej z trzystu pięćdziesięciu stron każdego z tych siedmiu tomów, które podpisuję własnym imieniem, sygnuję i gwarantuję własną pieczęcią dnia czternastego, miesiąca kwietnia tego roku, z łaski Pana Naszego, ja, Demetrio Aldous, audytor świętej Kongregacji Kultu Bożego, promotor i krzewiciel wiary, z mandatu Konstytucji Ogromnej, i dla uświetnienia sprawiedliwości ludzi na ziemi i większej chwały Boga w niebie potwierdzam i wykazuję, że jest to jedyna prawda, cała prawda i tylko prawda, ekscelencjo, oto ona. I rzeczywiście była tam, uchwycona w siedmiu opieczętowanych bibliach, tak nieuchronna i brutalna, że tylko człowiek obojętny wobec uroku chwały i obcy interesom jego władzy odważył się ją wyłożyć bez osłonek niewzruszonemu starcowi, który, nie mrugnawszy okiem, wysłuchał go, wachlując się w wiklinowym fotelu na biegunach, zaledwie wzdychając po każdej śmiertelnej rewelacji, zaledwie mówiąc aha za każdym razem, gdy dostrzegał zapalające się światło prawdy, aha, powtarzał,

156

płosząc kapeluszem kwietniowe muchy podniecone resztkami jądła, przelękając całe prawdy, prawdy gorzkie, prawdy jak rozpalające się w ciemnościach jego serca rozżarzone węgle, gdyż wszystko było farsą, ekscelencjo, jarmarczną maszyną, którą on sam mimowolnie wprowadził w ruch, gdy postanowił, by ciało jego matki zostało wystawione na widok publiczny na lodowym katafalku na długo przedtem, niż ktokolwiek pomyślał o zasługach jej świętości, i tylko po to, by zaprzeczyć złośliwym domysłom, że zgniłaś przed śmiercią, oszustwo cyrkowe, w którym sam nieświadomie wziął udział z chwilą, gdy przyszli do niego z wiadomością, że, panie generale, jego matka, Bendición Alvarado, była cudotwórczynią, i rozkazał, by we wspaniałej procesji obnoszono ciało po najbardziej zapadłych zakątkach jego rozległego kraju bez posągów, by każdy dowiedział się, jaka nagroda czeka cię za twe cnoty po tylu latach jałowych umartwień, po tylu ptakach malowanych bez najlichszej zapłaty, matko, po tylu uczynkach miłości bez słowa podziękowania, chociaż nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że ten rozkaz miał zamienić się w szalbierstwo fałszywych chorych na wodną puchlinę, którym płacono, by publicznie się odwodnili, zapłacili dwieście pesos rzekomemu zmarłemu, który wyszedł z grobu i posuwając się na klęczkach, pojawił wśród tłumu przerażonego postrzępionym całunem i ustami pełnymi ziemi, zapłacili osiemdziesiąt pesos Cygance, która udawa,

że rodzi na środku ulicy płód o dwóch głowach, ponosząc w ten sposób karę za rozprowadanie, że cuda są sprawką rządu, i rzeczywiście były nią, ani jeden świadek nie pozostał nieopłacony w haniebnym spisku zawiązanym przez jego pochlebców nie w niewinnym celu przypodobania mu się, jak to przypuszczał monsignore Demetrio Aldous na początku swego śledztwa, nie, ekscelencjo, był

157

li

to brudny interes jego zwolenników, najbardziej skandaliczny i świętokradczy z tych, jakie podejmowano w cieniu jego władzy, gdyż tymi, co wymyślali cuda i kupowali świadectwo kłamstw, byli ci sami poplecznicy jego rządów, którzy fabrykowali i sprzedawali relikwie sukni ślubnej zmarłej panny młodej, jego matki, Bendición Alvarado, aha, ci sami, którzy drukowali obrazki i bili medaliki z jej wizerunkiem królowej, aha, którzy wzbogacili się na lokach jej włosów, aha, buteleczkach wody z jej boku, aha, na całunach z diagonalu, gdzie farbą malowali młode ciało panny śpiącej na boku z dłonią na sercu, i które jardami były magazynowane na zapleczu sklepików Hindusów, ogromne szalbierstwo oparte na domniemaniu, że ciało w spragnionych oczach niekończących się tłumów, defilujących główną nawą katedry, nie ulegało rozkładowi, podczas gdy prawda była całkowicie inna, ekscelencjo, taka mianowicie, iż ciało jego matki było zakonserwowane nie dzięki jej świętości i nie dzięki parafinowym łatom i kosmetycznym oszustwom, które nakazał stosować przez zwykłą synowską dumę, ale dzięki zastosowaniu najchytrzejszych sztuk taksydermii, wysuszeniu i wypchaniu na wzór zwierzęcych eksponatów w muzeach nauk przyrodniczych, jak stwierdziłem to moimi własnymi rękami, matko, stworzyłem szklaną urnę z symbolami pogrzebowymi rozsypującymi się przy byle oddechu, zjąłem ci wianek z kwiatów pomarańczy z zaśniedziałej czaszki, której twarde włosy z grzywy żrebicy zostały wyrwane włos po włosku, by sprzedać je jako relikwie, wyjąłem cię spod zniszczonych nitek, ślubnych strzępów i jałowych resztek, i trudnych zmierzchów saletry śmierci, i ważyłaś nie więcej niż dynia w słońcu, i pachniałaś starym zapachem kufrowego dna, i w twoim wnętrzu czuć było gorączkowy niepokój, który wydawał

158

się szelestem twojej duszy, a był szczękaniem moli zżerających cię od środka, rozpadałaś się sama, gdy chciałem podeprzeć cię ramionami, bo opróżnili wnętrzności z wszystkiego, co podtrzymywało twoje żywe ciało matki śpiącej z dłonią na sercu, i wypchali cię szmatami, z tego wszystkiego, co było twoje, nie pozostało nic poza skorupą przekładańca, która rozkruszyła się, zaledwie uniesiona w fosforyzującym powietrzu świetlików twoich kości, i ledwie dało się słyszeć szmer pchlich skoków ze

szklanych oczu na płyty kościoła w zmierzchu, a stała się niczym, były to resztki zniweczonej matki, które woźni zebrali szufelką z podłogi, by z powrotem wrzucić je byle jak do trumny na oczach monolitycznej obojętności nieodgadnionego satrapy, którego oczy iguany nie pozwoliły przedrzeć się najmniejszemu wzruszeniu nawet wtedy, gdy pozostał sam w nieoznakowanej berlinie z jedynym człowiekiem na tym świecie, który odważył się postawić go na wprost zwierciadła prawdy, obaj przyglądali się poprzez mgiełkę firanek hordom nędzarzy odpoczywających po ciepłym popołudniu w chłodzie bram, gdzie przedtem sprzedawano broszurki o zbrodniach okrutnych i miłościach nieszczęśliwych, i kwiatach mięsożernych, i niepojętych owocach osłabiających wolę, a teraz dostrzec można było jedynie ogłuszającą wrzawę straganów fałszywych relikwii z sukni i ciała jego matki, Bendición Alvarado, gdy wtem doznał wrażenia, że monsignore Demetrio Aldous przechwycił jego myśl, oderwał bowiem oczy od ciżby inwalidów i szepnął, że w ostatecznym rachunku ze skrupulatności jego dociekań wynika również coś pozytywnego, a mianowicie pewność, że ci biedni ludzie kochają jego ekscelencję jak własne życie, gdyż monsignore Demetrio Aldous dojrzał przewrotność wewnątrz pałacu prezydenckiego, zobaczył chciwość

159

w pochlebstwie i przebiegłą służalczość pośród prosperujących pod osłoną władzy, poznał za to nowy rodzaj miłości pośród tłumów nędzarzy, którzy niczego od niego nie oczekiwali, gdyż niczego nie oczekiwali od nikogo, i otaczali go ziemską wiarą, którą można było wziąć w dłoń, i wiernością bez złudzeń, gdybyż choć taką obdarzano Boga, ekscelencjo, ale on nawet nie mrugnął Wobec tej zadziwiającej rewelacji, która w innym czasie skreśliłaby mu wnętrzości, nawet nie westchnął, pomyślał jedynie sam dla siebie ze skrywanym niepokojem, że tylko by tego brakowało, proszę księdza, tylko tego brakowało, by nikt mnie nie kochał teraz, kiedy ksiądz z radością okryje się chwałą mojego nieszczęścia pod złotymi kopytami swego podstępnego świata, gdy on tu zostaje z niesprawiedliwym brzemieniem prawdy, bez troskliwej matki, która pomogłaby mu je znieść, samotniejszy niż lewa ręka w tej ojczyźnie, której nie wybierałem dobrowolnie, tylko dano mi ją w takim stanie, w jakim ją ksiądz zobaczył, czyli taką, jaką była zawsze, z tym uczuciem nierzeczywistości, z tym smrodem gówna, z tymi ludźmi bez historii, którzy w nic nie wierzą prócz życia, oto ojczyzna, którą mi narzucono, o nic nie pytając, proszę księdza, z czterdziestoma stopniami upału i dziewięćdziesięcioma ośmioma procentami wilgotności w wyścielanym cieniu prezydenckiej berlinki, wdychając kurz, ogłuszony przewrotnością przepukliny wydającej podczas audjencji ostry

gwizd ekspresu do kawy, nie mając nikogo, z kim mógłby przegrać w domino, ani nikogo, komu mógłby naprawdę wierzyć, proszę księdza, niech ksiądz wejdzie w moją skórę, ale nie powiedział tego, zaledwie westchnął, zaledwie zamrugał szybko powiekami i uprosił monsignore Demetria Aldousa, by brutalna rozmowa tego

160
popołudnia została między nami, ksiądz nic mi nie powiedział, proszę księdza, ja nie znam prawdy, proszę mi to przyrzec, i monsignore Demetrio Aldous przyrzekł mu, że oczywiście, jego ekscelencja nie zna prawdy, męskie słowo honoru. Proces kanonizacyjny Bendición Alvarado został zawieszony w związku z niewystarczającą ilością dowodów i edykt z Rzymu został rozpowszechniony z ambon za oficjalnym przyzwoleniem i decyzją rządu o przeciwstawieniu się wszelkim protestom lub próbom burzenia ładu publicznego, siły porządkowe nie interweniowały jednak, gdy hordy rozjątrzonych pielgrzymów rozpały drzwiami bazyliki prymasowskiej ogniska na placu Broni i kamieniami rozbiły witraże aniołów i gladiatorów pałacu nuncjusza papieskiego, zrujnowali wszystko, panie generale, ale on nie ruszył się z hamaka, obiegli klasztor Baskijek, by wymarły tam z głodu, splądrowali kościoły, domy misyjne, zniszczyli wszystko, co miało jakikolwiek związek z księżmi, panie generale, ale on tkwił nieruchomo w hamaku w chłodnym półmroku bugenwilli, póki dowódcy jego Sztabu Generalnego nie przyznali się w pełnym składzie, że nie są w stanie uspokoić wzburzonych nastrojów i zaprowadzić porządku bez przelewu krwi, jak to uzgodniono, i dopiero wtedy wstał, zjawił się w urzędzie po tyłu miesiącach nieróbstwa i uroczyście przyjął na siebie osobiście i żywym słowem całą odpowiedzialność za wcielenie woli narodu w dekret, który ustanowił z własnego natchnienia i ogłosił na własny rachunek i ryzyko, nie uprzedzając sił zbrojnych i nie konsultując się ze swymi ministrami, i w którego pierwszym artykule proklamował cywilną świętość Bendición Alvarado najwyższą decyzją wolnego i niezawisłego narodu, mianował ją królową narodu, uzdrowicielką chorych i nauczycielką

161
ptaków, i ustanowiono dniem święta narodowego datę jej narodzin, a w artykule drugim, zyskującym ważność z chwilą ogłoszenia niniejszego dekretu, wypowiedziano wojnę między tym narodem a siłami Stolicy Apostolskiej, z wszystkimi konsekwencjami przewidywanymi w takich wypadkach w odniesieniu do praw człowieka i obowiązujących traktatów międzynarodowych, a w artykule trzecim nakazano natychmiastową banicję, uroczystą i publiczną, pana prymasa i - kolejno - biskupów, prefektów apostolskich, księży i zakonnic oraz tych wszystkich rodaków jak i cudzoziemców mających jakikolwiek zwią-

zek ze sprawami Boga, bez względu na ich pochodzenie i tytuły, przebywających na terenie kraju i w obrębie pięćdziesięciu mil morskich wód terytorialnych, i nakazano w artykule czwartym i ostatnim wywłaszczenie dóbr Kościoła, jego świątyń, jego klasztorów, jego szkół, jego ziem uprawnych, obejmując nim wszystkie narzędzia i zwierzęta, cukrownie, fabryki i warsztaty, jak też wszystko, co stanowi jego realną własność, choćby zarejestrowaną na nazwiska osób trzecich, które to dobra przejść mają na pośmiertny fundusz świętej Bendición Alvarado od Ptaków, jako jego część dla uświetnienia jej kultu, uwiecznienia jej wielkości, poczynając od daty wystawienia niniejszego dekretu ogłoszonego żywym słowem i opieczętowanego pierścieniem najwyższego i nieodwołalnego autorytetu władzy najwyższej, wykonać, odmaszerować. Pośród petard radości, dzwonów chwały i muzyki wesela, jakimi uczczono wydarzenie cywilnej kanonizacji, on osobiście nadzorował realizację dekretu, by jego postanowienia wypełniane były bez szalbierczych manewrów, chcąc upewnić się, że nie padnie ofiarą nowych oszustw, znów chwycił w swe pewne atłasowe rękawiczki cugle rzeczywistości, jak za czasów wielkiej chwały, gdy

162

ludzie zastępowali mu na schodach drogę, by prosić o przywrócenie wyścigów konnych na ulicy, a on rozkazywał zgoda, o przywrócenie wyścigów w workach i rozkazywał zgoda, i pojawiał się w najnędniejszych gospodarstwach, by wytłumaczyć, jak należy sadzać kury na jaja i jak kastrować byczki, nie zadowolili się bowiem osobistym sprawdzeniem drobiazgowych akt inwentaryzacyjnych dotyczących dóbr kościelnych, lecz kierował również formalnymi ceremoniami wywłaszczania, by pomiędzy jego wolą a jej wypełnieniem nie powstała najmniejsza luka, porównywał prawdy z dokumentów z kłamliwymi prawdami życia rzeczywistego, dopilnował banicji większych zgromadzeń podejrzanych o zamiar przemycenia w torbach o podwójnym dnie i w spreparowanych stanikach tajemnych skarbów ostatniego wicekróla, które leżały spokojnie zagrzebane na cmentarzach biedaków, mimo iż tak zaciekle federalistyczni wodzowie poszukiwali ich podczas długich lat kolejnych wojen, i nie tylko rozkazał, by każdy członek Kościoła za cały bagaż miał jedynie tłumoczek z odzieżą, ale również zadecydował bezapelacyjnie, by odtransportowano, jak ich Pan Bóg stworzył, nieokrzesanych wiejskich proboszczów, którym było wszystko jedno, czy będą ubrani, czy nadzy, byle zmieniono im miejsce pobytu, prefektów obszarów misyjnych zniszczonych przez malarię, gładkich i dumnych biskupów, a wraz z nimi kobiety, wstydlive siostry miłosierdzia, zahartowane misjonarki przyzwyczajone do ujarzmiania przyrody i wyciskania jarzyn z pustyni, rosłe Baskijki, wirtuozki gry na klawikordzie, i salezjanki o delikatnych dłoniach i nieskazitelnych ciałach, gdyż nawet w tym stanie całkowitej nagości, w jakim

rzucano je w świat, można było rozpoznać ich pochodzenie klasowe, różnice w ich pozycji i nierówność
163

ich zajęć, w miarę jak przechodziły pomiędzy workami kakao i solonych ryb w olbrzymim hangarze urzędu celnego, przechodziły w wirującym tumultie wstydlivych owiec, krzyżując ręce na piersiach, próbując ukryć się jedna za drugą, osłaniając swój wstyd przed jakby wykutym z kamienia starcem pod śmigłami wentylatora, a on przyglądał się im, nie oddychając, nie odrywając oczu od tego miejsca, któredy musiał przetoczyć się, nie mając innego wyjścia, potok rozebranych kobiet, przyglądał im się obojętnie, nie mrugnawszy okiem, póki żadna nie została na terytorium państwa, bo to były ostatnie, panie generale, a mimo to zapamiętał jedną, którą szybkim rzutem oka oddzielił od tłumu przestraszonych nowicjuszek, zwrócił na nią uwagę, chociaż niczym nie wyróżniała się od innych, była krępa, o tłustych pośladkach, wielkich i ślepych piersiach, niezdatnych rękach, urwistym wzgórku łonowym, włosach obciętych sekatorem, zębach rozsuniętych i mocnych jak siekiery, o małym nosie, płaskich stopach, nowicjuszka taka sobie, jak wszystkie, ale on poczuł, że jest jedyną kobietą w trzodzie rozebranych kobiet, jedyną, która, nie patrząc na niego, przeszła obok, pozostawiwszy ciemną smugę leśnego zwierzęcia, zabierając mi moje powietrze niezbędne do życia, i ledwie zdążył doścignąć ją swoim obojętnym dotychczas wzrokiem, by zobaczyć ją po raz drugi na nigdy więcej, gdy oficer służb ewidencyjnych znalazł nazwisko w alfabetycznym spisie i krzyknął Nazareno Letycja, a ona odpowiedziała głosem mężczyzny: obecna. Taką ją widział przez resztę swego życia, obecną, póki ostatnie tęsknoty nie wyciekły szczelinami pamięci, i przetrwał tylko jej obraz na zwitku papieru, na którym napisał Letycjo Nazareno, duszo mej duszy, zobacz, co stało się ze mną bez ciebie,
164

ukrył go w schowku, gdzie trzymał pszczeli miód, wymował go i czytał, gdy wiedział, że jest sam, i znów go zwijał, przez ulotną chwilę przeżywszy niezapomniane popołudnie promieniejących deszczy, gdy zaskoczono go wiadomością, panie generale, że cię repatriowano, wypełniając rozkaz, którego nie wydał, gdyż jedynie szeptał Letycja Nazareno, wpatrując się w ostatni popielaty statek, który zatonał na horyzoncie, Letycja Nazareno, powtórzył głośno, żeby nie zapomnieć imienia, i to wystarczyło, by prezydenckie służby bezpieczeństwa porwały ją z klasztoru na Jamajce i wywiozły zakneblowaną, w kaftanie bezpieczeństwa, wewnątrz sosnowej skrzyni z opieczętowanymi okuciami i napisami ze smoły,

uwaga szkło, do not drop this side up i z eksportową licencją w porządku, z odpowiednim konsularnym ofrankowaniem dwóch tysięcy ośmiuset kryształowych kielichów do szampana dla prezydenckiej piwnicy, załadowano ją w podróż powrotną do ładowni węglowca i odstawiono nagą i oszołomioną narkotykami do łóżka z kapitelami w sypialni dla gości honorowych, tak jak miał ją wspominać o trzeciej po południu w mącznym świetle moskitiery, była spokojna spokojem snu naturalnego tyłu innych bezwładnych kobiet, które otrzymywał, nie prosząc o nie, i które brał w tym pokoju, nie budząc ich nawet z luminalowego letargu, dręczony okrutnym uczuciem rozpacz i porażki, tyle że Letycji Nazareno nie dotknął, przyjrzał się śpiącej z rodzajem dziecięcego zdziwienia, zaskoczony tym, jak bardzo zmieniła się jej nagość od chwili, gdy zobaczył ją w portowych hangarach, ułożyli jej włosy w loki, ogolili ją całą, nawet w najintymniejszych miejscach, pomalowali jej na czerwono paznokcie u rąk i nóg, pociągnęli jej usta szminką, nałożyli róż na policzki i piżmo na powieki, wydzielala

165

teraz słodką woń, która zabiła twoją skrytą smugę dzikiego zwierzęcia, co u licha, zmarnowali mi ją, chcąc poprawić, tak ją odmienili, że nie potrafił dojrzeć jej nagości pod niezdarnie ogoloną skórą, przypatrywał się jej zanurzonej w ekstazie luminalu, zobaczył ją wypływającą, zobaczył budzącą się, zobaczył widzącą go, matko, to była ona, Letycja Nazareno mojego rozczarowania, skamieniała ze strachu przed kamiennym starcem, bezlitośnie przyglądającym się jej poprzez mżawkę moskitiery, przerażona nieodgadzionymi zamiarami jego milczenia, nie mogła bowiem wyobrazić sobie, iż mimo jego niezliczonych lat i jego bezkresnej władzy jest bardziej przerażony niż ona, bardziej samotny, bardziej dezorientowany, nie wiedzący, co robić, tak oszołomiony i bezbronny jak wtedy, gdy po raz pierwszy poznał kobietę, markietankę, którą zaskoczył o północy kąpiącą się nago w rzece i której siłę i kształty wyobraził sobie, słysząc jej prykanie klaczy po każdym wynurzeniu, słyszał jej śmiech, ciemny i samotny w ciemności, czuł radość jej ciała w ciemności, ale był sparaliżowany ze strachu, bo był jeszcze prawiczkim, choć awansował na porucznika artylerii w trzeciej wojnie domowej, jednak strach przed niewykorzystaniem okazji był silniejszy niż strach przed napaścią, i wówczas wszedł do wody, tak jak stał, w sztylpach, w pasie ładowniczym, z chlebakiem, maczetą i strzelbą, skrępowany tyłoma wojennymi przeszkodami i tyłoma tajemnymi lękami, że kobieta z początku myślała, że ktoś konno wjechał do wody, ale natychmiast spostrzegła, że to tylko biedny, przestraszony mężczyzna, i zaopiekowała się nim w spokojnych wodach swego miłosierdzia, przeprowadziła go za rękę przez ciemność oszołomienia,

gdyż nie mógł odnaleźć drogi w ciemności wód, radziła mu w ciemności głosem matki, by złapał się mocno moich
166

ramion, żeby prąd cię nie zniósł, żeby nie kuczał w wodzie, ale klęknął mocno na dnie i oddychał powoli, żeby starczyło ci oddechu, a on robił to, co mu radziła, z chłopcą uległością, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, jak to, kurwa, kobiety robią, żeby wszystko robić tak, jakby to właśnie przed chwilą wymyśliły, jak to robią, że tak bardzo są mężczyznami, myślał, gdy ona zdzierała z niego ten zbyteczny posąg z innych, mniej przerażających i nie tak ponurych wojen jak ta samotna wojna z wodą po szyję, umarł z przerażenia pod osłoną tego ciała pachnącego sosnowym mydłem, gdy odpięła mu sprzączki obydwu pasów, i rozpięłam mu guziki od rozporka, i struchlałam z przerażenia, bo znalazłam nie to, czego szukałam, tylko ogromne jądro pływające jak ropucha w ciemności, puściła je przestraszona, odsunęła się, spieprzaj do mamusi, niech cię zamieni na innego, powiedziała mu, ty się nie nadajesz, bo pokonał go ten sam atawistyczny strach unieruchamiający go przed nagością Letycji Nazareno, do której rzeki nieprzewidzianych wód nie miał wejść nawet z wszystkim, co miał na sobie, dopóki ona nie użyczyłaby mu ratunku swego miłosierdzia, sam zakrył ją prześcieradłem, puszczał jej na gramofonie aż do zdarcia cylindra piosenkę o biednej Delgadynie krzywdzonej miłością swego ojca, niezdarnymi łapami wsadził do wazonów filcowe kwiaty, by nie zwiędły jak naturalne, zrobił wszystko, co mu przyszło na myśl, by uczynić ją szczęśliwą, utrzymując jednak bez zmian rygor porwania i karę nagości, aby zrozumiała, że będzie serdecznie podejmowana i serdecznie kochana, ale bez możliwości ucieczki od tego przeznaczenia, i zrozumiała to tak dobrze, że podczas pierwszej próby przezwyciężenia strachu rozkazała mu w milczeniu, proszę, panie generale, otworzyć okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza,
167

i otworzył, żeby znów je zamknął, bo księżyc świeci mi w twarz, zamknął, spełniał jej rozkazy, jakby były miłosierdziem, tym bardziej uległy i pewny siebie, im bardziej wiedział o zbliżającym się popołudniu promieniejących deszczy, gdy wślizgnął się pod moskitierę i ubrany położył się przy niej, nie budząc jej, sam rozkoszował się w ciągu długich nocy tajemniczymi fluidami jej ciała, wdychał jej woń dzikiej suki, z nadejściem "miesiączki cieplejszą, aż odrósł mech jej brzucha i obudziła się przerażona, krzycząc, żeby wynosił się stąd, generale, i wstał ciężki i ospały, by ponownie położyć się przy niej, gdy spała, i tak cieszył się nią, nie dotykając jej przez pierwszy rok uwięzienia, póki nie przywykła budzić się u jego boku, nie rozumiejąc, dokąd płyną ukryte nurty tego nieodgadnionego starca, który zrezygnował z kadzideł władzy i uroków świata, poświęcając się kontemplowaniu jej i służeniu, tym bardziej zaniepokojona, im

bardziej on przeczuwał zbliżające się popołudnie promieniących deszczy, kiedy położył się na niej, gdy spała, tak jak wszedł do wody, we wszystkim, co miał na sobie, w mundurze bez dystynkcji, z pasem od szabli, z pękiem kluczy, w sztylpach, butach jeździeckich ze złotą ostrogą, w napadzie koszmaru, który ją obudził przerażoną, próbującą zrzucić z siebie tego konia przystrojonego w bojowy rynsztunek, ale on był tak zdecydowany, że postanowiła zyskać na czasie, chwytając się ostatniej deski ratunku, że niech pan zdejmie tę uprzęż, generale, bo mnie uwiera w serce tymi kółeczkami, i zdjął ją, żeby zdjął ostrogę, generale, bo kaleczy mi kostki tą złotą gwiazdą, żeby odpiął ten pęk kluczy od pasa, bo mnie kole w biodro, a on w końcu robił to, co mu rozkazywała, chociaż potrzebowała trzech miesięcy, by skłonić go do odpięcia pasów od szabli, które przeszkadzają mi od-

168

dychać, i następny miesiąc na sztylpy, bo w sercu mnie boli od tych sprzączek, była to walka powolna i uciążliwa, którą, nie denerwując go, przyhamowała, a on w końcu ustępował, by się jej przypodobać, tak iż żadne z nich nigdy się nie dowiedziało, jak to się stało, że nadszedł ów ostateczny kataklizm krótko po drugiej rocznicy porwania, kiedy jego chłodne i czułe, wędrujące bez celu dłonie potknęły się przypadkowo o ukryte klejnoty śpiącej nowicjuszki, a ona obudziła się wstrząśnięta bladym potem i drżeniem śmierci i nie próbowała zrzucić z siebie ani zbożnie, ani bezbożnie tego nieoswojonego zwierzęcia, które miała na sobie, lecz wzruszyła go ostatecznie, błagając, ściągnij buty, bo zabrudzisz mi moje brabanckie prześcieradła, i ściągnął je jak mógł, zdejmij sztylpy i spodnie, i bandaż, zdejmij wszystko, życie moje, bo cię nie czuję, tak iż nie wiedział, kiedy znalazł się w stanie, w którym знаła go tylko jego matka w świetle melancholijnych harf geranium, pozbawiony strachu, wolny, przeistoczony w gladiatorskiego bizona, który w pierwszym ataku zniósł wszystko, co napotkał na swej drodze, i runął twarzą w dół w przepaść milczenia, gdzie tylko słychać było skrzypienie okrętowych wręgów ściśniętych zębów Nazareno Letycji, obecna, chwyciła się moich włosów wszystkimi palcami, żeby nie umrzeć samotnie w bezdennej przepaści, w której umierałem naglony w tym samym czasie i z tą samą siłą przez wszystkie gwałtowne potrzeby ciała, i mimo to zapomniał o niej, został sam w mrokach, szukając samego siebie w słonawej wodzie swych łez, generale, w delikatnej nitce swej wołowej śliny, generale, w zdziwieniu swego zdziwienia, matko moja, Bendición Alvarado, jak to możliwe, żeby przeżyć tyle lat, nie znając takiej męczarni, płakał, zamroczony pragnieniami swoich nerek, wiązką petard

169

w trzewiach, śmiertelnym rozdarciem miękkiego jądra, co wyrwało mu z korzeniami wnętrzości i przemieniło w poderżnięte zwierzę, którego drgawki agonii oprys-

kiwały świeże prześcieradła parzącą i kwaśną mazią, przepalającą w jego pamięci powietrze z płynnego szkła tego popołudnia promieniejących deszczy z moskitiery, bo to było gówno, generale, pańskie własne gówno.

Na krótko przed zachodem słońca, kiedy skończyliśmy wyrzucać zgniłe czaszki krów i uporządkowaliśmy nieco ten niesamowity bałagan, nie zdołaliśmy jeszcze doprowadzić trupa do stanu upodobniającego go do obrazu z jego legendy. Oskrobaliśmy go rybackimi nożami, by zedrzeć z niego narośle z morskiego dna, przemyliśmy kreoliną, natarliśmy solą kamienną, by zedrzeć wrzody rozkładu, posypaliśmy krochmalem, by ukryć pakuły i parafinowe odlewy, którymi musieliśmy załatać mu twarz podziobaną przez ścierwie ptaki, nakładając róż i szminkując usta, przywróciliśmy jej kolor życia, ale nawet szklane oczy wsadzone w puste oczodoły nie zdołały nadać mu władczego wyglądu nieodzownego, by wystawić zwłoki na widok tłumów. W tym samym czasie w sali Rady Ministrów obwieszczaliśmy przymierze wszystkich przeciwko despotyzmowi wieków, by rozdzielić między siebie na równe części łupy jego władzy, gdyż wrócili wszyscy, ściągnięci zakłębieniem tajnej, lecz niedającej się powstrzymać wieści o jego śmierci, wrócili liberałowie i konserwatyści pogodzeni przy popiołach tylu lat zawiedzionych ambicji, generałowie z naczelnego dowództwa, którzy utracili orient władzy, trzej ostatni ministrowie cywilni, prymas, wszyscy, których nie chciałby tu widzieć siedzących przy długim orzechowym stole, próbujących uzgodnić formę,

171

w jakiej należy podać wiadomość o tej niewiarygodnej śmierci, by zapobiec przedwczesnej eksplozji tłumów na ulicy, wpieryw biuletyn numer jeden pierwszej nocy nad ranem, o lekkim pogorszeniu się stanu zdrowia, zmuszającym do zawieszenia obowiązków publicznych i audiencji cywilnych oraz wojskowych jego ekscelencji, później drugi biuletyn lekarski, w którym ogłaszano, że dostojny pacjent w konsekwencji niedyspozycji właściwej jego wiekowi zmuszony jest pozostać w swych prywatnych pokojach, i wreszcie, bez żadnego ogłoszenia, nieustające bicie w dzwony katedralne o promiennym świetle ciepłego, sierpniowego wtorku śmierci oficjalnej, o której nikt nigdy nie mógł twierdzić z całą pewnością, iż rzeczywiście była jego śmiercią. Czuliśmy się bezbronni wobec tej oczywistości, zobowiązani wobec śmierdzących zwłok tego, którego nie byliśmy zdolni nikim zastąpić wobec świata, gdyż w swych starczych pełnomocnictwach sprzeciwił się podjęciu jakichkolwiek decyzji o losie ojczyzny po nim, z nieujarzmionym uporem starucha oparł się wszystkim sugestiom podsuwanych mu od czasu, gdy rząd przeniósł się do ministerialnych gmachów o lustrzanych szybach, a on został sam w bezludnym domu swej absolutnej władzy, spotykaliśmy go idącego przez sen, przepychającego się pośród zniszczeń spo-

wodowanych przez krowy, niemającego kim rządzić, jeśli nie liczyć ślepców, trędowatych i paralityków, którzy umierali w zachwaszczonych różach nie wskutek choroby, lecz ze starości, a jednak był tak przytomny i uparty, że dobywaliśmy z niego tylko wykręty i odroczenia, ilekroć stawialiśmy przed nim problem natychmiastowego uporządkowania sprawy jego dziedzictwa, mówił bowiem, że myślenie o tym, jaki ma być świat po jego odejściu, przynosi takiego samego pecha jak śmierć, kurwa, skoro

172

tak czy owak po mojej śmierci wrócą politycy, żeby podzielić się tymi duperelami, jak w czasach konserwatystów, sami zobaczycie, mówił, znowu rozdziela wszystko pomiędzy księży, jankesów i bogaczy, i oczywiście guzik dla biedaków, bo tym będą zawsze tak dokopywać, że w dniu, kiedy gówno nabierze wartości, biedacy urodzą się bez dupy, sami zobaczycie, mówił, cytując kogoś ze swych czasów chwały, kpiąc nawet z samego siebie, kiedy powiedział nam, dusząc się ze śmiechu, że na te trzy dni, przez które ma nie żyć, to nie warto wieźć go aż do Jerozolimy, by pogrzebać w Grobie Świętym, i skończył swój wywód sprzeciwu ostatecznym argumentem, że nieważne, kurwa, że coś nie było wówczas prawdą, bo z czasem stanie się prawdą. Miał rację, gdyż w naszej epoce nie było nikogo, kto podałby w wątpliwość prawdziwość jego historii, i nikogo, kto mógłby ją udowodnić czy zdementować, skoro nie potrafiliśmy nawet ustalić tożsamości jego ciała, nie było innej ojczyzny niż ta, zrobiona przez niego na własny obraz i podobieństwo, ze zmienioną przestrzenią i czasem skorygowanym zgodnie z życzeniami jego woli absolutnej, odtworzonej przez niego od najmniej pewniejszych źródeł jego pamięci, gdy błąkał się bez celu po domu nিকczemności, w którym nigdy nie spała istota szczęśliwa, gdy rzucał ziarna kukurydzy kurom dziobiącym je wokół jego hamaka i irytował służbę sprzecznymi życzeniami, żeby przynieść mi lemoniadę z potłuczonym lodem, którą nietkniętą zostawiał w zasięgu ręki, wziąć to krzesło stamtąd i postawić tam, i znowu przestawić na swoje miejsce, by tymi drobiazgami podtrzymać stygnące popioły swego nieuleczalnego nałogu rządzenia, próbując rozerwać codzienną beczyność władzy cierpliwym odgrzebywaniem ulotnych chwil

173

odległego dzieciństwa, podczas gdy głowa opadała mu z senności, pod ceibą, i budził się nagle, gdy udało mu się schwycić jakieś wspomnienie niczym część bezkresnej łamigłówki ojczyzny sprzed jego narodzin, ojczyzny wielkiej, chimerycznej, bezbrzeżnej, królestwa bagien z powolnymi łodziami i przepaściami wcześniejszymi niż on, z czasów gdy ludzie byli tak odważni, że chwyтали kajmany gołymi rękami, wbijając im w paszczę kij, o tak,

tłumaczył nam, trzymając palec wskazujący na podniebieniu, opowiadał nam, że któregoś Wielkiego Piątku usłyszał huczący podmuch i poczuł zapach łupieżu wiatru, i zobaczył chmury szarańczy, która zakryła niebo południa i ścinała wszystko, co napotykała na swej drodze, zostawiając świat ostrzyżony i postrzępione światło jak w przededniu stworzenia, gdyż on przeżył ten kataklizm, widział rząd uwieszonych za nogi kogutów bez główek, wykrwawiających się kropla po kropli na dachu domu przy dużej i nierównej ścieżce, domu, w którym zmarła właśnie jakaś kobieta, szedł, trzymając się ręki matki, boso, za obdartym trupem wiezionym bez trumny na tarczce stoczonej przez powietrzną trąbę szarańczy, gdyż taka była wtedy ojczyzna, nie mieliśmy nawet trumien, widział człowieka usiłującego powiesić się na sznurze, już użytym przez innego wisielca, na drzewie wiejskiego placyku, i przegniły sznur pękł zbyt wcześnie, i biedny człowiek padł, konając na placyku ku przerażeniu pań wychodzących z mszy, ale nie umarł, wskrzesili go kijami, nie trudząc się sprawdzeniem, kto zacz, gdyż w tamtej epoce nikt nie wiedział, kto kim jest, jeśli nie był znany w kościele, zakuli mu kostki w dwie deski chińskich dyb i wystawili na słońce i słotę razem z innymi współtowarzyszami kary, gdyż takie były tamte czasy Gotów-konserwatystów, kiedy rządził raczej Bóg niż rząd, złe

174

czasy dla ojczyzny, póki on nie rozkazał ścinać drzew na wszystkich placykach, by skończyć ze strasznym widowiskiem niedzielnych wisielców, zabronił publicznego zakuwania w dyby, pogrzebów bez trumien, wszystkiego, co mogłoby obudzić w pamięci hańbiące prawa wcześniejsze od jego władzy, zbudował linię kolejową na płaskowyżu, by skończyć ze sromotą przerażonych mulic nad przepaściami, dźwigających fortepiany na bale maskowe w hacjendach plantatorów kawy, gdyż widział również katastrofę trzydziestu fortepianów rozbitych w przepaści, o których tyle mówiono i pisano nawet za granicą, chociaż tylko on mógł dać świadectwo prawdzie, stanął przypadkiem w oknie właśnie w chwili, gdy ostatnia mulica poślizgnęła się i pociągnęła resztę w przepaść, nikt więc oprócz niego nie słyszał wycia trwogi lecącego stada i niekończącego się akordu fortepianów spadających na grzbiecie mulic, dźwięczących w pustce, rozbijających się o dno ojczyzny, która wówczas była jak wszystko przed nim, rozległa i niepewna, do tego stopnia, iż nie sposób było stwierdzić, czy jest noc, czy dzień w tym czymś, co było zmierzchem wiecznej mgły ciepłych oparów z głębokich wąwozów, gdzie roztrzaskały się fortepiany importowane z Austrii, widział to, jak i wiele innych rzeczy tamtego, tak już odległego, świata, choć sam nie mógłby powiedzieć dokładnie, czy rzeczywiście były to jego własne wspomnienia, czy też słyszał o tym podczas złych nocy

wojennych gorączek lub może widział to wszystko przypadkiem w rycinach książek podróżniczych, nad których ilustracjami spędzał w ekstazie wiele pustych godzin w bezwietrzu władzy, to wszystko zresztą nieważne, kurwa, zobaczycie, że z czasem to wszystko będzie prawdą, mówił, świadom, iż jego prawdziwe dzieciństwo nie było owym dziedzictwem niepewnych wspomnień,

175

które go nachodziły, kiedy suche łąno zaczynało płonąć i zapominał na zawsze, lecz że naprawdę przeżył je w zatoce spokojnych wód mojej jedynej i prawowitej małżonki Letycji Nazareno, która każdego popołudnia od godziny drugiej do czwartej sadzała go w szkolnej ławce w cieniu bugenwilli, by nauczyć go czytać i pisać, wkładając w to heroiczne przedsięwzięcie cały swój upór nowicjuszki, a on odwzajemniał się swą przerażającą cierpliwością starca, przerażającą wolą swej nieograniczonej władzy, całym moim sercem, tak iż wyśpiewywał z głębi duszy to Ala i Ola Ala stoi i Ola stoi i lala Oli stoi ta lak to Lola, śpiewał, nie słysząc siebie samego i nie będąc słyszany przez nikogo pośród wrzawy spłoszonych ptaków zmarłej matki, że Sabina sprzedaje ser seler serdelki seradełę serwatkę sernik i piernik, Sabina sprzedaje wszystko, śmiał się, powtarzając w tumulte cykad czytanekę, którą Letycja Nazareno śpiewała w rytm swego metronomu nowicjuszki, póki przestrzeń świata nie wypełniła się dziećmi twego głosu i nie było w jego bezkresnym królestwie zgryzoty innej prawdy niż przykładowe prawdy elementarza, nie było nic innego prócz ja idę a ja jadę a to mamy tylko dla mamy moja krówka ryku ryku a mój królik skiku skiku, czytanek powtarzane o każdej dobie i na każdym miejscu jak jego portrety, nawet w obecności ministra skarbu Holandii, który stracił orientację podczas wizyty oficjalnej, gdy posępny starzec w mrokach swej niezgłębionej władzy uniósł dłoń w atlasowej rękawiczce i przerwał audiencję, zapraszając go do zaśpiewania ze mną tata ma tatarak Gabriel gna gęsi na drogę król ma klej klei nim kolej, naśladując palcem wskazującym rytm metronomu i powtarzając z pamięci wtorkową lekcję z doskonałą dykcją, ale z tak złym wyczuciem nadarzającej się okazji, że spotkanie skończyło się, tak jak on

176

chciał, odłożeniem spłaty weksli holenderskich na bardziej sprzyjający moment, kiedy będzie na to czas, postanowił ku zdumieniu trędowatych, ślepych, paralityków, którzy wstali o świcie pośród ośnieżonych krzewów różanych i zobaczyli starca ciemności, który, udzieliwszy milczącego błogosławieństwa, zaśpiewał trzy razy akordami z niesporów gdyby kózka nie skakała toby nóżki nie złamała, zaśpiewał król królowej Karolinie kupił korale koloru

koralowego, zaśpiewał, latarnia morska to bardzo wysoka wieża z długim promieniem światła, który w nocy prowadzi żeglarza do portu, zaśpiewał, świadom, że w cieniach jego starczego szczęścia nie ma innego czasu poza czasem Letycji Nazareno, życie moje, w krewetkowej zupie miłosnych zapasów sjesty, nie było innych pragnień poza pragnieniem nagości z tobą na dywaniku przesiąkniętym potem, w cieniu schwytanego nietoperza elektrycznego wentylatora, nie było innego światła poza światłem twoich pośladków, Letycjo, nie było nic poza totemami twoich piersi, twoimi płaskimi stopami, twoją leczniczą gałązeczka ruty, przytłaczającymi styczniami dalekiej wyspy Antigui, gdzie przyszedł na świat o świcie samotności zrytej palącym wiatrem zgniłych bagien, zamknął się z nią w pokoju dla honorowych gości, osobiście wydał rozkaz, by nikt nie ważył się podejść bliżej niż na pięć metrów do tych drzwi, bo będę bardzo zajęty nauką czytania i pisania, nikt mu więc nie przerywał, nawet wiadomością, panie generale, że żółta febra dziesiątkuje ludność wiejską, gdy rytm mojego serca wyprzedzał rytm metronomów pobudzony niewidzialną siłą twojego zapachu dzikiego zwierzęcia, śpiewał, że Cela je jajko kto tak je jak Cela tu stoją pełne wory z tymi worami pojedą do młyna Ala sama tę torebkę zrobiła, śpiewał, gdy Letycja Nazareno odsuwała mu chore jądro, by oczyścić je

177

z resztek kupki po ostatnim szaleństwie miłosnym, zanurzała je w oczyszczających wodach tombakowej wanny na lwich łapach i mydliła mydłem angielskim, i szorowała, i splukiwała wywarem z liści, śpiewając na dwa głosy, kipi kasza kipi groch lepsza kasza niżli groch, nacierała mu pachwiny olejkim kakaowym, by uśmierzyć ból odparzeń od bandaża przepuklinowego, kropiła mu kwasem borsynym zwiędłą gwiazdę pupci, dając mu klapsy czulej matki za to, że byłeś niegrzeczny wobec ministra Holandii, plaf, plaf, za karę prosząc go o zezwolenie na powrót do kraju zakonów żebraczych, by znów zajęły się sierocińcami i szpitalami, i innymi dobroczynnymi instytucjami, ale owiał ją posępną aurą swego niezłomnego lęku, za żadną cholere, westchnął, nie było takiej siły ani na tym, ani na tamtym świecie, która zmusiłaby go do zmiany decyzji wydanej żywym słowem przez niego samego, poprosiła go w miłosnych astmach drugiej po południu, zrób coś dla mnie, życie moje, tylko to jedno jedyne, niech wrócą na tereny misyjne zakony, które pracowały na poboczu kaprysów władzy, ale on odpowiedział jej w pożądlwym sapaniu napalonego męża, za żadną cholere, miłości moja, raczej śmierć niż poniżenie przez tę bandę zbabiałych chłopów dosiadających Indian zamiast mułów i rozdających naszyjniki kolorowych szklanych paciorków za złote kółeczka i kolczyki, za żadną cholere, zaprotestował, nieczuły na błaganie Letycji Nazareno, mojego nieszczęs-

cia, która ścisnęła uda, by poprosić go o reaktywowanie seminariów duchownych zamkniętych przez rząd, wypłacenie odszkodowań za wywłaszczone dobra, cukrownie, świątynie przemienione w koszary, ale on odwrócił się twarzą do ściany, gotów raczej skazać się na męczarnie nienasycenia twymi powolnymi i przepastnymi miłościami, niż dać sobie zgiąć kark dla dobra tych bożych

178

rozbójników, od wieków żerujących na wątrobie ojczyzny, za żadną cholere, postanowił, a mimo to wrócili, panie generale, powróciły do kraju najwęższymi szczelinami zakony żebracze, zgodnie z jego poufnym rozkazem, by potajemnie wylądowały w cichych zatoczkach, wypłacono im olbrzymie odszkodowania, zwrócono z nawiązką wywłaszczone dobra i zniesiono wydane niedawno prawa o ślubach cywilnych, rozwodach, świeckiej oświacie, wszystko, co zarządził żywym słowem w porywach wściekłości podczas kpiarskiego święta procesu beatyfikacji swojej matki, Bendición Alvarado, którą niech Bóg przyjmie do swego królestwa, kurwa, ale Letycji Nazareno nie dość było tego i poprosiła o więcej, poprosiła, przyłóż ucho do mojego podbrzusza, posłuchaj, jak śpiewa stworzenie rosnące wewnątrz, gdyż obudziła się w środku nocy zaskoczona tym głębokim głosem opiewającym wodny raj twoich wnętrzości przeoranych malwowymi zmierzchami i wiatrami ze smoły, tym wewnętrznym głosem opowiadającym o polipach twoich nerek, świeżej stali twoich trzewi, ciepłym bursztynie twojego moczu śpiącego u swych źródeł, a on przyłożył do jej łona ucho, w którym mniej mu bzycało, i usłyszał sekretny plusk żywego stworzenia jej grzechu śmiertelnego, dziecka naszych plugawych brzuchów, które powinno nazywać się Emanuel, czyli nosić imię, pod jakim inni bogowie znają Boga, i powinno mieć na czole białą gwiazdkę swego znamienitego pochodzenia, i powinno odziedziczyć po matce ducha poświęcenia, a po ojcu wielkość i jego przeznaczenie niewidzialnego przewodnika, ale miało być sromotą nieba i piętnem ojczyzny z racji swej nielegalnej natury, dopóki on nie zdecyduje się uświęcić przed ołtarzami tego, co plugawił w łóżku przez tak wiele lat świętokradczego konkubinatu, i wtedy utorował sobie

179

drogę pośród piany starej ślubnej moskitiery, dysząc tym samym sapaniem okrętowego kotła, które wydobywało się z głębi straszliwej, powściąganej wściekłości, krzycząc, za żadną cholere, po moim trupie, powłócząc swymi olbrzymimi stopami pana młodego, ukryty w salonach obcego domu, którego wspaniałość z innej epoki została przywrócona po długich ciemnościach oficjalnej żałoby, zbutwiałe, wielotygodniowe krepy zerwano z gzymsów,

zjawiało się morskie światło w pokojach, kwiaty na balkonach, wojskowe marsze, a wszystko to zgodnie z rozkazem, którego nie wydał, ale który, nie ulega najmniejszej wątpliwości, panie generale, był jego rozkazem, miał bowiem w sobie spokojną stanowczość jego głosu i nieomylny styl jego władzy, i przystał, zgoda, i znów otworzyły się zamknięte świątynie, a klasztory i cmentarze zostały zwrócone dawnym kongregacjom na podstawie innego rozkazu, którego również nie wydał, ale na który przystał, zgoda, przywrócono dawne święta kościelne i zwyczaje odpustowe i przez otwarte tarasy wpadały hymny radości tłumów, przedtem sławiące śpiewem jego chwałę, a teraz śpiewające na klęczkach w słonecznej spiekocie, aby uczcić dobrą nowinę, że przywieziono Boga na okręcie, panie generale, naprawdę, przywieziono go z twojego rozkazu, Letycjo, prawem alkowy, jak tyle innych praw, które w sekrecie ustanawiała, nikogo się nie radząc, i które on zatwierdzał publicznie, by niczym oczom nie wydało się, że stracił wyrocznie swej władzy, gdyż to ty byłaś niewidzialnym motorem tych niemających końca procesji, gdy on przyglądał się zdziwiony z okien swojej sypialni, widząc, jak nadchodzą z miejsc jeszcze bardziej odległych, nieznanymi fanatycznym horrorem jego matki, Bendición Alvarado, której pamięć została wymazana z czasu ludzi, rozrzucono na wiatr

180
strzępy sukni ślubnej i krochmal jej kości i znów odwrócono płytę nagrobną w krypcie napisem do środka, by nie przetrwała po kres czasu nawet wiadomość o jej imieniu ptaszniczki w spoczynku, malarki wilg, a wszystko to z twojego rozkazu, gdyż to ty rozkazałaś, by żadna pamięć o innej kobiecie nie rzuciła cienia na pamięć o tobie, Letycjo Nazareno mojego nieszczęścia, kurwa twoja mać. To ona odmieniła go w wieku, w którym nikt się nie zmienia, chyba tylko żeby umrzeć, łózkowymi sposobami zdołała złamać jego chłopięcy upór, że za żadną cholere, po moim trupie, zmusiła go, by włożył nowy bandaż, zobacz, jak dzwoni niczym dzwoneczek zbłąkanej w ciemności owieczki, zmusiła go, byś nosił te lakierki z czasów, gdy zatańczył z królową pierwszego walca, złotą ostrogę na lewym obcasie, którą podarował mu admirał mórza i oceanów, by nosił ją do śmierci na znak najwyższej władzy, tę kurtkę obszytą galonami, sznurami i epoletami posągu, której nie miał na sobie od czasów, gdy jeszcze można było dojrzeć zza firanek prezydenckiej karocy smutne oczy, zamyślony podbródek, milczącą dłoń w atlasowej rękawiczce, zmusiła go, żebyś przypasał szablę wojenną, skropił się męskimi perfumami, przypiął medale z wstęgą zakonu kawalerów Grobu Świętego, przysłane ci przez Ojca Świętego za zwrot Kościołowi wywłaszczonych dóbr, przystroiłaś mnie jak jarmarczny ołtarz i o świcie poprowadziłaś mnie na moich własnych nogach do ciemnej sali audiencyjnej, pachnącej pogrzebnymi świecami wśród wiązanek kwia-

tów pomarańczy w oknach i państwowych godeł zawieszonych na ścianach, bez świadków, ujarzmiony przez nowicjuszkę zagipsowaną w płócienną koszulę przybraną muślinami, by stłumić wstyd siedmiu miesięcy skrytego rozpasań, pocili się w senności niewidzialnego morza,
181

węszącego bez chwili spoczynku wokół ponurej sali bankietowej, do której z jego rozkazu zabroniono dostępu, zamurowano okna, zniszczono wszelki ślad życia w pałacu, by do nikogo nie dotarła najdrobniejsza bodaj pogłoska o wielkich tajnych zaślubinach, ledwie mogłaś oddychać w upale wskutek niecierpliwości przedwczesnego potomka płci męskiej, pływającego w wodach ciemności pośród twoich trzewi, gdyż on zarządził, żeby był to potomek płci męskiej, i był, śpiewał w podziemiach twojego ciała i duszy tym samym głosem niewidzialnego źródła, z jakim prymas w pontyfikalnych szatach śpiewał chwała Panu na wysokościach, by nie usłyszeli go nawet drzemiący wartownicy, z tą samą trwogą zagubionego nurka, z jaką prymas polecił jego duszę Bogu, by zapytać nieprzeniknionego starca o to, o co nikt dotąd ani później, po ostateczny kres wieków, nie śmiałby zapytać, czy zgadzasz się pojąć za małżonkę Letycję Mercedes Marię Nazareno, a on ledwie zamrugał, zgoda, ledwie brzęknęły mu na piersi wojenne orderki poruszone skrytym parciem serca, ale było tyle władzy w jego głosie, że straszne stworzenie twoich trzewi przekreśliło się całkowicie w swym zrównaniu dnia z nocą gęstych wód, skorygowało swój kurs i odnalazło kierunek światła, i wtedy Letycja Nazareno skręciła się, łkając Ojciec mój i Panie, zlituj się nad pokorną służebnicą Twoją, która zaznała wiele rozkoszy, łamiąc Twoje święte prawa i przystaje z pokorą na tę straszną karę, ale gryząc w tym samym czasie koronkową rękawiczkę, by chrzest wykreconych bioder nie zdradził sromoty ujarzmionej przez płócienną koszulę, przykucnęła, rozpołowiła się w dymiącej kałuży swych własnych wód i wyciągnęła sobie spośród płątaniny muślinu siedmiomiesięczny płód, który miał ten sam kształt i ten sam wyraz bezbronności surowego zwierzęcia,
182

poronionego cielaka, uniosła go w dłoniach, próbując przyjrzeć mu się w mętnym świetle świec zaimprovizowanego ołtarza, i zobaczyła, że jest płci męskiej, tak jak zarządził, panie generale, potomek kruchy i bojaźliwy, który miał nosić bez honoru imię Emanuel, tak jak zostało przewidziane, i mianowano go generałem dywizji z władzą prawodawczą i wojskową, obowiązującą od chwili, kiedy położył go na kamieniu ofiarnym i odciął mu szablą pępownię i uznał go moim jedynym i prawowitym synem, ojciec, proszę mi go ochrzcić. Ta bezprecedensowa decyzja miała być początkiem nowej epoki, pierwszą zapowiedzią złych czasów, w których wojsko przed świtem otaczało ulice kordonami, rozkazując zamykać okna od tarasów i bijąc kolbami karabinów opróżniało targ, by nikt nie

widział przelotnego przejazdu oślepiającego samochodu obitego blachą z pancерnej stali, ze złotymi klamkami z prezydenckiej wytwórni herbów, a ci, co mieli odwagę podglądać z zakazanych dachów, widzieli, nie jak w innych czasach, tysiącletniego wojownika z podbródkiem opartym na zamyślonej dłoni w atłasowej rękawiczce, zza firanek haftowanych w barwy narodowe, ale krępą byłą nowicjuszkę w słomkowym kapeluszu z filcowymi kwiatami, w etoli z niebieskich lisów, którą mimo upału nosiła na ramionach, widzieliśmy ją, jak wysiadała przy targowisku w każdą środę o świcie, eskortowana przez patrol żołnierzy, prowadząc za rękę maleńkiego, mającego nie więcej niż trzy lata generała dywizji, którego trudno było, widząc jego wdzięk i smukłość, nie wziąć za dziewczynkę przebraną w wojskowy strój, w galowy mundur ze złotymi szlifami zdający się rosnać wraz z jego ciałem, Letycja Nazareno włożyła mu go bowiem przed pierwszym ząbkowaniem, gdy zabierała go z sobą w wózek, by przewodniczył oficjalnym uroczystościom w zastępstwie t m

swego ojca, trzymała go na rękach podczas defilady jego wojsk, unosiła wysoko nad głową, by przyjmował owację tłumów na stadionie, dawała mu piersi w odkrytym samochodzie podczas pochodów w święta narodowe, nie pomyślawszy nawet o dyskretnych kpinach, jakie wywoływał ten publiczny spektakl z generałem pięciu słońc, uwieszonym w ekstazie osieroconego cielaka u piersi matczynej, asystował na dyplomatycznych przyjęciach, odkąd mógł sam sobie radzić, a wtedy prócz munduru nosił również orderzy wojenne, które wybierał wedle własnego upodobania ze szkatułki pełnej odznaczeń, pożyczonej mu przez ojca do zabawy, i był dzieckiem poważnym, dziwnym, od szóstego roku życia potrafił występować publicznie, trzymając w dłoni kieliszek z sokiem owocowym zamiast szampana i rozmawiając o sprawach osób dorosłych z naturalną celnością i wdziękiem, których nie odziedziczył po nikim, chociaż nieraz nad salą bankietową wisiała czarna chmura, czas stawał w miejscu, bladego, obdarzonego najwyższymi pełnomocnictwami delfina morzyła senność, cicho, szeptali, maleńki generał śpi, wynosili go na rękach jego adiutanci, wśród rozmów przerywanych w pół zdania i skamieniałych gestów luksusowych płatnych morderców i wstydlivych pań, niemających odwagi szepnąć słowa, powstrzymujących śmiech zakłopotania za wachlarzami z piór, straszne, gdyby generał wiedział o tym, ponieważ on pozwala szerzyć się świętemu przekonaniu, wymyślönemu przez siebie, iż jest obojętny wobec wszystkich wydarzeń tego świata, jeśli nie są one na poziomie jego wielkości, i to zarówno wobec publicznych wybryków jedynaka, którego uznał za własnego syna spośród niezliczonych rzesz przez niego spłodzonych, jak i wobec rozpasanych działań mojej

jedynej i prawdziwej małżonki Letycji Nazareno, która
184

przyjeżdżała na targ w środy o świcie, prowadząc za rękę swojego generała-zabawkę w otoczeniu hałaśliwej eskorty służby z koszar i ordynansów z oddziałów specjalnych, odmienionych przez ten dziwny, dostrzegalny odbłask świadomości, poprzedzający nieunikniony wschód słońca na Morzu Karaibskim, rzucali się po pas w śmierdzącą wodę zatoki, by plądrować łodzie z połatanymi żaglami, zakotwiczone w dawnym porcie niewolników, obładowane kwiatami z Martyniki, kłączami imbiru z Paramaribo, w wojennych potyczkach łupili żywe ryby, walczyli o świnie, nacierając kolbami obok dawnej wagi dla niewolników, ciągle jeszcze używanej, gdzie w inną środę innej epoki ojczyzny wystawiono dla niego na licytacji publicznej senegalską brankę, za którą, dzięki jej urodzie sennego koszmaru, zapłacono więcej, niż ważyła w złocie, wszystko zmiotli, panie generale, to było gorsze niż szarańcza, gorsze niż cyklon, ale on zachował się obojętnie wobec narastającego skandalu, że Letycja Nazareno wpada tak, jak nie odważyłby się nawet on, do pstrokatej hali na targu ptaków i warzyw, a za mą sunie jazgot psów ulicznych, które wystraszone oszczekują osłupiałe szklane oczy niebieskich lisów, z bezczelną pychą swojej władzy porusza się pomiędzy smukłymi kolumnami haftowanymi w żelazie, pod żelaznymi gałęziami z wielkimi liśćmi żółtych szyb, z jabłkami różowych szyb, z rogami obfitości baśniowych bogactw flory niebieskich szyb gigantycznego sklepienia szwateł, gdzie wybiera najapetyczniejsze owoce i najświeższe warzywa, które mimo to, w chwili gdy ich dotyka, natychmiast więdną, nieświadoma złych mocy swych dłoni, od których pokrywał się pleśnią ciepły jeszcze chleb i czerniało złoto jej ślubnej obrączki, obrzucała więc obelgami przekupki za to, że ukrywają najlepszy towar, a dla władzy zostawiają lichotę owoców

185

sra

mango nadających się tylko dla świń, złodziejki, tę dynię grzechoczącą jak tykwa grajka, diabelskie nasienia, te zasrane żeberka ze zrobaczywiałą krwią, już na milę widać, że nie są wołowe, tylko ze zdechłego osła, bękarcie, pieniła się, gdy służące ze swymi koszami i ordynansi ze swymi wiadrami do pojenia koni grabili wszystko, co nadawało się do jedzenia i na co padał ich wzrok, jej pirackie wrzaski były bardziej przejmujące niż jazgot psów oszalałych na widok ślepiów w śnieżnych zakamarkach kit niebieskich lisów, sprowadzonych przez nią żywcem z Wyspy Księcia Edwarda, były bardziej raniące niż krwawa odpowiedź niewyparzonych dziobów papug, bo właścicielki potajemnie nauczyły je wykrzykiwać to, na

co same nie mogły sobie pozwolić, Letycja złodziejka, kurewska zakonnica, krzyczały zawieszona pod kopułą hali targowej na metalowych konarach, pośród szklanych liści o zakurzonych barwach, gdzie czuły się bezpieczne, poza zasięgiem tego niszczycielskiego huraganu korsarskiej grabieży, powtarzającej się w każdą środę o świcie przez całe hałaśliwe dzieciństwo maleńkiego szalbierczego generała, którego głos stawał się tym delikatniejszy, a gesty łagodniejsze, im bardziej usiłował być dorosłym z tą szablą karcianego króla, którą jeszcze ciągnął za sobą po ziemi, zachowując obojętność pośród grabieży, zachowując spokój, dumę, z nieugiętą godnością wpojona mu przez matkę, by dostojnie prezentował sławę rodu, którą ona sama marnotrawiła na targu swymi napaściami rozszalałej suki i swymi szewskimi grubiaństwami na oczach obojętnych ciemnoskórych staruch w turbanach ze szmat o jaskrawych barwach, znoszących zniewagi, przyglądających się rabunkowi bez mrugnięcia okiem, z niewzruszonym spokojem siedzących bożków, nie oddychając, żując kuleczki tytoniu, kuleczki koki, leniwe

186

lekarstwa pozwalające im przeżyć tyle hańby podczas tego barbarzyńskiego szturm szarańczy, gdy Letycja Nazareno ze swą wojskową kukiełką torowała sobie drogę pośród zjezonych grzbietów oszalałych psów i od bramy krzyczała, a rachunki przesłać na rząd, jak zwykle, a one jedynie wzdychały, mój Boże, gdyby generał się o tym dowiedział, gdyby znalazł się odważny, który powiedziałby mu o tym, zwiedzione uludą, że on nie dowiedział się nawet w godzinie swojej śmierci o tym, o czym wszyscy wiedzieli ku większej hańbie jej pamięci, że moja jedyna i prawowita małżonka Letycja Nazareno ogołociła bazyry Hindusów z ich strasznych szklanych łabędzi i zwierciadeł w oprawkach z muszli, i popielniczek z koralu, ograbiła z żalobnych taft sklepy Syryjczyków i pełnymi garściami zagarniała złote rybki i sznury amuletów wędrownych złotników na ulicy handlowej, którzy krzyczeli jej prosto w twarz, że gorsza z ciebie lisica niż te niebieskie, które miała narzucone na ramiona, brała wszystko, co się jej nawinęło pod rękę, by dać upust jedynemu, co jej zostało z dawnego stanu zakonnej nowicjuszki, czyli swemu dziewczęcemu złemu gustowi i nałogowi chodzenia po kweście bez potrzeby, teraz jednak nie musiała, odwołując się do bożej litości, zebrać w pachnących jaśminami sieniach dzielnicy wicekrólów, lecz ładowała na wojskowe furgony, co jej się żywnie podobało, bez żadnego wysiłku ze swej strony prócz stanowczego rozkazu, by rachunek przesłać na rząd. Znaczyło to tyle samo, co kazać im, by zażądali zwrotu pieniędzy od Boga, od tamtej pory nikt bowiem nie był całkowicie pewny, czy on rzeczywiście istnieje, stał się niewidzialny, widzieliśmy ufortyfikowane mury na wzgórzu placu Bro-

ni, siedzibę władzy z legendarną trybuną balkonu, z koronkowymi firankami w oknach i kwiatami w doniczkach
187

na parapetach, siedzibę, która w nocy wydawała się płynącym po niebie parowcem, i to nie tylko z każdego miejsca w mieście, ale i z odległości siedmiu mil z morza, odkąd wymalowano cały pałac na biało i oświetlono go szklanymi kloszami, by w ten sposób uczcić wizytę znanego poety Rubena Dano, chociaż żaden z tych znaków nie dawał całkowitej pewności, że on tam przebywa, przeciwnie, myśleliśmy na zdrowy rozum, że te ostentacyjne przejawy życia są wojskowymi fortelami, by zadać kłam rozpowszechnionej wersji, iż uległ on kaprysowi starczego mistycyzmu, że zrezygnował z przepychów i próżności władzy i sam sobie wymierzył pokutę, skazując się na przeżycie reszty swoich lat w przerażającym stanie umartwienia, we włosiennicach wyrzeczeń duchowych i w różnego rodzaju żelastwie umartwień cielesnych, nie odżywiając się niczym prócz żytniej bułki i nie pijąc nic poza wodą studzienną, i śpiąc jedynie na nagich płytach posadzki w celi klauzury klasztoru Baskijek, aż do całkowitego odkupienia okrutnej winy, jaką było zniewolenie i zapłodnienie potomkiem płci męskiej zakazanej kobiety, która tylko dlatego, iż Bóg jest wielki, nie przyjęła jeszcze wyższych ślubów, a mimo to nic się nie zmieniło w jego rozległym królestwie zgryzoty, gdyż Letycja Nazareno miała klucze do jego władzy i wystarczyło jej rzec, że on kazał, by przesłano rachunek na rząd, wyświechtaną formułkę, która z początku zdawała się bardzo łatwa do obejścia, ale która z czasem zaczęła wzbudzać coraz więcej strachu, póki grupa stanowczych wierzycieli nie odważyła się po wielu latach stawić z walizką niezapłaconych rachunków w wartowni prezydenckiego pałacu, i ze zdziwieniem stwierdziliśmy, iż nikt nam nie powiedział, że tak lub nie, a tylko posłali nas z pełniącym służbę żołnierzem do
188

dyskretnej poczekalni, gdzie przyjął nas oficer marynarki, bardzo grzeczny, bardzo młody, o spokojnym głosie i promieniujący zadowoleniem, który poczęstował nas filiżanką słabej i pachnącej kawy z prezydenckich zbiorów, oprowadził nas po białych i dobrze oświetlonych urzędach z drucianymi siatkami w oknach i śmigłowymi wentylatorami na otynkowanych sufitach, i wszystko było tak przezroczyście i ludzkie, że ze zdumieniem zapytywano, gdzie podziła się władza w tym pachnącym perfumowanym lekarstwem powietrzu, gdzie podziła się skąpstwo i surowość władzy w świadomości tych urzędników w jedwabnych koszulach, którzy administrowali bez pośpiechu i w milczeniu, pokazał nam

mały, wewnętrzny dziedziniec z różami przyciętymi przez Letycję Nazareno, by oczyścić rosę świtu ze złego wspomnienia po trędowatych, ślepcach i paralitykach, wysłanych na śmierć przez zapomnienie do przytułków miłosierdzia, pokazał nam dawny barak konkubin, zarzewiały maszyny do szycia, wojskowe prycze, na których niewolnice z seraju spały stłoczone po trzy w swych celach hańby, teraz przeznaczonych do wyburzenia, bo na ich miejscu miano wybudować prywatną kaplicę, pokazał nam z wewnętrznego okna najintymniejszy krużganek rezydencji cywilnej, pergolę bugenwilli ozłoconych słońcem godziny czwartej za parawanem kraty z zielonych listew, gdzie on właśnie kończył obiad z Letycją Nazareno i dzieckiem, jedynymi osobami mającymi pozwolenie zasiadania przy jego stole, pokazał nam legendarną ceibę, w której cieniu zawieszano lniany hamak w barwach narodowych, gdzie spędzał sjęstę w najupalniejsze popołudnia, pokazał nam obory, wytwórnię serów, ule, a wracając ścieżką, którą on chodził o świcie, by dopilnować udoju, zdało się, iż poraziła go iskra

189

olśnienia, i wskazał nam palcem ślad buta w błocie, proszę popatrzeć, powiedział, to jego ślad, skamienieliśmy, przypatrując się temu odbiciu wielkiej i ordynarnej podeszwy, z której bił blask autorytetu w stanie spoczynku, odór zastarzałego świerzbu, śladu jaguara samotnika, i w tym odbiciu zobaczyliśmy władzę, poczuliśmy dotyk jego tajemnicy, z siłą objawienia o wiele większą niż wtedy, gdy jeden z nas został wybrany, by zobaczyć go w całym majestacie jego ciała, gdyż dowódcy sił lądowych zaczęli buntować się przeciw tej intruzce, która zdołała zagarnąć więcej władzy niż najwyższe dowództwo, więcej niż rząd, więcej niż on, Letycja Nazareno posunęła się bowiem tak daleko w swych pretensjach królowej, że nawet sam główny sztab prezydencki zaryzykował dopuszczenie jednego z was, panowie, tylko jednego, w nadziei, że on wyrobi sobie bodaj najmniejsze wyobrażenie o tym, co dzieje się z ojczyzną za jego plecami, panie generale, i w ten sposób zobaczyłem go, był sam w rozgrzanym gabinecie o białych ścianach pokrytych rycinami angielskich koni, siedział przechylony do tyłu w fotelu na sprężynach, pod śmigłami wentylatora, w mundurze z białego i wygniecionego płótna z miedzianymi guzikami i bez żadnych dystynkcji, prawą rękę w aksamitnej rękawiczce trzymał na drewnianym biurku, gdzie nie było nic poza trzema identycznymi parami bardzo małych binokli w złotych oprawkach, za plecami miał szklaną szafkę pełną zakurzonych książek, które wydawały się raczej księgami buchalteryjnymi oprawionymi w ludzką skórę, po prawej stronie miał wielkie i otwarte okno, też z drucianymi siatkami, przez które widać było całe miasto i całe

niebo bez chmur i bez ptaków aż po drugi brzeg morza,
i poczułem wielką ulgę, bo on wydawał się mniej świa-
190

domy swojej władzy niż którykolwiek z jego stronników
i był bardziej familiarny niż na swoich fotografiach,
a także bardziej godny litości, gdyż wszystko w nim
było stare i uciążliwe i wydawał się podminowany nie-
nasyconą chorobą do tego stopnia, że nie miał siły
powiedzieć mi, bym usiadł, tylko wskazał mi miejsce
smutnym gestem atłasowej rękawiczki, nie patrząc na
mnie, wysłuchał moich argumentów, świszcząc oddechem
ostrym i ciężkim, oddechem skrytym, zostawiającym
w pokoju wilgotny osad kreozotu, wewnątrz skupiając
się na kontrolowaniu rachunków, które tłumaczyłem,
posługując się szkolnymi przykładami, nie rozumiał bo-
wiem pojęć abstrakcyjnych, zacząłem więc od wykazania
mu, że Letycja Nazareno winna nam była za tyle tafty,
ile wynosi podwojona odległość morzem od Santa Maria
del Altar, to znaczy 190 mil, a on powiedział aha,
jakby tylko do siebie, skończyłem zaś wykazaniem mu,
że w sumie cały dług, po potrąceniu specjalnego rabatu
dla jego ekscelencji, stanowi równowartość pomnożonej
przez sześć głównej wygranej loterii w ciągu dziesięciu
lat, a on znowu powiedział aha, i dopiero wtedy spojrzał
mi w twarz bez binokli i mogłem zobaczyć, że jego
oczy są zawstydzone i pobłażliwe, i dopiero wtedy po-
wiedział mi dziwnym głosem fisharmonii, że nasze ar-
gumenty są oczywiste i słuszne, każdemu to, co mu
się należy, powiedział, przekażcie rachunek rządowi.
Tak rzeczywiście było w epoce, w której Letycja Na-
zareno uformowała go od nowa, omijając nieokrzesane
mielizny jego matki, Bendición Alvarado, oduczyła go
zwyczaju jedzenia w marszu, trzymania talerza w jednym
ręku, a łyżki w drugim, i jedli we trójkę na plażowym
stoliku pod pergolą bugenwilli, on naprzeciwko dziecka,
Letycja Nazareno między nimi, ucząc ich dobrych manier
191

i higieny żywienia, nauczyła ich siedzieć przy stole
z wyprostowanym kręgosłupem przylegającym do oparcia
krzesła, z widelcem w lewej dłoni i z nożem w prawej,
gryźć każdy kęs piętnaście razy z jednej i piętnaście razy
z drugiej strony, z zamkniętymi ustami i głową uniesioną,
puszczała mimo uszu ich protesty, że wszystkie te drobia-
zgowo instrukcje przypominają koszarowy regulamin,
nauczyła go czytać po obiedzie oficjalną gazetę, w której
sam występował jako patron i honorowy redaktor naczel-
ny, wkładała mu ją w ręce, gdy leżał na hamaku w cieniu
gigantycznej ceiby rodzinnego patio, mówiąc mu, że jest
nie do przyjęcia, żeby bądź co bądź szef państwa nie był
informowany na bieżąco o tym, co dzieje się na świecie,
zakładała mu złote binokle i zostawiała go brodzącego
w lekturze swych własnych wiadomości, podczas gdy ona

ćwiczyła dziecko w sporcie zakonnych nowicjuszek, w rzucaniu i łapaniu kauczukowej piłeczki, podczas gdy on odnajdywał siebie na fotografiach tak starych, że wiele z nich przedstawiało nie jego, lecz dawnego sobowtóra, który umarł za niego i którego imienia nie pamiętał, odnajdywał siebie przewodzącego wtorkowym naradom ministrów, w których nie uczestniczył od czasów komety, dowiadywał się o historycznych sentencjach przypisywanych mu przez wykształconych ministrów, czytał z opadającą z senności głową w skwarze błędnych sierpniowych popołudni, powoli zanurzał się w grzęzawisko potu sjesty, mamrocząc gównem nie gazeta, kurwa, nie rozumiem, jak ludzie to wytrzymują, mamrotał, ale coś musiało w nim zostawać po tych suchych lekturach, budził się bowiem z krótkiego i płytkiego snu z jakimś nowym pomysłem zainspirowanym wiadomościami, posyłał rozkazy swym ministrom przez Letycję Nazareno, odpowiadali mu przez nią, próbując przejrzeć jego myśli poprzez jej myśli, gdyż

192

ty byłaś tym, czym ja chciałem, żebyś była, tłumaczką moich najwyższych zamiarów, ty byłaś moim głosem, byłaś moim umysłem i moją siłą, była jego najwierniejszym uchem wśród szeptów ciągłej lawy niedostępnego świata, który go oblegał, choć w rzeczywistości ostatnimi wyroczniami kierującymi jego losem były anonimowe napisy na ścianach ubikacji dla personelu, gdzie rozszyfrowywał ukryte prawdy, których nikt nie śmiałyby mu | wyjawić, nawet ty, Letycjo, czytał je, wracając z udoju o świcie, nim zdążyliby je zamazać ordynansi od czystości, i rozkazał codziennie pobielać wapnem ściany ubikacji, by nikt nie oparł się pokusie wylania z siebie swych skrywanych żalów, tam poznał gorycze naczelnego dowództwa, pohamowane zamiary tych, co prosperowali w jego cieniu, a wyrzekali się go ze wstrętem za jego plecami, czuł się panem swojej władzy, gdy potrafił zgłębić jakąś tajemnicę ludzkiego serca w magicznym zwierciadle świńskiej gazetki, znów zaśpiewał po tylu latach, przypatrując się poprzez mgiełki moskitiery wielorybowi śpiącemu na mieliźnie, porannej drzemce swej jedynej i prawowitej małżonki Letycji Nazareno, wstawaj, śpiewał, jest szósta mojego serca, morze jest na swoim miejscu, życie toczy się dalej, Letycjo, nieprzewidziane życie jedynej z tylu kobiet, która uzyskała od niego wszystko prócz łatwego przywileju, by budził się z nią w łóżku, po ostatnim szaleństwie miłosnym zawieszał bowiem lampę od nagłej ucieczki nad drzwiami swej starokawalerskiej sypialni, zasuwiał trzy sztaby, trzy rygle, trzy zasuwy, rzucał się na podłogę twarzą do ziemi, sam i ubrany, tak jak to robił we wszystkie noce przed tobą, jak to robił bez ciebie aż do ostatniej nocy swoich snów samotnego topielca, wracał później z udoju do tego pokoju pachnącego zwierzęciem ciemności, by nadal obdarzać cię, czym tylko zechcesz,

czymś więcej nawet niż bezmiernym dziedzictwem jego matki, Bendición Alvarado, dawać ci o wiele więcej, niż jakiegokolwiek ludzkiej istocie na ziemi się śniło, obdarzać nie tylko ją, ale również i jej niezliczonych krewnych zjeżdżających z bezimiennych atoli Antyli, za cały dobytek mających własną skórę na grzbiecie, a z tytułów wyłącznie swą tożsamość przynależności do rodziny Nazareno, szorstkiej rodziny nieustraszonych mężczyzn i kobiet trawionych gorączką zachłanności, którzy zdobyli szturmem kramy soli, tytoniu, wody pitnej, stare przywileje, jakimi obdarzał dowódców różnych rodzajów broni, by trzymać ich z dala od innych ambicji, jakich z wolna pozbawiała ich Letycja Nazareno, powołując się na rozkazy, których on nie wydawał, ale na które przystał, zgoda, zniosła barbarzyński system egzekucji przez rozszarpywanie końmi i usiłowała w zamian wprowadzić krzesło elektryczne podarowane mu przez dowódcę wojsk desantowych, abyśmy także mogli korzystać z najbardziej cywilizowanej metody zabijania, zwiedził laboratorium trwogi w twierdzy portowej, gdzie wybierano najbardziej wycieńczonych więźniów politycznych, żeby się wprawiać w obsłudze tronu śmierci, na którego potrzeby szła cała moc elektrowni miejskiej, znaleźliśmy dokładnie godzinę śmiertelnych doświadczeń, bo przez chwilę tonęliśmy w ciemnościach, z oddechem zapartym z przerażenia, zachowywaliśmy minutę ciszy w portowych burdelach i wypijaliśmy kieliszek za duszę skazańca, nie raz, nie dwa, lecz wiele razy, zwęglone ciała większości ofiar zwisały bowiem na pasach krzesła, buchały dymem pieczonego mięsa, jeszcze charcząc z bólu, póki ktoś nie zlitował się i nie dobił strzałem po wielu nieudanych próbach, wszystko to, żeby ci dogodzić, Letycjo, dla ciebie opróżnił więzienia i zezwolił ponownie na repatriację swoich

194

wrogów, i proklamował edykt wielkanocny, by nikt nie był karany za różnice poglądów ani prześladowany za opinie wynikające z jego sumienia, całym sercem przekonany w pełni swojej jesieni, że nawet jego najzagorzalsi przeciwnicy mają prawo dzielić z nim spokój, którym cieszył się w zachwycające noce stycznia z jedyną kobietą zasługującą na chwałę oglądania go bez koszuli, w długich kalesonach i z olbrzymią przepukliną ozłoconą przez księżyc na tarasie prywatnej rezydencji, kontemplowali razem tajemnicze wierzby, przysłane im w owe święta Bożego Narodzenia przez królów Babilonii, by zasadzili je w ogrodzie deszczu, cieszyli się słońcem rozszczepianym przez wieczne wody, radowali się gwiazdą polarną wplątaną we własny gąszcz, drobiazgowo badali wszechświat w falach radiowych zagłuszanych kpiarskimi gwiz-

dami przelotnych planet, słuchali razem kolejnego odcinka słuchowisk z Santiago de Cuba, które napełniały ich dusze uczuciem niepokoju, czy jutro będziemy jeszcze żyć, czy zobaczymy, jak skończy się ta nieszczęsna historia, przed snem bawił się z dzieckiem, by nauczyć syna wszystkiego, co trzeba wiedzieć o stosowaniu i konserwacji broni, a co z ludzkich nauk było nauką, którą on znał lepiej niż ktokolwiek, ale jedyną radą, jakiej synowi udzielił, było zalecenie, abyś nigdy nie wydawał rozkazu, jeśli nie jesteś pewny, że go wykonają, kazał mu to powtórzyć tyle razy, ile uważał za niezbędne, aby dziecko nigdy nie zapomniało, że jedynym błędem, którego w całym swoim życiu nie może popełnić ani razu człowiek obdarzony władzą i autorytetem, jest wydanie rozkazu bez absolutnej pewności, czy zostanie wykonany, zalecenie raczej będące radą dmuchającego na zimne dziadka niż przezornego ojca i której dziecko nie powinno nigdy zapomnieć, choćby żyło tak długo jak on, udzielił jej

195

bowiem w czasie, gdy malec w wieku lat sześciu przygotowywał się po raz pierwszy do wystrzelenia z działa polowego, my zaś owym hukom katastrofy przypisaliśmy przerażającą suchą burzę błyskawic i wulkanicznych grzmotów i straszliwy wiatr polarny z Comodor Rivadavia, który wyszarpał wnętrze morza i uniósł w powietrze cyrk ze zwierzętami obozujący na placu w dawnym porcie niewolniczym, wylawialiśmy więc w sieciach słonie, zatopionych kłownów, żyrafy wyniesione na trapezy furia burzy, która cudem nie wywróciła statku wiozącego banany, na jakim przyplłynął parę godzin później młody poeta Felix Ruben Garcia Sarmiento, sławny później jako Ruben Dano, na szczęście morze o czwartej uspokoiło się, obmyte powietrze zapełniło się latającymi mrówkami, a on stanął w oknie sypialni i zobaczył biały stateczek pod osłoną portowych wzgórz, przechylony na prawą burzę, z połamanymi masztami, płynący bezpiecznie w spokoju popołudnia oczyszczonego siarką burzy, zobaczył na mostku kapitana kierującego trudnym manewrem na cześć znamienitego pasażera w kaftanie z ciemnego sukna i w kamizelce, o którym nic nie słyszał aż do nocy następnej niedzieli, gdy Letycja Nazareno poprosiła go o niepojętą uprzejmość towarzyszenia jej na wieczorze poetyckim w Teatrze Narodowym, a on, bez mrugnięcia okiem, przystał, zgoda. Czekaliśmy trzy godziny w parnej atmosferze parteru, dusząc się w galowych strojach, które w ostatniej chwili kazano nam włożyć, gdy wreszcie odegrano hymn narodowy i klaszcząc, odwróciliśmy się ku łożu ozdobionej godłem państwowym, gdzie ukazała się zażywna nowicjuszka pod ciężarem kapelusza z ufryzowanych piór i kit nocnych lisów na sukni z tafty, usiadła bez pozdrowienia przy infancie w wieczorowym mundurze, który odpowiedział na oklaski kiścią pustej atlasowej

rękawiczki ściśniętej w dłoni, tak, jak według słów matki, robili książęta z innej epoki, nie zobaczyliśmy nikogo więcej w prezydenckiej łoży, ale w ciągu dwóch godzin recitalu wytrwaliśmy w pewności, że on tam jest, czuliśmy niewidzialną obecność czuwającą nad naszym losem, by go nie zmaćcił zamęt poezji, on regulował miłość, decydował o sile i dacie śmierci w kącie mrocznej łoży, skąd, nie będąc widzianym, widział ociężałego minotaura, który swym głosem marynarza na wachcie wyrwał go z jego miejsca i z jego chwili i tak zostawił unoszącego się wbrew własnej woli na powierzchni złotego grzmotu klarownych klarnetów, triumfalnych łuków Marsów i Minerw chwały, niebędącej jego chwałą, panie generale, widział bohater-skich atletów chorągwi czarne drapieżne brylanty mocne wojenne konie o żelaznych kopytach piki i lance paladynów z napastliwymi pióropuszcami, którzy zdobyli dziwną chorągiew ku chwale wojsk, co nie były jego wojskami, widział oddział okrutnych młodzieńców, którzy stawili czoło słońcom czerwonego lata śniegom i wiatrom lodowatej zimy nocy i szronom i nienawiści i śmierci ku wiecznej świetności nieśmiertelnej ojczyzny o wiele większej i okrytej większą chwałą niż te, o których śnił w długich majakach swych gorączek bosego wojownika, pocił się biedny i maleńki w sejsmicznym huku oklasków, na które przystał w cieniu, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, to rozumiem, to jest parada, a nie te zasrane wygłupy, jakie mi tutaj organizują, czując się skarłowaciały i samotny, nękanym sennością i komarami i kolumnami o złotych tynkach i spłowiałym aksamitem łoży honorowej, o kurwa, jak to możliwe, żeby ten Indianin mógł pisać coś tak pięknego tą samą ręką, którą podciera sobie dupę, myślał, tak podniecony odkryciem napisanego piękna, że powłóczył swymi wielkimi stopami schwytanego

197

słonia w takt wojskowych uderzeń doboszów, zasypiał w rytm głosów chwały dźwięcznych strof płomiennego chóru, które Letycja Nazareno recytowała dla niego w cieniu łuków triumfalnych ceiby na dziedzińcu, pisał wiersze na ścianach ubikacji, próbował wyrecytować z pamięci cały poemat na ciepłym olimpie krowiego łajna w oborach, gdy zadrżała ziemia od ładunku dynamitu, który przed czasem wybuchł w kufrze prezydenckiego' samochodu stojącego w powozowni, to było straszne, panie generale, eksplozja tak silna, że w wiele miesięcy później natykaliśmy się jeszcze po całym mieście na powyginane części pancernego samochodu, którym Letycja Nazareno i dziecko mieli wyjechać godzinę później po zakupy na środowym targu, gdyż był to zamach na nią, panie generale, bez najmniejszej wątpliwości, i wtedy

uderzył się w czoło, o kurwa, jak to możliwe, że tego nie przewidział, co się stało z jego legendarną przenikliwością, skoro już od tyłu miesięcy napisy w klozetach nie były kierowane przeciwko niemu, jak zwykle, czy przeciwko jednemu z jego cywilnych ministrów, lecz przeciw zuchwałości rodziny Nazareno, która doszła już do tego, iż zaczęła podgryzać synekury zarezerwowane dla naczelnego dowództwa, lub przeciw ambicjom ludzi Kościoła obdarzanych przez władzę doczesną nieumiarkowanymi i wieczystymi łaskami, zauważył, że niewinne diatryby przeciwko jego matce, Bendición Alvarado, przemieniły się w papuzie przekleństwa, paszkwile skrywanych lęków, które dojrzewały w ciepłej bezkarności ubikacji, by w końcu wyjść na ulice, tak jak zdarzało się to tyle razy przy innych, drobnych skandalach, które sam starał się wywołać, choć nigdy mu nie przyszło na myśl i nigdy by mu przez myśl nie przeszło, by mogli być tak okrutni i podłożyć dwa kwintale dynamitu w obrębie prywatnej

198

rezydencji, bandziory, jak to możliwe, by tak pochłoneła go ekstaza triumfalnych brązów, iż jego nieomylny węch jaguara ludojada w porę nie rozpoznał starego i słodkiego zapachu niebezpieczeństwa, niech to diabli, natychmiast zwołał naczelne dowództwo, czternastu drżących oficerów, którzyśmy, po tylu latach otrzymywania poleceń zwykłą drogą służbową i rozkazów z drugiej ręki, znów widzieli z odległości dwóch łokci niepewnego starca, którego rzeczywiste istnienie było najprostszą z jego tajemnic, przyjął nas, siedząc na tronowym krześle w sali audiencyjnej, w mundurze szeregowca, śmierdzącym szczynami skunksa, i w bardzo wytwornych binoklach z czystego złota, których nie znaleźliśmy nawet z jego najnowszych portretów, i był starszy i bardziej daleki, niż ktokolwiek byłby w stanie sobie wyobrazić, jeśli nie liczyć szczupłych, pozbawionych atlasowych rękawiczek dłoni, wyglądających nie jak jego naturalne ręce wojskowego, lecz jak dłonie kogoś o wiele młodszego i bardziej wyrozumiałego, wszystko poza tym było w nim spoiste i posępne i im bardziej go rozpoznawaliśmy, tym bardziej było dla nas oczywiste, że zostało mu zaledwie ostatnie tchnienie życia, było to jednak tchnienie niepodważalnej i niszczycielskiej władzy, którą on sam z wielkim trudem trzymał w ryzach niczym konia dzikiego jak żywe srebro, nic nie mówiąc, nie poruszywszy nawet głową, gdy oddawaliśmy mu honory należne generałowi i najwyższemu dowódcy, i dopiero kiedy skończyliśmy zajmować miejsca na wprost niego w ustawionych kółkach fotelach, zdjął binokle i zaczął mierzyć nas tymi przenikliwymi oczyma, które znały łasicze nory naszych skrytych zamiarów, zmierzył ich oczyma bez litości, jednego po drugim, wykorzystując cały czas potrzebny mu do precyzyjnego ustalenia, jak dalece zmienił się każdy z nas od tamtego

199

popołudnia w oparach pamięci, gdy awansował ich do najwyższych stopni, wskazując palcem tak, jak dyktowały mu podszepty natchnienia, i w miarę przyglądania się im czuł narastającą pewność, że między tymi czternastoma skrytymi wrogami znajdują się sprawcy zamachu, lecz zarazem poczuł się wobec nich tak osamotniony i bezbronny, iż zaledwie mrugnął powiekami, zaledwie uniósł głowę, by wezwać ich do jedności, większej obecnie niż kiedykolwiek, dla dobra ojczyzny i honoru sił zbrojnych, zalecił im energiczne działanie i ostrożność i powierzył zaszczytną misję bezwzględnego wykrycia sprawców zamachu, by poddać ich wyważonym restrykcjom wojskowej sprawiedliwości, to wszystko, panowie, zakończył, wiedząc z całą pewnością, że sprawcą był jeden z nich lub nawet wszyscy, śmiertelnie raniony nieprzepartym wrażliwym, że życie Letycji Nazareno zależy teraz nie od woli Boga, lecz od rozważy, z jaką zdoła ocalić ją od groźby, która wcześniej czy później spełni się nieuchronnie, a niech to diabli. Zmusił ją, by poniechała publicznych wystąpień, zmusił jej najzachłanniejszych krewnych do rezygnacji z wielu przywilejów, które mogłyby wywołać konflikt z siłami zbrojnymi, rozważniejszych mianował konsułami, dając im wolną rękę, a najbardziej zatwardziałychnych znajdowaliśmy unoszących się w bagnistej mazi targowych ścieków, po tylu latach pojawił się bez zapowiedzi w swym pustym fotelu Rady Ministrów, zdecydowany ograniczyć ingerencję kleru w sprawy państwa, by uchronić cię przed twymi wrogami, Letycjo, mimo to po pierwszych drastycznych decyzjach ponownie zapuścił głębokie sondy w naczelnym dowództwie i przekonał się, że siedmiu oficerów jest mu oddanych bez reszty, nie licząc generała, szefa sztabu dowództwa, będącego najstarszym z jego przyjaciół, ale nie miał jeszcze dostatecz-

nej władzy, by zwrócić się przeciw pozostałym sześciu zagadkom, które nękały go po nocach nieuniknionym wrażliwym, że Letycja Nazareno jest już naznaczona piętnem śmierci, jej życie wyslizgiwało mu się z rąk mimo surowych środków ostrożności, jakie kazał stosować przy badaniu jej jedzenia, od czasu gdy znaleźli rybią ość w bułce, sprawdzali czystość powietrza, którym oddychała, obawiał się bowiem, iż mogą naładować trucizną rozpylacz do środków owadobójczych, widział ją przy stole bladą, słyszał, jak zamiera jej głos w połowie rozkoszy miłosnych, wytrącała go z równowagi myśl, iż mogą wlać jej zarazki żółtej febry do wody pitnej, witról do kropli, owe wymyślne inwencje śmierci, które zatruwały mu każdą chwilę tych dni i budziły go o północy przejmującym koszmarem, że Letycja Nazareno od rzucenego na nią indiańskiego uroku wykrwawiła się podczas snu, półprzytomny od tylu urojonych niebezpieczeństw

i prawdziwych gróźb, nakazywał jej wychodzić na ulicę tylko pod eskortą gwardii prezydenckiej, zabijającej pod byle pretekstem, ale wychodziła, panie generale, brała z sobą dziecko, on tłumił złe przeczucia, gdy patrzył, jak wsiadają do nowego, opancerzonego samochodu, żegnał ich z wewnętrznego balkonu znakami odczyniającymi uroki i błagał, matko moja, Bendición Alvarado, miej ich w opiece, spraw, by kule odbiły się od jej stanika, uśmierz opium, matko, wyprostuj zwichnięte myśli, i nie zaznał chwili spokoju, póki nie dotarły do niego syreny eskorty z placu Broni i póki nie dostrzegł Letycji Nazareno z dzieckiem, idących przez dziedziniec w pierwszych światłach latarni morskiej, ona wracała podniecona, szczęśliwa pośród strzegących ją wojowników objuczonych żywymi indykami, orchideami z Emagado, pękami kolorowych lampek na noc Bożego Narodzenia, które z jego

201

rozkazu już ogłaszano na ulicy napisami świetlistych gwiazd, by skryć jego zgryzotę, witał ją na schodach, by poczuć cię jeszcze żywą w stęchliźnie naftaliny twych ogonów niebieskich lisów, w kwaśnym pocie twoich kosmetyków inwalidki, pomagał ci wносить prezenty do sypialni z dziwną pewnością, że wyjada ostatnie okruchy skazanej radości, której wolałby nie poznać, tym bardziej zrozpaczony, im bardziej przekonywał się, że każdy sposób, którego się chwycił, aby uśmierzyć ów niepokój nie do wytrzymania, każdy jego krok, który odsunąłby od niej niebezpieczeństwo, bezlitośnie przybliżał go do straszliwej środy mojego nieszczęścia, kiedy podjął przerażającą decyzję, że dosyć, kurwa, co ma się stać, niech się stanie, byle szybko, postanowił, i było to niczym piorunujący rozkaz, którego nie zdążył jeszcze wydać, a już do gabinetu wpadło dwóch adiutantów ze straszną wiadomością, że Letycję Nazareno i dziecko rozszarpały i pożarły dzikie psy na targu miejskim, żywcem ich pożarły, panie generale, ale to nie były te same psy uliczne co zawsze, tylko myśliwskie bestie o żółtych, błędnych ślepiach i sierści gładkiej jak skóra rekina, ktoś je poszczuł na niebieskie lisy, sześćdziesiąt takich samych psów, nikt nie zauważył, jak wyskoczyły spo między kramów z warzywami i rzuciły się na Letycję Nazareno i dziecko, nim zdążyliśmy zareagować, a później baliśmy się strzelać, żeby tamtych nie zabić, bo wyglądało to tak, jakby stopili się razem z psami w piekielnym wirze, widzieliśmy tylko pojawiające się na moment kłęby ulotnych rąk wyciągniętych ku nam, podczas gdy reszta ciała zniknęła po kawałku, widzieliśmy przemijający i nieuchwytny wyraz twarzy, który czasem był wyrazem przerażenia, czasem żalu, czasem radości, póki nie pograżyli się w wirze bijatyki i na powierzchni

202

pozostał tylko kapelusze Letycji Nazareno z filcowymi fiołkami, wobec obojętnego przerażenia totemicznych straganiarek, zbryzganych ciepłą krwią, które modliły się, mój Boże, to niemożliwe, żeby generał tego nie chciał albo przynajmniej o tym nie wiedział, ku wiecznej hańbie gwardii prezydenckiej, co, nie oddawszy ani jednego strzału, zdołała jedynie odzyskać kości rozrzucone między skrwawionymi jarzynami, nic więcej, panie generale, znaleźliśmy tylko te ordery chłopca, szablę bez chwastów, safianowe buciki Letycji Nazareno, o których nikt nie ma pojęcia, dlaczego pojawiły się na powierzchni zatoki, chyba o milę od targowiska, naszyjnik z kolorowych paciorków, portmonetkę z metalowej plecionki, które oto przekazujemy w pańskie ręce, panie generale, razem z tymi trzema kluczami, obrączką ślubną ze szerniałego złota i tymi pięćdziesięcioma centawów w monetach po dziesięć, które położyli na biurku, by przeliczył je, i nic więcej, panie generale, to wszystko, co po nich zostało. Byłoby mu wszystko jedno, czy zostało więcej, czy zostało mniej, gdyby wówczas wiedział, iż nie będzie potrzebował zbyt wielu i zbyt trudnych lat, by całkowicie wykorzenić ostatnie resztki wspomnienia tej nieuniknionej środy, rozplakał się ze złości, obudził się, krzycząc ze złości, zadręczony całonocnym szczekaniem psów przykutych do łańcuchów na dziedzińcu, dopóki nie zdecydował, co mamy z nimi zrobić, panie generale, oszołomiony pytając siebie, czy zabicie psów nie byłoby ponownym morderstwem w ich wnętrznościach Letycji Nazareno i dziecka, rozkazał zburzyć żelazną kopułę targu warzywnego i założyć na tym miejscu ogród magnolii i przepiórek i postawić marmurowy krzyż, ze światłem wyższym i mocniejszym niż światło latarni morskiej, by uwiecznić w pamięci

203

przyszłych pokoleń, na wieki wieków, wspomnienie o historycznej kobiecie, o której sam zapomniał na długo przed zrujnowaniem pomnika przez nocną eksplozję, do czego nikt się nie przyznał, i przed zżarciem magnolii przez świnię, i przeistoczeniem się ogrodu pamięci w gnojowisko cuchnącego błota, którego nigdy nie zobaczył, nie tylko dlatego, że rozkazał prezydenckiemu szoferowi, aby unikał przejazdu obok dawnego targu warzywnego, choćbyś musiał cały świat okrążyć, ale dlatego, że nie wyszedł już na ulicę, odkąd przeniósł urzędy do ministerialnych gmachów o lustrzanych szybach i został sam z minimum personelu, w zaniedbanym domu, gdzie z jego rozkazu nie pozostało wówczas żadnego, bodaj ledwie dostrzegalnego śladu twoich królewskich starań, Letycjo, błąkał się po pustym domu, nie mając innych zajęć prócz ewentualnych narad z wyższymi dowódcami lub podejmowania ostatecznej decyzji na trudnym posiedzeniu

Rady Ministrów, lub szkodliwych wizyt ambasadora Wilsona, który zwykł mu asystować pod liśćmi ceiby aż do późnego popołudnia, przynosił mu cukierki z Baltimore i pisma ze zdjęciami nagich kobiet, usiłując namówić go, by oddał wody terytorialne w zamian za nadzwyczajną usługę w postaci zagranicznej pożyczki, a on pozwalał tamtemu gadać, udawał, że słyszy mniej lub słyszy więcej niż w rzeczywistości, zależnie od tego, co mu bardziej odpowiadało, bronił się przed jego gadaniną, słuchając chóru karuzela czeka woła nas z daleka, dobiegającego z pobliskiej szkoły żeńskiej, odprowadzał go aż do schodów w zapadającym mroku, próbował wytłumaczyć mu, że może zabrać sobie wszystko, co tylko zechce, oprócz morza z moich okien, proszę sobie wyobrazić, co robiłbym sam w tak wielkim domu, gdybym nie mógł go teraz widzieć, jak zawsze o tej godzinie płonących bagien,

204

co robiłbym bez grudniowych wiatrów, które, jazgocząc, wpadają przez rozbite szyby, jak mógłbym żyć bez zielonych błyskawic latarni morskiej, ja, który opuściłem mój płaskowyż mgieł i śmiertelnie chory na febrę wplątałem się w rozgardiasz wojny federalnej, i niech pan nie myśli, że zrobiłem to z patriotyzmu, jak mówi encyklopedia, czy żądny przygód, czy coś w tym rodzaju, bo głównie mnie obchodziły federalistyczne zasady, które niech Bóg ma w opiece w swym świętym królestwie, nie, mój kochany Wilsonie, zrobiłem to wszystko po to, by poznać morze, niech więc pan wymyśli jakąś inną duperele, mówił, żegnał go na schodach, poklepując po plecach, wracał, zapalając lampy w bezludnych salach dawnych urzędów, gdzie jednego z tych popołudni napotkał zaśląkaną krowę, pognał ją ku schodom, zwierzę zaś potknęło się o łaty dywanów, straciło równowagę i upadło, i roztrzaskało się, spadając po schodach ku chwale i wsparciu trędowatych, którzy rzucili się ją ćwiartować, wrócili bowiem po śmierci Letycji Nazareno i znów, razem ze ślepcami i paralitykami, czekali na sól zdrowia z jego ręki pośród dzikich róż dziedzińca, słyszał ich, jak śpiewali w gwiazdziste noce, śpiewał z nimi piosenkę Zuzanno, przyjdź, Zuzanno, z jego czasów chwały, o piątej po południu wyglądał przez okienko strychu, by zobaczyć, jak dziewczynki wychodzą ze szkoły, i wpadał w ekstazę na widok niebieskich fartuszków, podkolanówek, war-koczy, matko, wystraszone uciekałyśmy od gruźliczych oczu widma wzywającego nas rozprutymi palcami szmacianej rękawiczki z żelaznych prętów, dziewczynko, dziewczynko, wołał nas, chodź, pomacam cię, widział je, jak uciekają przerażone, myślał, matko moja, Bendición Alvarado, jakie młode są teraz młode dziewczyny, śmiał się sam z siebie, ale znów godził się ze

205

sobą, gdy jego osobisty lekarz, minister zdrowia, badał mu siatkówkę oka za każdym razem, gdy przychodził na obiad, mierzył mu puls, chciał zmusić go do picia łyżkami cerezytu, by zatkać mi ryny pamięci, też pomysł, syrop, mnie, któremu w tym życiu nic się nie przytrafiło poza wojennymi febrami, a gównem, doktorze, został sam przy pustym stole, odwrócony plecami do świata, tak jak, według słów uczonego ambasadora Marylandu, jadali królowie Maroka, jadł nożem i widelcem, trzymając głowę prosto, zgodnie z surowymi regułami zapomnianej nauczycielki, biegał po całym domu, szukając słoików miodu, które ukrył parę godzin przedtem, lecz o tym zapomniał, i przez pomyłkę odnajdywał zwitki marginesów od akt, zapisywanych przez niego w innej epoce, by o niczym nie zapomnieć, kiedy już o niczym nie będzie pamiętać, przeczytał na jednym, że jutro jest wtorek, przeczytał, że na twojej białej chusteczce była czerwona cyfra imienia niebędącego twoim, panie mój, zaintrygowany przeczytał, Letycjo Nazareno, duszo mej duszy, zobacz, co się ze mną stało bez ciebie, czytał wszędzie Letycja Nazareno, nie mogąc zrozumieć, że ktoś mógł być aż tak nieszczęśliwy, iż pozostawił taką smugę napisanych westchnień, a przecież to jest moje pismo, jedyna leworęczna kaligrafia spotykana wtedy na ścianach klozetów, gdzie pisał ku pokrzepieniu, niech żyje generał, kurwa, gruntownie wyleczony z wściekłości wywołanej tym, iż okazał się najslabszym z wojskowych obrońców lądu, morza i powietrza, uciekając w odosobnienie, gdzie pozostawało jedynie imię zapisane ołówkiem na zwitkach papieru, tak jak sam postanowił, gdy nie chciał nawet dotknąć rzeczy, które adiutanci złożyli na biurku, i, nie spojrzawszy na nie, rozkazał, żeby zabrali te pantofle, te klucze, wszystko, co mogłoby wywołać wspomnienia o jego zmarłych,

206

żeby złożyli wszystko, co do nich należało, w sypialni jego szalonych sjest i zabili tam drzwi i okna, dodając kategorię rozkazu, by nie wchodzić do tego pokoju nawet z mojego rozkazu, kurwa, przeżył nocny dreszcz wywołany wyciem przerażenia psów przykutych do łańcuchów na dziedzińcu przez wiele miesięcy, myślał bowiem, że wszelki ból im zadany mógłby zaboć jego zmarłych, tkwił zaniedbany bezmyślnie w hamaku, dygocąc z wściekłości, że wie, kim są mordercy jego krwi, że musi poniżyć się do oglądania ich w swym własnym domu, w tej chwili nie dysponował bowiem dostateczną władzą przeciwko nim, sprzeciwił się oddawaniu jakichkolwiek pośmiertnych honorów, zabronił składania wizyt kondolencyjnych, żałoby, czekał na swoją godzinę, kołysząc się z wściekłości w hamaku w cieniu opiekuńczej ceiby, gdzie mój ostatni przyjaciel przekazał mu wyrazy dumy najwyższego dowództwa ze spokoju i porządku, z jakim naród

zniósł tragedię, a on zaledwie uśmiechnął się, nie bądźże głupim kutasem, kumie, jaki tam spokój czy porządek, po prostu ludzi gównu to nieszczęście obeszło, przeglądał gazetę z lewa na prawo i z prawa na lewo, szukając czegoś więcej niż zmyślonych przez jego własne agencje prasowe wiadomości, kazał sobie postawić radio w zasięgu ręki, by wysłuchać tej samej wiadomości biegnącej od Veracruz po Riobamba, że siły porządkowe są już na tropie sprawców zamachu, a on mruczał, jakże by inaczej, psubraty, że zidentyfikowano ich bez cienia wątpliwości, jakże by inaczej, że są osaczeni ogniem moździerzy w podmiejskim burdelu, otóż to, westchnął, biedaczyska, ale pozostał w hamaku, nie ujawniając najmniejszego błysku swojej złośliwości, błagając, matko moja, Bendición Alvarado, dodaj mi sił do zemsty, nie puszczaj mojej ręki, natchnij mnie, tak pewny skuteczności modlitwy, że zobaczyliśmy,

207
iż już przewyciężył ból, gdy dowódcy Sztabu Głównego, odpowiedzialni za porządek publiczny i bezpieczeństwo państwa, przyszliśmy zakomunikować mu, że trzech sprawców zbrodni zginęło w walce z siłami porządkowymi, a pozostałych dwóch jest do dyspozycji pana generała w celach bazy San Jerónimo, a on powiedział aha, siedząc w hamaku z dzbankiem soku owocowego, z którego nalał każdemu z nas po szklance pewną ręką dobrego strzelca, bardziej niż kiedykolwiek przezorny i zapobiegliwy, do tego stopnia, że odgadł moją gwałtowną chęć zapalenia papierosa i dał mi zezwolenie, którego do tej pory nie przyznał żadnemu z wojskowych na służbie, pod tym drzewem wszyscy jesteśmy równi, powiedział i wysłuchał bez urazy szczegółowego raportu o zbrodni na targowisku, jak zostały przewiezione ze Szkocji w oddzielnych przesyłkach osiemdziesiąt dwa psy myśliwskie, dopiero co urodzone, z których dwadzieścia dwa zdechły w trakcie hodowli, a sześćdziesiąt zostało podle zaprawionych do mordu przez tresera szkockiego, który zaszczepił im zbrodniczą nienawiść nie tylko do niebieskich lisów, ale i do samej osoby Letycji Nazareno i dziecka, posługując się ubraniami, które podkradali stopniowo z pralni cywilnej rezydencji, posługując się tym stanikiem Letycji Nazareno, tą chusteczką, tymi pończochami, tym kompletnym mundurem chłopca, które złożyliśmy przed nim, by je rozpoznał, ale powiedział tylko aha, nie patrząc na nie, wytłumaczyliśmy mu, jak sześćdziesiąt psów zostało wytresowanych nawet tak, by nie czekały wtedy, kiedy nie powinny, przyzwyczajono je do smaku ludzkiego mięsa, trzymano je w zamknięciu bez żadnego kontaktu ze światem przez trudne lata nauki na dawnej fermie Chińczyków, siedem mil od tego miasta słonecznego, gdzie trzymano ludzkich rozmiarów manekiny w ubra-

208
niach Letycji Nazareno i dziecka, poza tym psy znalazły ich

z oryginalnych portretów i z wycinków prasowych, które pokazaliśmy mu wklejone do albumu, żeby pan generał mógł lepiej ocenić perfekcję pracy wykonanej przez tych skurwieli, trzeba uczciwie przyznać, ale on powiedział tylko aha, nie patrząc na nic, wytłumaczyliśmy mu na koniec, że spiskowcy nie działali samowolnie, oczywiście, lecz byli agentami wywrotowego stowarzyszenia mającego swą bazę za granicą, którego symbolem jest to gęsie pióro skrzyżowane z nożem, aha, wszyscy poszukiwani przez wojskowe prawo karne za wcześniejsze wykroczenia przeciw bezpieczeństwu państwa, ci trzej zabici, których zdjęcia prezentujemy w albumie z odpowiednim numerem rejestru policyjnego zawieszonym na szyi, i ci dwaj, żywi, uwięzieni w oczekiwaniu na ostateczną i nieodwołalną decyzję pana generała, bracia Mauricio i Gumaro Ponce de Leon, 28 i 23 lata, pierwszy to dezerterski z sił lądowych, nigdzie niepracujący i o nieznanym miejscu zamieszkania, drugi zaś nauczyciel ceramiki w szkole sztuk pięknych i rzemiosł, i wobec obu psy okazały takie dowody zażyłości i rozradowania, że starczyłoby to za dowód winy, panie generale, a on tylko powiedział aha, ale uhonorował w rozkazie dziennym trzech oficerów, którzy doprowadzili do końca śledztwo w sprawie zbrodni, i odznaczył ich medalem za zasługi wojskowe wobec ojczyzny podczas uroczystej ceremonii, kiedy ustanowił doraźny sąd wojskowy do osądzenia braci Mauricia i Gumara Ponce de Leon, i skazano ich na śmierć przez rozstrzelanie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, o ile nie obejmie ich dobrodziejstwo łaski pana generała, jak pan rozkaże. Przeleżał pochłonięty myślami i sam w hamaku, nieczuły na prośby o łaskę z całego świata, wysłuchał przez radio jałowej debaty w Lidze Narodów, wysłuchał

209
zniewag sąsiednich krajów i kilku odległych wyrazów poparcia, wysłuchał z tą samą uwagą nieśmiałych racji ministrów, zwolenników miłosierdzia i przenikliwych argumentów zwolenników kary, odmówił przyjęcia nuncjusza papieskiego z osobistym orędziem Ojca Świętego, w którym papież wyraża swój pasterski niepokój o los dwóch zbłąkanych owieczek, wysłuchał raportów dotyczących porządku publicznego z całego kraju wzburzonego jego milczeniem, usłyszał dalekie strzały, poczuł drżenie ziemi od nieuzasadnionej eksplozji okrętu wojennego zakotwiczonego w zatoce, jedenastu zabitych, panie generale, osiemdziesięciu dwóch rannych, a okręt do kasacji, zgoda, powiedział, przyglądając się z okna sypialni nocnemu ognisku w basenie portowym, podczas gdy dwóch skazanych na śmierć zaczynało spędzać swą ostatnią noc w cmentarnej kaplicy bazy San Jerónimo, o tej samej godzinie wspomnieli ich takimi, jakich zobaczył na zdjęciach, ze zjeżonymi brwiami po wspólnej matce, wspomnieli ich drżących, samych, ze zwisającymi u szyi tabliczkami kolejnych cyfr pod zawsze palącą się lampą celi śmierci, czuł, że jest przez nich wspomniany, poczuł się

nieodzowny, wzywany, ale nie uczynił najmniejszego gestu, który pozwoliłby przejrzeć zamysł jego woli, gdy skończył powtarzanie zrutynizowanych czynności kolejnego dnia pracy w swym życiu i pożegnał się z dyżurnym oficerem, który miał tkwić na baczność pod drzwiami sypialni, by przekazać jego decyzję o każdej godzinie, w której by ją podjął przed pierwszymi kurami, pożegnał się, przechodząc obok, nie spojrzawszy na niego, dobranoc, kapitanie, powiesił lampę nad drzwiami, zasunął trzy sztaby, trzy rygle, trzy zasuwę, zanurzył się w czujny sen, przez którego cienkie ściany nadal słyszał trwożne ujadanie psów na dziedzińcu, syreny karetek, petardy,

210

podmuchy muzyki z jakiejś podejrzaney zabawy w napiętej nocy zatrwożonego surowością wyroku miasta, obudził się z katedralnymi dzwonami o dwunastej, obudził się znowu o drugiej, znów się obudził przed trzecią z biciem mżawki o druciane siatki w oknach, i wtedy dźwignął się z podłogi owymi ciężkimi i mozolnymi ruchami wołu, wpierw grzbiet, potem przednie nogi, a na koniec ociężała głowa z niteczką śliny na wargach, i rozkazał oficerowi na straży, by, po pierwsze, wzięli te psy gdzieś, gdzie nie będą już ich słyszał, zapewniając im rządową opiekę, dopóki ostatecznie nie zdechną, po drugie, rozkazał bezwarunkowo uwolnić żołnierzy z eskorty Letycji Nazareno i dziecka, i na koniec rozkazał, by bracia Mauricio i Gumaro Ponce de Leon zostali straceni natychmiast, gdy tylko stanie się znana ta moja najwyższa i nieodwołalna decyzja, ale nie pod ścianą śmierci, jak było ustalone, ale by wymierzono im zapomnianą karę rozszarpania przez konie, a ich resztki zostały wystawione ku publicznemu oburzeniu i trwodze w najwidoczniejszych miejscach jego bezmiernego królestwa zgryzoty, biedni chłopcy, podczas gdy on powłóczył swymi wielkimi nogami śmiertelnie rannego słonia, błagając z wściekłości, matko moja, Bendición Alvarado, nie porzucaj mnie, nie puszczaj mojej ręki, pozwól mi spotkać człowieka, który pomoże mi pomścić tę krew niewinną, męża opatrnościowego, którego wyobrazil sobie w malignie strachu i którego szukał z nieustępliwą zachłannością w głębi napotykanym po drodze oczu, próbował wysledzić go przycupniętego w najsubtelniejszych rejestrach głosów, w impulsach serca, w najmniej zużytych szczelinach pamięci, i stracił nadzieję odnalezienia go, gdy odkrył w sobie fascynację najdumniejszym i najbardziej olśniewającym człowiekiem, jakiego widziały moje oczy, matko, ubranego jak dawni

211

konserwatyści, w marynarce Henry'ego Poola, z gardenią w butonierce, w spodniach Pecover i w brokatowej kamizelce połyskującej srebrem, olśniewającego swą wrodzoną elegancją najbardziej wymagające salony Europy, prowadzącego na smyczy melancholijnego dobermana

wielkości cielaka o ludzkich oczach, Jose Ignacio Saenz de la Barra, do usług jego ekscelencji, przedstawił się, ostatni i jedyny potomek naszej arystokracji wytrzebionej przez niszczycielski wichur federalnych wodzów, zmiecionej z powierzchni ziemi wraz ze swymi jałowymi snami o potędze, rozległymi i melancholijnymi rezydencjami i swym francuskim akcentem, wspaniałe epigon rasy, za całe bogactwo mający swoje trzydzieści dwa lata, znajomość siedmiu języków, cztery rekordy strzeleckie w Deauville, mocny, smukły, o skórze koloru żelaza, ciemnych włosach z przedziałką pośrodku i z farbowanym na białe kosmykiem, o mocno zarysowanych ustach silnej woli i śmiałym wzrokiem męża opatrnościowego, który udawał, że gra w krokieta laską z czereśniowego drewna, by zrobiono mu kolorowe zdjęcie na tle sielankowych wiosen gobelinów sali bankietowej, i w chwili gdy zobaczył go, wydał westchnienie ulgi, i powiedział sobie, to ten, i to był ten. Ofiarował mu swe służby na prostych warunkach, że odda pan do mojej dyspozycji budżet w wysokości ośmiuset pięćdziesięciu milionów bez obowiązku rozliczania się przed kimkolwiek i bez podporządkowywania się czyjejkolwiek władzy prócz władzy jego ekscelencji, ja zaś złożę w pana ręce w ciągu dwóch lat głowy prawdziwych morderców Letycji Nazareno i dziecka, i on przystał, zgoda, całkowicie przekonany o jego lojalności i sprawności po wielu trudnych próbach, którym go poddał, by wybadać meandry jego odwagi, poznać granice jego woli i pęknięcia jego charakteru, nim po-

212

stanowił przekazać w jego ręce klucze władzy, poddał go ostatniej próbie bezlitosnych partii domina, w których Jose Ignacio Saenz de la Barra narzucił sobie zuchwałość zwycięstwa bez uprzedniego przyzwolenia, i wygrał, bo był najodważniejszym człowiekiem, jakiego widziały moje oczy, matko, miał bezbrzeżną cierpliwość, wiedział wszystko, znał sześćdziesiąt dwa sposoby przyrządzania kawy, rozpoznawał płę skorupiaków, umiał czytać muzykę, pismo dla niewidomych, długo patrzył wprost w moje oczy, nic nie mówiąc, a ja nie wiedziałem, co robić wobec tej niezniszczalnej twarzy, tych beczynnych dłoni wspartych na gałce laski z czereśniowego drewna, z kamieniem wód porannych na palcu serdecznym, z tym leżącym u jego nóg psiskiem, czujnym i drapieżnym w powłóce żywego aksamitu śpiącej sierści, wobec tego zapachu soli kąpielowych ciała odpornego na czułość i śmierć, najpiękniejszego i najbardziej opanowanego człowieka, jakiego widziały moje oczy, gdy odważył się powiedzieć mi, że byłem wojskowym wyłącznie dlatego, że tak wypadało, wojskowi są bowiem całkowitym pana przeciwieństwem, generale, są ludźmi o doraźnych i łatwych ambicjach, interesuje ich bardziej dowodzenie niż władza i nie służą czemuś, lecz komuś, i dlatego tak łatwo ich wykorzystać, powiedział, przede wszystkim jednych przeciwko drugim, i przyszło mi na myśl jedynie uśmiechnąć się w przekona-

niu, że nie mógłbym zataić myśli wobec tego zachwycającego człowieka, którego obdarzył władzą większą, niż ktokolwiek miał za jego rządów po moim kumie, generale Rodrigu de Aguilarze, niech Bóg ma go po swej świętej prawicy, uczynił go absolutnym władcą tajnego imperium wewnątrz swego własnego, prywatnego imperium, niewidzialnej służby przemocy i zagłady, która nie tylko nie posiadała oficjalnego statusu, ale trudno było nawet

213
 uwierzyć w jej rzeczywiste istnienie, gdyż nikt nie opowiadał za jej działalność, nie miała również nazwy ani swego miejsca na świecie, a jednak była przerażającą prawdą, która swym terrorem przewyższała inne państwowe organa przemocy o wiele wcześniej, nim jej nieuchwytny charakter i rodowód zostały niezbitnie ustalone przez najwyższe dowództwo, nawet pan nie przewidział zasięgu tej maszyny strachu, panie generale, nawet ja nie mogłem podejrzewać, że w chwili, gdy przystałem na tę umowę, byłem zdany na łaskę nieodpartego uroku i zachłanność macek tego ubranego niczym księżę barbarzyńcy, który przysłał mi do pałacu prezydenckiego jutowy worek jakby pełen kokosów, on zaś rozkazał, żeby postawiono go tam, gdzie nie będzie zawadzać, we wmurowanej w ścianę szafie z dokumentami archiwalnymi, zapomniał o nim, a po upływie trzech dni nie sposób było wytrzymać odoru ścierwa przenikającego ściany i pokrywającego śmierdzącą mgiełką powierzchnię luster, szukaliśmy fetoru w kuchni, a odnajdowaliśmy w oborach, zabijali go kadzidłami w urzędach, a wpadali nań w sali audiencyjnej, nasycił swymi fluidami zgniłej róży najmniejsze zakamarki, gdzie nie docierały nawet ukryte w innych zapachach najsłabsze choćby wyziewy świerzbu nocnych wiatrów morowego powietrza, by za to znaleźć go tam, gdzie wcale go nie szukaliśmy, w worku na pozór pełnym kokosów, który Jose Ignacio Saenz de la Barra przysłał jako pierwsze poświadczenie umowy, sześć ściętych głów, każda z odnośnym aktem zejścia, głowę ślepego patrycjusza z ery kamienia, don Nepomucena Estrady, lat 94, ostatniego weterana wielkiej wojny i założyciela partii radykałów, zmarłego, według załączonego aktu, 14 maja w wyniku starczej kolki, głowę doktora Nepomuceno Estrada de la Fuente, syna

214
 poprzedniego, lat 57, lekarza homeopaty, zmarłego, według załączonego aktu, w tym samym dniu, co jego ojciec w wyniku choroby naczyń wieńcowych, głowę Eliecera Castare, lat 21, studenta filologii, zmarłego, według załączonego aktu, w wyniku wielu ran zadanych białą bronią w karczemnej bójce, głowę Lidice Santiago, lat 32, aktywistki nielegalnych ugrupowań, zmarłej, według załączonego aktu, w wyniku sztucznego poronienia, głowę Roque Pinzón alias Jacinto Niewidzialny, lat 38,

wytwórcy kolorowych baloników, zmarłego tego samego dnia co poprzednia, w wyniku zatrucia alkoholem etylowym, głowę Natalicia Ruiza, sekretarza nielegalnego Ruchu 17 Października, lat 30, zmarłego, według założonego aktu, w wyniku oddania samobójczego strzału z pistoletu w usta z powodu miłosnych rozczarowań, łącznie sześć, i z odpowiednim potwierdzeniem odbioru, który podpisał ze skręconą od smrodu i przerażenia żółcią, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, to bestia nie człowiek, kto by przewidział po tych jego mistycznych minach i po tych kwiatach w butonierce, rozkazał mu, proszę mi nie przysyłać więcej suszonego mięsa, Nacho, wystarczy mi pańskie słowo, ale Saenz de la Barra odpowiedział mu, że to jest męski interes, generale, jeśli ma pan za słabe nerwy, by spojrzeć prawdzie w oczy, to proszę, oto pańskie złoto i pozostaję unizonym sługą, ładny gips, za uchybienia o wiele drobniejsze niż to kazałby rozstrzelać własną matkę, ale ugryzł się w język, no, nie ma się o co obrażać, Nacho, powiedział, proszę spełniać swój obowiązek, głowy nadal więc nadchodziły w tych ponurych jutowych workach jakby pełnych kokosów, a on rozkazywał ze skręcającymi się wnętrznościami, by wynoszono je daleko stąd, każąc sobie tymczasem przeczytać szczegóły z aktów zejścia, by

215
 podpisać poświadczenie odbioru, zgoda, pokwitował odbiór dziewięciuset osiemnastu głów swych najzagorzalszych przeciwników, nocami, gdy śniło mu się, że widzi siebie samego zamienionego w zwierzę o jednym tylko palcu, którego ślad zostawiał za sobą na równinie świeżo wylanego cementu, budził się pokryty rosą żółci, wymykał się porannemu lękowi, rachując głowy w gnojowisku kwaśnych wspomnień obór, tak zanurzony w swych rozmyślaniach starca biorącego bzyczenie uszu za odgłosy owadów w zgniłej trawie, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, jak to możliwe, że jest ich aż tylu, a wciąż nie nadchodzą głowy prawdziwych winowajców, ale Saenz de la Barra zwrócił mu uwagę, że każde sześć głów rodzi sześćdziesięciu wrogów, a każde sześćdziesiąt rodzi sześćciuset, a później sześć tysięcy, a później sześć milionów, cały kraj, kurwa, nigdy nie skończymy, a Saenz de la Barra odpowiedział mu obojętnie, proszę spać spokojnie, generale, skończymy, kiedy oni się skończą, a to bestia! Nigdy przez chwilę się nie zawahał, nigdy nie zostawił najmniejszej szparki możliwości jakiegoś wyboru, opierał się o skrytą siłę dobermana na wiecznej straży, który był jedynym świadkiem audiencji, mimo iż on usiłował do tego nie dopuścić od pierwszej chwili, gdy ujrzał nadchodzącego Jose Ignacia Saenza de la Barra z prowadzonym na smyczy zwierzęciem, o niespokojnych nerwach, ulegającym jedynie niedostrzegalnym rozkazom najwytworniejszego, ale jednocześnie najbardziej bezlitosnego człowieka, jakiego widziały moje oczy, proszę zostawić tego psa na zewnątrz, rozkazał mu, lecz Saenz de la Barra

odpowiedział, że nie, generale, nie ma takiego miejsca na świecie, do którego ja mógłbym wejść, a nie mógłby wejść Lord Kóchel, wszedł więc, spał u nóg swego pana, podczas gdy oni prowadzili swe rutyniarskie rozliczenia z ob-
216

ciętych głów, wstawał jednak, wiedziony instynktem, gdy rachunki przybierały twarde ton, jego kobiece spojrzenie nie dawało mi myśleć, od jego ludzkiego oddechu skóra mi cierpła, zobaczyłem, jak błyskawicznie gotuje się do skoku z dymiącym pyskiem, bulgocąc niczym kocioł, gdy z wściekłością uderzyłem stół, znalazłszy w worku głowę jednego ze swych dawnych adiutantów, będącego ponadto przez wiele lat jego partnerem do gry w domino, kurwa, tego już za wiele, ale Saenz de la Barra potrafił zawsze przekonać go nie tyle siłą argumentów, co słodką brutalnością pogromcy dzikich psów, a on wyrzucał sam sobie podporządkowanie się jednemu śmiertelnikowi, który odważył się go traktować jak wasala, buntował się w samotności przeciw jego imperium, postanawiał zrzucić z siebie tę służalczość, powoli wypełniającą przestrzeń jego władzy, koniec z tym cholerstwem, i to już, kurwa, mówił, bo Bendición Alvarado, było nie było, wydała mnie na świat nie po to, żebym otrzymywał rozkazy, tylko po to, żeby rządzić, ale jego nocne decyzje brały w łeb, gdy Saenz de la Barra wchodził do gabinetu, a on poddawał się oślepijącemu blaskowi jego subtelnych manier, naturalnej gardenii, czystemu głosowi, aromatycznym solom, szmaragdowym spinkom, woskowym dłońmiom, dostojnej lasce, poważnej urodzie mężczyzny najbardziej pociągającego i najnieznośniejszego, jakiego widziały moje oczy, no, nie ma się o co obrażać, Nacho, powtarzał mu, proszę spełniać swe obowiązki, i nadal otrzymywał worki głów, kwitował odbiór, nie patrząc na nie, pogrążał się bez ratunku w ruchomych piaskach swojej władzy, pytając się za każdym nadejściem każdego świtu każdego morza, co się dzieje na świecie, że już prawie jedenasta i ani jednej żywej duszy w tym cmentarnym domu, stój, kto idzie, pytał, tylko on, gdzie jestem, że nie mogę się
217

odnaleźć, mówił, gdzie są te tłumy bosych ordynansów, którzy w korytarzach wyładowywali z osłów warzywa i klatki z kurami, gdzie są kałuże brudnej wody moich pyskatek kobiet, wymieniających w wazonach nocne kwiaty na nowe i trzepiących dywany na tarasach, śpiewających w rytm trzepaczek z suchych gałęzi piosenkę Zuzanno, przyjdź, Zuzanno obdarz mnie miłością twą, gdzie są moje brudne wcześnieiki srające za drzwiami i malujące swymi szczykami wielbłądy na ścianach w sali audiencyjnej, co się stało z moimi awanturami funkcyjnariuszy znajdujących kwoki na jajach w szufladach biurka,

z moimi przetargami kurw i żołnierzy w ubikacjach, jazgotem moich ulicznych psów uganiających się za dyplomatami, kto mi znów zabrał moich paralityków ze schodów, moich trędowatych z rozarium, moich bezczelnych pochlebców ze wszystkich stron, ledwie dostrzegał swych ostatnich przyjaciół z najwyższego dowództwa spoza zwartego kordonu nowych ludzi, odpowiedzialnych za jego osobiste bezpieczeństwo, ledwie dopuszczali go do głosu na posiedzeniach rady nowych ministrów mianowanych na wniosek kogoś, kto nie był nim, sześciu uczonych doktorów w żałobnych surdutach i sztywnych kołnierzykach, którzy ubiegali jego zamysły i podejmowali decyzje w sprawach rządowych, nie konsultując się ze mną, jeśli, było nie było, rząd to ja, ale Saenz de la Barra tłumaczył mu niezłomnie, że pan nie jest rządem, generale, pan jest władzą, nudził się podczas nocnych seansów domina, nawet wówczas gdy za przeciwników miał najprzebieglejszych oficerów dyżurnych, nigdy bowiem nie mógł doprowadzić do przegrania choćby jednej partii, choćby zastawiał najwymyślniejsze pułapki na samego siebie, musiał podporządkować się wyznaczaniu degustatorów, którzy próbowali potraw godzinę wcześniej od

218

niego, nie mógł odnaleźć pszczelego miodu w swoich schowkach, kurwa, to nie jest ta władza, której chciałem, zaprotestowałem, a Saenz de la Barra odparł mi, że nie ma innej, generale, jest to jedyna możliwa władza w letargu śmierci tego, co w innych czasach było jego rajem niedzielnego jarmarku i kiedy nie miał nic innego do roboty prócz czekania na wybicie czwartej, by wysłuchać w radio kolejnego odcinka słuchowiska o jałowych miłościach, nadawanego przez lokalną rozgłośnie, słuchał go w hamaku ze szklanką nietkniętego soku owocowego w dłoni, unoszony następnie przez falę pustki dalszego ciągu, z oczami pełnymi łez, które powodowała niecierpliwość, by dowiedzieć się, czy ma umrzeć ta dziewczynka, taka młoda, a Saenz de la Barra dowiadywał się, że tak, generale, dziewczynka umiera, więc niech nie umiera, kurwa, rozkazał, niech żyje do samego końca i niech wyjdzie za męża, i niech ma dzieci, i niech się zestarzeje jak wszyscy ludzie, i Saenz de la Barra kazał poprawić scenariusz, by zadowolić go złudzeniem, że rządzi, nikt już zatem nie umierał z jego rozkazu, doprowadzano do małżeństwa narzeczonych, którzy się nie kochali, przywracano życie osobom pogrzebanym w poprzednich odcinkach i likwidowano przedwcześnie czarne charaktery, by zadowolić pana generała, wszyscy ludzie byli szczęśliwi z jego rozkazu, żeby życie wydawało mu się mniej bezsensowne, gdy zaczynał z metalicznym wybiciem ósmej obchodzić dom i odkrywał, że ktoś już przed nim zadał paszy krowom, że zgasły światła w koszarach gwardii prezydenckiej, że personel śpi, w kuchniach panuje porządek, posa-

dzki są czyste, znad stołów jatek tak wyszorowanych kreoliną, iż nie pozostawał na nich ani jeden ślad krwi, unosi się szpitalny zapach, ktoś zatrzaskał okna, założył klódki na drzwiach urzędów, mimo że to on, i tylko on

219

miał pęk kluczy od pierwszego westybulu aż po jego sypialnie, światła gasły kolejno, zanim dotknął wyłączników, szedł w ciemnościach przez mroczne zwierciadła, powłócząc swymi ciężkimi stopami uwięzionego monarchy, z aksamitnym futerałem ukrywającym jedyną ostrogę, by nikt nie mógł podążyć za smugą złotych trocin, przechodząc, widział to samo morze przez okna, Karaiby w styczniu, przyjrzał mu się, nie zatrzymując się, dwadzieścia trzy razy i było zawsze takie jak zawsze w styczniu, jak ukwiecone bagno, zajrzał do pokoju Bendición Alvarado, by sprawdzić, czy jeszcze są na swoim miejscu wspomnienia po melisie, klatki martwych ptaków, łożę boleści, na którym matka ojczyzny przeżyła gnijącą starość, dobrej nocy, szepnął jak zawsze, choć nikt od bardzo dawna nie odpowiadał mu dobrej nocy, synu, śpij z Bogiem, kierował się do swej sypialni z lampą od nagłej ucieczki, gdy dojrzał w mroku osłupiałe węgle żrenic Lorda Kóchela, poczuł męski zapach, stężenie jego władzy, blask jego pogardy, stój, kto idzie, zapytał, choć wiedział kto, Jose Ignacia Saenz de la Barra w wizytowym stroju, który przyszedł, by przypomnieć mu, że to historyczna noc, 12 sierpnia, generale, uroczysta data, wielki dzień, w którym obchodziliśmy pierwsze stulecie pańskiego dojścia do władzy, goście z całego świata przybyli więc, zwabieni ogłoszeniem wydarzenia, w którym niemożliwe było uczestniczyć więcej niż jeden raz w życiu, choćby najdłuższym, cała ojczyzna to święciła, cała ojczyzna prócz niego, gdyż mimo uporczywości Jose Ignacio Saenza de la Barra, by przeżył tę pamiętną noc pośród owacji i entuzjazmu swego narodu, on zasunął wcześniej niż zazwyczaj trzy sztaby do swej sypialnianej celi, zasunął trzy rygle, trzy zasuwę, położył się twarzą do ziemi na gołych ceglach, w zwykłym płóciennym mun-

220

durze bez dystynkcji, w sztylpach, złotej ostrodze i z prawym ramieniem podłożonym pod głowę, tak by służyło mu za poduszkę, tak jak mieliśmy go znaleźć rozdziobanego przez sępy i obrośniętego zwierzętami i kwiatami z dna morskiego, i poprzez mgiełkę filtrów drzemki usłyszał odległe petardy jarmarku bez niego, usłyszał muzykę radości, dzwony wesela, mulisty potok tłumów przybyłych sławić chwałę, która nie była jego chwałą, podczas gdy on szeptał, bardziej zakłopotany niż smutny, matko moja, Bendición Alvarado losu mojego, już sto lat, kurwa, już sto lat, jak ten czas leci. Leżał więc tu, jakby to

był on, choćby nim nie był, na jadalnym stole sali bankietowej, w kobiecym splendorze zmarłego papieża, w kwiatkach, pośród których, podczas ceremonii wystawienia zwłok po swej pierwszej śmierci, nie poznał siebie samego, teraz martwy, groźniejszy niż za życia, z atlasową rękawiczką wypchaną bawełną na piersi opancerzonej fałszywymi orderami za urojone zwycięstwa w czekoladowych wojnach, wymyślonych przez jego bezczelnych pochlebców, w olśniewającym galowym mundurze, w lakierowanych sztylpach, z jedyną złotą ostrogą, jaką znaleźliśmy w pałacu, i z dziesięcioma smutnymi słońcami generała wszechświata, które nadano mu w ostatniej chwili, by obdarzyć go rangą wyższą niż ranga śmierci, a taki bliski i namacalny w swej nowej, pośmiertnej tożsamości, iż po raz pierwszy bez śladu zwątpienia można było uwierzyć w jego prawdziwe istnienie, choć w rzeczywistości nikt nie był bardziej niepodobny do niego, nikt nie był takim jego przeciwieństwem jak ten trup wystawowy, który o północy nadal warzył się na wolnym ogniu małej przestrzeni katafalku, gdy tymczasem w przyległej sali Rady Ministrów uzgadnialiśmy słowo po słowie końcowy komunikat z wiadomością,

221

w którą nikt nie śmiał wierzyć, gdy obudził nas huk ciężarówek wypełnionych wojskiem w pełnej gotowości bojowej, którego milczące oddziały zaczęły od świtu zajmować gmachy urzędów, pod arkadami handlowej ulicy żołnierze rozciągnęli się na ziemi w pozycji gotowej do strzału, ukryli się w sieniach, zobaczyłem ich, jak na dachach dzielnicy wicekrólów ustawiają karabiny maszynowe, gdy o świcie otworzyłam balkon w moim mieszkaniu, rozglądając się, gdzie by wstawić wiązanek mokrych goździków, które przed chwilą ścięłam w ogródku, zobaczyłam pod balkonem patrol dowodzony przez porucznika, który chodził od drzwi do drzwi, rozkazując zamknąć tych kilka otwieranych właśnie sklepów na ulicy handlowej, dziś dzień wolny od pracy, krzyczał, rozkaz odgórny, rzuciłam im z balkonu goździk i zapytałam, co się stało, że tak dużo wszędzie żołnierzy i taki hałas, a oficer złapał goździk w powietrzu i odpowiedział, wyobraź sobie, mała, że my też nie wiemy, widać zmarły zmartwychwstał, powiedział, skręcając się ze śmiechu, nikt bowiem nie śmiał przypuścić nawet, że mogłaby się wydarzyć rzecz tak niezwykła jak jego śmierć, wprost przeciwnie, myśleliśmy, że po wielu latach zobojętnienia on znów chwycił za cugle władzy, bardziej żywy niż przedtem, znów powłócząc swymi wielkimi stopami iluzorycznego monarchy w pałacu, którego lampy znów się zapaliły, myśleliśmy, że to on wypuścił krowy, które szczypały trawę w szczelinach płyt placu Broni, gdzie ślepiec siedzący w cieniu obumierających palm brał tupot racic za stukot wojskowych butów i recytował wiersze

o szczęśliwym rycerzu, o przybyłym z daleka pogromcy śmierci, recytował je na cały głos, z ręką wyciągniętą w stronę krów wspinających się na orkiestrową glorię, by oskubać ją z girland balsaminy, gdyż tak nawykły do

222

wchodzenia i schodzenia po schodach w poszukiwaniu paszy, że zostały, by pędzić żywot wśród szczątków muz ukoronowanych dzikimi kameliami i małp zwisających z lir ruin Teatru Narodowego, i konając z pragnienia, wchodziły z trzaskiem skorup doniczek tuberozy w chłodny mrok przedsionków w dzielnicy wicekrólów i zanurzały spieczone pyski w zbiorniku wewnętrznego dziedzińca, i nie znalazł się nikt, kto śmiałyby je odpędzić, gdyż znaleźliśmy dziedziczne piętno prezydenckiego żelaza, wypalane krowom na zadach, a bykom na szyjach, były nietykalne, nawet żołnierze ustępowali im drogi w labiryntach handlowej ulicy, która straciła swój dawny splendor piekielnego bazaru, jedynie gnojowisko połamanych kości i spróchniałych masztów w kałużach palących wyziewów pozostało w miejscu, gdzie było targowisko, gdy mieliśmy jeszcze morze i szkunery osiadały na mieliźnie kramów z warzywami, pozostały puste lokale po sklepach, które w jego czasach chwały były bazarami Hindusów, bo Hindusi odeszli, nawet nie podziękowali, panie generale, a on krzyknął, co jest, kurwa, oszołomiony swymi ostatnimi, starczymi kaprysami, to niech spieprzają podcierać dupy Anglikom, krzyknął, odeszli wszyscy, w ich miejsce pojawili się uliczni sprzedawcy indiańskich amuletów i odtrutek na jad żmij, szaleńcze tancbudy z gramofonami, z łózkami do wynajęcia na zapleczu, które żołnierze roznieśli kolbami, gdy spiże katedry rozgłaszały żałobę, wszystko skończyło się wcześniej niż on, byliśmy wyczerpani do ostatniego tchu złudzeniami, beznadziejną nadzieją, że któregoś dnia okaże się prawdą powtarzana i wciąż dementowana pogłoska, iż nareszcie uległ jednej ze swych wielu królewskich chorób, a mimo to teraz, gdy to było pewne, nie wierzyliśmy i wcale nie dlatego, że istotnie w to nie wierzyliśmy, ale dlatego, że już nie

223

chcieliśmy, aby to było prawdą, doszło w końcu do tego, że nie potrafiliśmy pojąć, jacy będziemy bez niego, jakie będzie nasze życie, gdy go zabraknie, świat był dla mnie niepojęty bez tego mężczyzny, który uszczęśliwił mnie, gdy miałam dwanaście lat, tak jak nie zdołał mnie uszczęśliwić żaden inny od czasów tych popołudni sprzed tylu lat, gdy wychodziłyśmy ze szkoły o piątej, a on przy okienkach obory czyhał na dziewczynki w niebieskich mundurkach z marynarskimi kołnierzykami, z jednym tylko warkoczem na plecach, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, jakże cudowne są kobiety w moim wieku, wołał nas, widziałyśmy jego ruchliwe oczy, dłoń w rękawiczce z wystrzępionymi palcami, która próbowała

nas zwabić dzwoneczkiem cukierka ambasadora Forbesa, wszystkie uciekały przestraszone, wszystkie prócz mnie, zostałam sama na drodze do szkoły, gdy upewniłam się, że nikt mnie nie widzi i spróbowałam dosięgnąć cukierka, i wtedy miękkim chwytem jaguara złapał mnie za przeguby, i uniósł bezboleśnie w powietrze, i wciągnął przez okienko tak ostrożnie, że nie rozgniótł mi ani jednej pliski na spódnicy, i położył na pachnącym starymi siuškami sianie, próbując powiedzieć mi coś, co nie mogło wydobyć się z jego spierzchniętych ust, bo był bardziej wystraszony niż ja, drżał, widać było przez kurtkę bicie jego serca, był blady, miał oczy pełne łez, jakich już nigdy później w całym moim życiu na wygnaniu nie widziałam u żadnego mężczyzny, dotykał mnie w milczeniu, oddychając powoli, pieścił mnie z męską czułością, jakiej już nigdy nie doznałam, pod jego dłońmi wybuchały pączki moich piersi, wsuwał mi palce pod majtki, wachał sobie palce, kazał mi je wachać, powachaj, mówił, to twój zapach, nie potrzebował już cukierków ambasadora Baldricha, sama przeciskałam się przez okienko obory, by przeżyć szczęś-

224

liwe godziny mojej dojrzałości z tym mężczyzną o zdrowym i smutnym sercu, który, siedząc na sianie, oczekiwał mnie z torbą pełną jedzenia, zbierał chlebem moje pierwsze sosy dojrzałej kobiety, przed zjedzeniem wkładał mi tam różne rzeczy, dawał mi je do jedzenia, wkładał mi końce szparagów, by zjeść je zamarynowane w solance moich wewnętrznych płynów, pyszna jesteś, mówił mi, smakujesz portem, marzył o zjedzeniu moich nerek ugotowanych w ich własnym, amoniakalnym bulionie, z solą twoich pach, marzył, z twoimi ciepłymi siuškami, oprawiał mnie od stóp po głowę, posypywał solą kamienną, pikantnym pieprzem i laurowymi liśćmi i zostawiał na wolnym ogniu w rozpalonych malwach ulotnych zmierzchów naszej miłości bez nadziei, zjadał mnie od stóp po głowę, z apetytem i wspaniałomyślnością starca, jakiej nigdy już nie znalazłam u tylu spieszących się i skąpych mężczyzn, którzy próbowali mnie pokochać, nie osiągnąwszy tego przez resztę mojego życia bez niego, mówił mi o sobie, wolno trawiąc miłość, gdy odsuwaliśmy od siebie pyski usiłujących nas wylizać krów, mówił mi, że on sam nie wie, kim jest, że pana generała miał powyżej uszu, mówił bez goryczy, o nic nie pytany, jakby rozmawiał z sobą, dryfując w nieustannym bzczeniu wewnętrznej ciszy, którą tylko krzykiem można było przerwać, nikt nie był bardziej uczynny i mądrzejszy niż on, nikt nie był bardziej męski, gdy miałam czternaście lat stał się jedynym sensem mojego życia, i wtedy dwaj wojskowi najwyższej rangi zjawili się w domu moich rodziców z walizką wypełnioną dublonami z czystego złota, i załadowali mnie o północy na zagraniczny statek z całą rodziną i z rozkazem, by nie wracać na terytorium kraju przez

wiele, wiele lat, aż gruchnęła po świecie wiadomość, że on umarł, i nigdy nie dowiedział się, że spędziłam resztę

225

mojego życia, umierając z tęsknoty za nim, szłam do łóżka z nieznanymi z ulicy, by sprawdzić, czy ktoś będzie lepszy od niego, stara i zgorzkniała wróciłam z tym tabunem dzieciaków od różnych ojców, które wydałam na świat, łudząc się, że to jego dzieci, on zaś zapomniał o niej już następnego dnia, gdy nie zobaczył jej wchodzącej przez okienko obory, każdego wieczoru zastępowała mu ją jakaś inna, już wtedy bowiem nie rozróżniał zbyt dobrze, kim kto jest w tej gromadzie ubranych w identyczne mundurki gimnazjalistek, które pokazywały mu język i krzyczały stary ramol, gdy próbował zwabiać je cukierkami ambasadora Rumpelmayera, wołał, nie faworyzując żadnej, nigdy nie zastanawiając się, czy ta dzisiejsza jest tą wczorajszą, wszystkie przyjmował tak samo, myślał o wszystkich, jakby były jedną i tą samą, wysłuchiwał, śpiąc już niemal w hamaku, wciąż tych samych argumentów ambasadora Streimberga, który podarował mu trąbkę akustyczną, taką jak ta od His Master's Voice ze wzmacniaczem elektrycznym, by mógł raz jeszcze usłyszeć uporczywe roszczenia do naszych wód terytorialnych, a conto przysługi w postaci zagranicznych kredytów, on zaś powtarzał to samo co zawsze, że za żadną cholerę, mój kochany Stevenson, wszystko, tylko nie morze, wyłączał elektryczny audiofon, nie chcąc już słuchać tych krakań metalicznego ludzika, który jakby puszczał od nowa tę samą płytę, by raz jeszcze wytłumaczyć mu to, co tyle razy mi tłumaczyli moi własni eksperci bez słownikowych zasłon dymnych, że jesteśmy goli, panie generale, wyczerpaliśmy nasze ostatnie zasoby, wykończeni wiekową potrzebą przyjmowania pożyczek, by spłacić zagraniczne kredyty od czasu wojen o niepodległość, a później nowe pożyczki, by spłacić procenty od dawniejszych, zawsze w zamian

226

za coś, panie generale, najpierw za monopol na chininę i tytoń dla Anglików, później za monopol na kauczuk i kakao dla Holendrów, później za koncesję na linię kolejową na płaskowyżu i żeglugę śródlądową dla Niemców, wreszcie za wszystko dla jankesów, za tajne układy, o których nie wiedział aż do gromkiego upadku i publicznej śmierci Jose Ignacia Saenza de la Barra, którego oby Bóg przypiekał na żywym ogniu w kotłach swych głębokich piekieł, nie zostało nam nic, generale, ale on słyszał to samo od wszystkich swych ministrów finansów od trudnych czasów, gdy ogłosił umorzenie zawartych z bankierami hamburskimi umów, eskadra niemiecka zablokowała port, angielski pancernik dał salwę ostrzegawczą, która wybiła dziurę w wieży katedralnej, ale on krzyknął, że w dupie mam króla londyńskiego,

raczej martwi niż sprzedani, krzyknął, śmierć kajzerowi, ocalony w ostatniej chwili dzięki usłużnemu wstawienictwu swego partnera od domina, ambasadora Charlesa W. Traxlera, którego rząd podjął się roli gwaranta europejskich umów w zamian za wieczystą eksploatację naszych zasobów, i od tej pory jesteśmy w takim stanie, w jakim jesteśmy, zadłużając się nawet na kałesony, które mamy na sobie, panie generale, ale on odprowadzał aż do schodów wiecznego ambasadora godziny piątej i zegnał, poklepując go po ramieniu, za żadną cholere, mój kochany Baxter, raczej martwy niż bez morza, zdruzgotany spustoszeniem cmentarnego domu, po którym można było chodzić bez przeszkód, jakby to było pod wodą, od przeklętych czasów Jose Ignacia Saenza de la Barra mojego błędu, który ściał wszystkie głowy rodzaju ludzkiego oprócz tych, jakie miał ściać, czyli sprawców zamachu na Letycję Nazareno i dziecko, ptaki opierały się śpiewaniu swych kantat w klatkach, choćby

227
nie wiadomo ile kropel kantarydyny wlewał im do dziobów, dziewczynki z pobliskiej szkoły nie zaśpiewały już piosenki z międzylekcyjnej przerwy karuzela czeka woła nas z daleka, życie miało mu na niecierpliwym oczekiwaniu nadejścia godzin przebywania z tobą w oborze, moje maleństwo, z twoimi orzechami cycuszków i ostrygą twojego baranka, jadł sam pod pergolą bugenwilli, dryfował w łunie skwaru godziny drugiej, dziobiąc sen sjesty, by nie stracić wątku filmu w telewizji, w którym wszystko toczyło się z jego rozkazu odwrotnie niż w życiu, gdyż wielce zasłużony, który wszystko wiedział, nigdy nie dowiedział się, że od czasów Jose Ignacia Saenza de la Barra zainstalowaliśmy mu w pierw indywidualną stację nadawczą dla słuchowisk radiowych, a później obwód zamknięty telewizji, żeby tylko on widział filmy nakręcone podług jego gustu, w których umierały jedynie czarne charaktery, miłość zwyciężała śmierć, życie było lekkie, uszczęśliwialiśmy go oszustwem, tak jak był szczęśliwy przez tyle popołudni swojej starości z dziewczynkami w mundurkach, które dogadzałyby mu aż do śmierci, gdyby nie pech, że zachciało mu się spytać jedną z nich, czego się uczą w szkole, a ja powiedziałam mu prawdę, że niczego mnie nie uczą, proszę pana, ja jestem portową dziwką, a on kazał to sobie powtórzyć, myśląc, że może źle zrozumiał to, co wyczytał z moich ust, a ja powtórzyłam mu, literka po literce, że nie jestem uczennicą, proszę pana, jestem portową dziwką, służba zdrowia wykąpała ją w kreolinie i wyszorowała gąbką, powiedzieli jej, żeby włożyła na siebie marynarski mundurek i podkolanówki przyzwoitej panienci i żeby co dzień o piątej po południu przechodziła tą ulicą, nie tylko ona, ale też i wszystkie kurwy w moim wieku, zwerbowane i wykąpane przez obyczajówkę, wszystkie w tym samym mundur-

228

ku i w takich samych męskich półbucikach, i z tymi warkoczami z końskiego włosia, które, o, widzi pan, można zdjąć i przyczepić spinką, powiedzieli nam, żebyśmy się nie bały, to biedny, stary kutas, który was nawet nie przerucha, tylko palcem robi takie badania lekarskie, i ssie mleczarnię, i pakuje żarcie w baranka, no właśnie, to wszystko, co mi pan robi, kiedy przychodzę, i że mamy tylko przymykać oczy z rozkoszy i mówić kochanie kochanie, bo to pan bardzo lubi, tak nam powiedzieli i nawet kazali nam to ćwiczyć i powtarzać wszystko od początku zanim nam zapłacili, ale jak dla mnie, to za dużo pieprzenia się z tymi dojrzałymi bananami w dupie i tyloma zakalcami w cipie za te nędzne cztery pesos, co nam zostają po odtrąceniu podatku zdrowotnego i taksy dla sierżanta, a co, kurwa, to niesprawiedliwe, żeby dołem marnować tyle jedzenia, jak człowiek nie ma co górą w siebie wepchnąć, powiedziała, okryta ponurą aurą nieprzeniknionego starca, który, nie mrugnawszy, wysłuchał objawienia, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, dlaczego zsyłasz na mnie taką karę, ale nie uczynił żadnego gestu, który ujawniłby jego rozpacz, jedynie oddał się zapamiętałe drobiazgowym i skrytym dochodzeniom, póki nie wykrył, iż gimnazjum dziewczynek w pobliżu rezydencji cywilnej rzeczywiście zamknięto już wiele lat temu, panie generale, sam minister oświaty zatwierdził odpowiednie fundusze w porozumieniu z prymasem i stowarzyszeniem ojców rodziny, by zbudować nowy trzypiętrowy budynek nad morzem, gdzie infantki rodzin o wielkich ambicjach znalazły się poza zasięgiem zakusów wiecznego uwodziciela, którego ciało osiadłej na mieliźnie brzuchem do góry ryby zaczynało na stole bankietowym odcinać się od tła horyzontu księżycowych kraterów w barwie sinich malw naszej pierwszej jutrzenki

229

bez niego, od wszystkiego chroniony pośród śnieżnych agapantów, nareszcie uwolniony od swojej absolutnej władzy po tylu latach obopólnej niewoli, w której niemożliwe było dostrzec, kto jest czyją ofiarą w tym grobowcu żywych prezydentów, jaki wewnątrz i zewnątrz pomalowali cmentarną bielą, nie konsultując się ze mną, a jedynie, nie poznawszy go, rozkazując mu, niech pan tędy nie przechodzi, bo nam pan wapno brudzi, i nie przechodził, niech pan zostanie na górnym piętrze, bo rusztowanie może panu spaść na głowę, i zostawał, oszołomiony łomotem stolarzy i wściekłością murarzy krzyczących na niego, odejź stąd, palancie, bo się jeszcze zesrasz w zaprawę, i odchodził bardziej karny niż żołnierz, w ciężkich miesiącach nieskonsultowanego z nim remontu, w czasie którego wybito nowe okna na morskie wiatry, bardziej samotny niż kiedykolwiek pod przerażająco czujną strażą eskorty, której zadanie zdawało

się polegać nie na chronieniu go, lecz na pilnowaniu, wyjadali połowę jego jedzenia, by zapobiec otruciu go, zamieniali mu schowki pszczelego miodu, okrywali futerałem złotą ostrogę jak kogutom przed walką, by nie dzwoniła mu w czasie marszu, kurwa, cały kram kowbojskich forteli, na których widok skonałby ze śmiechu mój kum, Saturno Santos, żył na łasce jedenastu goryli w marynarkach i krawatach, którym cały dzień mijał na robieniu japońskich sztuczek, bawili się aparatem z zielonymi i czerwonymi lampkami, które zapalają się i gasną, gdy wykryją u kogoś broń w promieniu pięćdziesięciu metrów, i poruszamy się po ulicach jak uciekinierzy w siedmiu identycznych samochodach, zmieniających co chwila pozycje, wyprzedzając w drodze jedni drugich, tak że nawet ja nie wiem, w którym, kurwa, samochodzie właśnie jestem, ot, wożenie wody

230

do studni, bo on odsunął zasłonki, by zobaczyć ulice po tylu latach odosobnienia, i zobaczył, że nikt nie wpada w popłoch na widok ukradkowego przejazdu pogrzebowych limuzyn prezydenckiej karawany, zobaczył skarpy lustrzanych szyb ministerstw wznoszących się wyżej niż wieże katedry i zasłaniających kolorowe pagórki murzyńskich baraków na wzgórzach portowych, zobaczył patrol żołnierzy zamazujących świeży napis, wymalowany na murze dużym pędzlem, i zapytał, co tam było, i odpowiedzieli, że wieczna chwała stwórcy nowej ojczyzny, choć wiedział, że to, oczywiście, kłamstwo, w przeciwnym razie nie zamazywaliby tego, kurwa, tam, gdzie kiedyś były bagna, zobaczył aleję palm kokosowych, szeroką jak sześć alei z rzędami donic z kwiatami, ciągnącą się aż do morza, zobaczył tam, gdzie kiedyś było śmietnisko targów, dzielnicę identycznych rezydencji z rzymskimi portykami i hoteli z amazońskimi ogrodami, zobaczył kawalkady samochodów w labiryncie serpentyn miejskich autostrad, po słonecznej stronie ulicy zobaczył tłumy otępiałe kanikułą południa, gdy na przeciwległym chodniku nie było nikogo prócz bezrobotnych komorników, ściągających podatek za prawo chodzenia w cieniu, ale tym razem nikt nie zadrżał w przeczuciu władzy ukrytej w chłodzonym feretrone prezydenckiej limuzyny, nikt nie rozpoznał pełnych rozczarowania oczu, trwożliwych ust, osieroconej dłoni przesyłającej pożegnania w pustkę poprzez wrzaski gazeciarzy i sprzedawców amuletów, wózków z lodami, proporców trzycyfrowej loterii, codziennego tumultu ulicznego świata, dalekiego od intymnej tragedii osamotnionego generała, który wzdychał z tęsknoty, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, gdzie podziało się moje miasto, gdzie jest ta nędzna uliczka kobiet bez mężczyzn, które wychodziły

231

nagie o zmierzchu, by kupić błękitne korwiny i różowe pagrusy i użerać się ze sprzedawczyniami jarzyn, póki nie wyschła im bielizna na balkonach, gdzie są Hindusi, którzy srali przed drzwiami swoich sklepików, gdzie są ich sine żony, które rozczułały śmierć żalosnym śpiewem, gdzie jest dziewczyna, która za nieposłuszeństwo wobec rodziców zamieniła się w skorpioną, gdzie są garkuchnie najemników, potoki ich sfermentowanego moczu, powszednie powietrze pelikanów za rogiem, i nagle, ach, port, gdzie jest, skoro był tutaj, co stało się ze szkunerami przemytników, ze złodem po inwazji piechoty morskiej, z moim zapachem gówna, matko, co się porobiło na świecie, że nikt nie poznaje ulotnej dłoni zapomnianego kochanka, zostawiającego za sobą smugę zbędnych pożegnań przez okienko z barwionego szkła inauguracyjnego pociągu, który, gwizdząc, jechał po zasiewach pachnących traw, gdzie przedtem były bagniska przeraźliwych ptaków z malarycznych ryżowisk, jechał przez niewiarygodne równiny niebieskich pastwisk, płosząc stada krów napiętnowanych prezydenckim żelazem, jechał wewnątrz wyściełanego eklezyjastycznym aksamitem wagonu pieśni żałobnej mojego nieodwołalnego losu, pytając, gdzie jest moja stara czterokołowa ciuchcia, kurwa, moje konary anakond i trujących balsamin, mój wrzask mały, moje rajskie ptaki, ojczyzna cała ze swym smokiem, matko, gdzie są, skoro były tutaj stacyjki małomównych Indianek w angielskich melonikach, Indianek, które sprzedawały przez okna zwierzątką z cukru, sprzedawały ośnieżone ziemniaki, matko, sprzedawały kury duszone w żółtym maśle pod łukami transparentów z kwiatów, chwała wieczna wielce zasłużonemu, o którym nikt nie wie, gdzie jest, ale zawsze, gdy protestował, że takie życie dezertera to gorsze niż śmierć, odpowiadali mu, że nie, panie generale,

232

to jest pokój w ramach ładu, mówili mu, a on w końcu przystawał na to, zgoda, raz jeszcze zaślepiony osobistym czarem Jose Ignacia Saenza de la Barra mojego bajzlu, którego tyle razy degradował i opluwał w szale bezsenności, po czym od nowa poddawał się jego urokowi, ledwie ten z pierwszymi promieniami słońca wkraczał do gabinetu, ciągnąc na smyczy psa, zawsze patrzącego niczym ludzka istota, nawet wtedy gdy sika, a do tego nazywa się jak człowiek, Lord Kóchel, i ponownie akceptował jego rozwiązanie z buntującą go przeciwko sobie samemu pokorą, nie przejmujcie się, Nacho, przyzwalał, niech pan spełnia swe obowiązki, w rezultacie Jose Ignacio Saenz de la Barra ponownie wracał ze swymi nienaruszonymi pełnomocnictwami do fabryki tortur, którą umieścił niecałe pięćset metrów od pałacu prezydenckiego, w niewinnym budynku w stylu kolonialnym, gdzie kiedyś mieścił się holenderski dom wariatów, dom tak wielki jak pański,

panie generale, ukryty w lesie migdałowców i otoczony łąką dzikich fiołków, którego parter przeznaczony był dla służb śledczych i rejestru stanu cywilnego, a na pozostałych zainstalowano najwymyślniejsze i najbardziej barbarzyńskie urządzenia do tortur, jakie mogły powstać w wyobraźni, tak straszne, że nie chciał ich nawet poznać, poprzestając jedynie na ostrzeżeniu Saenza de la Barra, proszę spełniać swój obowiązek tak, jak wymagać tego będą interesy ojczyzny, ale pod jednym warunkiem, że ja nic nie wiem, niczego nie widziałem i nigdy nie byłem w tym miejscu, i Saenz de la Barra zaręczył swoim słowem honoru, do usług, panie generale, i dotrzymał go, tak jak dotrzymywał obietnicy wykonania jego rozkazu, że nigdy się już nie powtórzy katowanie dzieci poniżej lat pięciu za pomocą wstrząsów elektrycznych w jądra, żeby wymusić zeznania na ich rodzicach, obawiał się bowiem, że taka

233

nikczemność mogłaby spowodować nawrót bezsenności tyłu identycznych nocy z czasów loterii, choć nie potrafił zapomnieć o tym potwornym warsztacie znajdującym się tak niedaleko od jego sypialni, bo w nocy spokojnych księżyców budziła go muzyka pędzących pociągów świtów Brucknerowskich grzmotów, obracających wszystko w perzynę, potopem zniszczenia strzępiąc ślubne welony zmarłych oblubienic, którymi kwitły migdałowce dawnej rezydencji holenderskich lunatyków, by na ulicę nie dochodził skowyt przerażenia i bólu wydawany przez konających, i to wszystko za darmo, panie generale, albowiem Jose Ignacio Saenz de la Barra wydawał własną pensję na zakup książęcej garderoby, koszul z naturalnego jedwabiu z monogramem na piersi, obuwia z koziej skóry, skrzynek gardenii do butonierki, kosmetyków z Francji z nadrukowanymi na oryginalnej etykiecie rodowymi herbami, nie miał jednak żadnej kobiety, o której by wiadano, ale i nie mówi się, że jest pedałem, nie ma również żadnego, bodaj jednego, przyjaciela ani własnego domu, by móc w nim mieszkać, nic nie ma, panie generale, żyje jak święty, harując niewolniczo w fabryce tortur, póki zmęczenie nie powala go na kanapę w gabinecie, gdzie sypia byle jak, ale nigdy w nocy i nigdy nie dłużej niż trzy godziny za każdym razem, bez straży w drzwiach, bez broni pod ręką, pod dyszącym nadzorem Lorda Kóchela, który wyskakiwał ze skóry z trwogi powodowanej faktem, że jada tylko to, co mówią, że jada, to znaczy, ciepłe trzewia ściętych, bulgocąc jak kipiący kocioł, by zbudzić swego pana, gdy wzrokiem ludzkiej istoty ledwie przeczuwa poprzez ściany, że ktoś zbliża się do gabinetu, wszystko jedno kto, panie generale, ten człowiek nie ufa nawet zwierciadłu, podejmował swoje decyzje, z nikim ich nie konsultując, po wysłuchaniu raportów swoich agen-

234

tów, i nie było takiego zdarzenia w kraju ani takiego westchnienia wydanego przez uchodźców w jakimkolwiek miejscu na ziemi, o którym Jose Ignacio Saenz de la Barra natychmiast by nie wiedział dzięki niewidzialnej pajęczej sieci donosicielstwa i przekupstwa, którą omotał całą kulę ziemską, gdyż właśnie na to wydawał pieniądze, panie generale, bo to nieprawda, że oprawcy mieli ministerialne pensje, jak mówiono, wprost przeciwnie podejmowali się tego za darmo, by wykazać, iż zdolni są rozćwiartować własną matkę i szczątki rzucić świniom bez cienia wahania w głosie, zamiast listów rekomendacyjnych i opinii o nieposzlakowanej postawie przedstawiali zaświadczenia o dokonanych okrucieństwach, by zatrudniono ich pod rozkazami francuskich oprawców, którzy są racjonalistami, panie generale, a co za tym idzie, metodyczni w okrucieństwie i obcy wszelkiej litości, to oni umożliwiali postęp w ramach ładu, to oni przewąchiwali każdą konspirację o wiele szybciej, nim zaczynała komukolwiek świtać w głowie, roztargnieni klienci zażywający chłodu pod wachlarzami wentylatorów w lodziarniach, czytający gazety w restauracyjkach Chińczyków, ci, co zasypiali w kinie, co ustępowali miejsca ciężarnym kobietom w autobusach, ci, co wyuczuli się zawodu elektryka i hydraulika przeżywszy połowę życia jako nocni rabusie i przydrożni bandyci, przypadkowi narzeczeni służących, kurwy z transatlantyków i międzynarodowych barów, inicjatorzy turystycznych wycieczek do rajów Morza Karaibskiego w biurach podróży w Miami, prywatny sekretarz ministra spraw zagranicznych królestwa Belgii, dożywotnia sprzątaczką ponurego korytarza na czwartym piętrze Hotelu Międzynarodowego w Moskwie i tylu innych, nikomu nieznanym po ostatni zakątek ziemi, ale pan może spać spokojnie, panie generale, bo dobrzy patrioci ojczyzny mówią,

235

że pan nic nie wie, że to wszystko dzieje się bez pana wiedzy, że gdyby pan generał o tym wiedział, to wysłałby Saenza de la Barra do sadzenia stokrotek na cmentarzu renegatów w twierdzy portowej, że za każdym razem, gdy dowiadywali się o nowym akcie barbarzyństwa, wzdychali skrycie, gdyby generał o tym wiedział, gdybyśmy mogli mu o tym donieść, gdyby był jakiś sposób, żeby go zobaczyć, a on rozkazał temu, który mu to opowiedział, by nie zapomniiał nigdy, że ja naprawdę nic nie wiem ani niczego nie widziałem, ani z nikim o tych sprawach nie rozmawiałem, i w ten sposób odzyskiwał spokój, ale nadal nadchodziło tyle worków odciętych głów, iż trudno mu było uwierzyć, by Jose Ignacio Saenz de la Barra płał się we krwi, nie czerpiąc z tego żadnej korzyści, bo ludzie są skurwielami, ale nie do tego stopnia, nie potrafił również zrozumieć, by minęły całe lata, a dowódcy trzech rodzajów broni ani razu nie zaprotestowali z racji zepchnięcia ich w cień, ani nie poprosili o podwyżki,

nic, rzucił więc własne sondy, próbując ustalić przyczyny wojskowej aprobaty, chciał wy badać, dlaczego nie usiłowali się zbuntować, dlaczego akceptowali władzę cywila, zapytał najambitniejszych, czy nie sądzą, że już najwyższy czas przyciąć skrzydła krwawemu intruzowi podrywającemu autorytet sił zbrojnych, ale odpowiedzieli mu, że oczywiście nie, panie generale, nie jest tak tragicznie, i od tej pory już nie wiem, kto kim jest ani kto jest z kim i przeciw komu w tej matni postępu w ramach ładu, który zaczyna mi cuchnąć zamurowaną padliną jak tamta, o której nie chcę nawet pamiętać, tych biednych dzieci od loterii, ale Jose Ignacio Saenz de la Barra uśmierzał jego ekscytację swym słodkim opanowaniem pogromcy dzikich psów, proszę spać spokojnie, generale, 236

mówił mu, świat należy do pana, wpajał mu wiarę, że wszystko jest takie proste i takie jasne, iż ponownie zostawiał go w ciemnościach tego niczyjego domu, po którym chodził z kąta w kąt, zapytując siebie gromkim głosem, kim, kurwa, jestem, że czuję się, jakby odwrócili mi światło zwierciadeł, gdzie, kurwa, jestem, że zaraz wybije jedenasta rano, a tu nie ma żadnej, choćby i zabłąkanej kury na tej pustyni, przypomnijcie sobie, jak było przedtem, wołał, przypomnijcie sobie ten bajzel trędowatych i paralityków walczących z psami o jedzenie, przypomnijcie sobie tamtą ślizgawicę bydlęcych gówień na schodach i ten burdel patriotów, którzy przejść mi nie dawali, nalegając, że proszę mi obsypać ciało solą zdrowia, panie generale, proszę mi ochrzcić tego chłopca, może mu rozwolnienie przejdzie, bo mówiono, że moje błogosławieństwo miało większą moc oczyszczającą niż zielone banany, proszę mi tu położyć rękę, może mi się uspokoją te kołatania, bo już nie mam zdrowia żyć z tym wiecznym trzęsieniem ziemi, proszę obrócić wzrok ku morzu, panie generale, by zawróciły huragany, proszę go unieść ku niebu, by ukorzyły się zaćmienia, spuścić ku ziemi, by wypłoszyć zarazę, bo mówili, że byłem dobroczyńcą, który wzbudzał posłuch natury i prostował porządek wszechświata, i przytarł nosa Boskiej Opatrzności, i dawałem im to, o co mnie prosili, i kupowałem wszystko, co mi sprzedawali, nie dlatego by był miękkiego serca, jak mówiła jego matka, Bendición Alvarado, ale dlatego, iż trzeba byłoby mieć wątrobę z żelaza, żeby odmówić przysługi komuś, kto słał jego czyny, za to teraz nie było nikogo, kto by go o cokolwiek prosił, nikogo, kto by mu powiedział przynajmniej, dzień dobry, panie generale, jak minęła noc, nie miał nawet pociechy tych nocnych eksplozji, które 237

budziły go gradem okiennych szyb, wrywały drzwi z zawiasów i siały panikę wśród żołnierzy, ale przynajmniej służyły mu, aby mógł czuć, że jest żywy, a nie pogrążony w tej ciszy, która byczy mi w głowie i budzi mnie swoim grzmotem, jestem tylko pajacem

nabazgranym na ścianie tego domu duchów, gdzie nie był zdolny wydać rozkazu, który nie byłby wykonany dużo wcześniej, natrafiał na spełnienie swych najskrytszych pragnień w oficjalnej gazecie, którą nadal czytał w hamaku w porze poobiedniej drzemki, od pierwszej po ostatnią stronę, nie pomijając ogłoszeń reklamowych, nie było podmuchu jego oddechu, zamysłu jego woli, które nie ukazałyby się wydrukowane tłustą czcionką z fotografiami mostu, którego przez przeoczenie nie rozkazał zbudować, uroczystości położenia kamienia węgielnego pod szkołę do nauki zmiatania, mlecznej krowy i drzewa chlebowego z jego zdjęciem przy innych wstęgach inauguracyjnych z czasów chwały, a mimo to nie znajdował ulgi, powłóczył swoimi wielkimi stopami zestarzałego słonia, szukając czegoś, co nie zgubiło się w jego domu samotności, odkrywał, że ktoś przed nim osłonił klatki żałobnymi zasłonkami, ktoś przyjrzał się morzu przez okna i przeliczył krowy przed nim, wszystko było w komplecie i w porządku, wracał z lampą do sypialni, gdy rozpoznał swój własny głos odbijający się echem w wartowni gwardii prezydenckiej, i zajrzał przez uchylone okno, i zobaczył w pokoju pełnym dymu grupę oficerów drzemiących przy smutnym blasku ekranu telewizyjnego, a na ekranie był on, szczuplejszy i bardziej wyprostowany, ale to byłem ja, matko, usadowiony w gabinecie, gdzie miał umrzeć z godłem ojczyzny w tle i trzema parami złotych binokli na stole, dokonując z pamięci analizy sytuacji ekonomicznej kraju słowami

238

uczonego, których on nigdy nie ośmieliłby się powtórzyć, kurwa, był to obraz bardziej niepokojący niż wizja własnego ciała na marach pośród kwiatów, bo teraz widział siebie żywego i słyszał siebie mówiącego swoim własnym głosem, ja we własnej osobie, matko, ja, który nigdy nie mogłem znieść wstydu pojawienia się na balkonie i nie zdołałem przewyciężyć w sobie nieśmiałości przed publicznymi wystąpieniami, a jednak byłem tam, tak prawdziwy i śmiertelny, że stanął zadziwiony w oknie, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, jakim cudem jest to możliwe, ale Jose Ignacio Saenz de la Barra obojętnie przetrzymał jeden z niewielu wybuchów wściekłości, na jakie pozwolił sobie w ciągu niezliczonych lat swego panowania, nie ma o co się gniewać, generale, powiedział mu swym najśłodszy głosem, musieliśmy sięgnąć do tego niezbyt godziwego sposobu, by ocalić od zatonięcia okręt postępu w ramach ładu, to Bóg nas natchnął, generale, dzięki temu zdołaliśmy rozproszyć wątpliwości narodu co do władzy z krwi i kości, która w ostatnią środę każdego miesiąca składa uspokajający raport ze swej działalności rządowej przez radio i telewizję państwową, biorę na siebie całą odpowiedzialność, generale, zainstalowałem tu ten wazon z sześcioma mi-

krofonami w kształcie słoneczników, które nagrywały pana myśli wypowiedziane na głos, to ja stawiałem pytania, na które odpowiadał na piątkowych audiencjach, nie podejrzewając nawet, że jego niewinne odpowiedzi były fragmentami comiesięcznego przemówienia kierowanego do narodu, albowiem nigdy nie posłużyli się wizerunkiem, niebędącym jego, czy słowem przez niego niewypowiedzianym, jak to pan sam będzie mógł sprawdzić na tych płytach, które Saenz de la Barra położył na biurku razem z tymi filmami i tym listem, własnoręcznie przeze

239
 mnie napisanym, i który podpisuje w pańskiej obecności, generale, by mógł pan rozporządzać moim losem według pańskiego uznania, a on zbity z tropu popatrzył na niego, zdając sobie natychmiast sprawę, że Saenz de la Barra po raz pierwszy przyszedł bez psa, bezbronny, blady, i wówczas westchnął, no, już dobrze, Nacho, proszę spełniać swe obowiązki, powiedział z miną bezgranicznego zmęczenia, odchylony na obrotowym fotelu, z wzrokiem utkwionym w oskarżycielskich oczach portretów bohaterów narodowych, bardziej niż kiedykolwiek stary, bardziej posępny i smutny, ale z tą samą twarzą wyrażającą nieprzewidziane intencje, które Saenz de la Barra miał poznać dwa tygodnie później, gdy znów wrócił do gabinetu bez wcześniejszej zapowiedzi, wlokąc na smyczy psa i z pilną wiadomością o zbrojnym powstaniu, któremu jedynie pańska interwencja mogłaby zapobiec, generale, a on odkrył w końcu niedostrzegalną rysę, której szukał przez tyle lat w obsydianowym murze fascynacji, matko moja, Bendición Alvarado mojego odwetu, powiedział sobie, ten biedny skurwysyn zaraz się zesra ze strachu, ale nie zrobił żadnego gestu, który pozwoliłby przejrzeć jego zamiary, otoczył jedynie Saenza de la Barra macierzyńską troską, proszę się nie przejmować, Nacho, westchnął, mamy bardzo dużo czasu, żeby spokojnie, bez wtrącania się kogokolwiek, pomyśleć, gdzie, kurwa, jest prawda w tym bagnie sprzecznych prawd, wyglądających na bardziej niepewne, niż gdyby były kłamstwem, podczas gdy Saenz de la Barra sprawdzał na zegarku z łańcuszkiem, że zbliża się godzina siódma wieczór, generale, dowódcy trzech rodzajów broni kończą kolację w swych prywatnych domach z żonami i dziećmi, by nawet one nie mogły domyślić się ich zamysłów, wyjdą ubrani po cywilnemu, bez eskorty, tylnymi drzwia-

240
 mi, tam czeka na nich taksówka zamówiona telefonicznie, by zmylić czujność naszych ludzi, nie zobaczą żadnego, oczywiście, chociaż tam są, generale, to kierowcy, ale on powiedział, aha, uśmiechnął się, proszę się tak nie przejmować, Nacho, proszę mi raczej wytłumaczyć, jak to jest, że dotychczas jesteśmy cali i zdrowi, jeśli z wyliczeń ściętych głów wynika, że mamy więcej wrogów niż żołnierzy, ale Saenz de la Barra nie odrywał się od drobnego bicia swego zegarka na łańcuszku, pozostały

już tylko niecałe trzy godziny, generale, dowódca sił lądowych kieruje się w tej chwili w stronę koszar del Conde, dowódca sił morskich ku portowej twierdzy, dowódca sił powietrznych ku bazie San Jerónimo, jeszcze można ich aresztować, gdyż furgonetka sił bezpieczeństwa państwa załadowana jarzynami jedzie w niewielkiej odległości za nimi, ale on nie reagował, czuł, że narastająca trwoga Saenza de la Barra uwalnia go od kary zależności, która była bardziej nieubłagana niż jego głód władzy, spokojnie, Nacho, mówił, proszę mi raczej wytłumaczyć, dlaczego nie kupił pan rezydencji tak wielkiej jak parowiec, dlaczego haruje pan jak wół, skoro pieniądze pana nie obchodzą, dlaczego żyje pan jak skoszarowany rekrut, skoro największym cnotkom szwy puszczają, żeby tylko wpakować się panu do sypialni, pan wydaje się bardziej księdzem niż sami księża, Nacho, ale Saenz de la Barra dusił się zlany lodowatym potem, którego nie mógł zamaskować swą niepokalaną godnością w krematoryjnym piecu gabinetu, była jedenasta, już za późno, powiedział, zaszyfrowany sygnał zaczynał o tej godzinie oblegać drutami telegrafu różne garnizony kraju, zbuntowani dowódcy zawieszali sobie odznaczenia na galowych mundurach do oficjalnego portretu nowej junty rządzącej, podczas gdy ich adiutanci przekazywali ostatnie

241
rozkazy wojny bez wrogów, której jedyne bitwy ograniczały się do kontroli central telefonicznych i urzędów publicznych, jemu jednak nie drgnęła powieka wobec dyszącego przeczucia Lorda Kócheia, który zerwał się ze spływającą niczym niekończąca się łza niteczką śliny, proszę się nie lękać, Nacho, proszę mi raczej wytłumaczyć, dlaczego pan tak bardzo boi się śmierci, a Jose Ignacio Saenz de la Barra jednym szarpnięciem zerwał sobie miękki od potu celuloidowy kołnierzyk i jego twarz barytona przemieniła się w twarz bez wyrazu, to naturalne, odparł, strach przed śmiercią jest żarem podtrzymującym szczęście, dlatego go pan nie czuje, generale, i stanął, licząc ze zwykłego przyzwyczajenia bicie dzwonów katedralnych, dwunasta, powiedział, nie ma już pan nikogo na świecie, generale, ja byłem ostatni, ale on nawet nie ruszył się w swym fotelu, dopóki nie doszedł go podziemny grzmot wojennych czołgów na placu Broni, i wtedy uśmiechnął się, myli się pan, Nacho, pozostaje mi jeszcze naród, powiedział, ten sam co zawsze, biedny naród, który przed wschodem słońca wyległ na ulicę z poduszczenia zaskakującego starca, który przez radio i telewizję państwową zwrócił się z najżywszą, historyczną emocją do wszystkich, bez jakichkolwiek różnic, patriotów ojczyzny, by ogłosić, że dowódcy trzech rodzajów broni, kierując się niepodważalnymi ideałami naszych rządów, pod moim osobistym kierownictwem i jak zawsze czyniąc zadość woli niezawisłego narodu, tej chlubnej północy położyli kres aparatowi terroru krwawego cywila, którego spotkała kara z rąk ślepej sprawiedliwości tłumów, bo tam

znajdował się Jose Ignacio de la Barra, zmacerowany od ciosów, powieszony za kostki na latarni placu Broni i z własnymi genitaliami wepchniętymi w usta, wszystko zgodnie z pańskimi przewidywaniami, panie generale, 242

kiedy rozkazał nam pan zablokować ulice dokoła ambasad, by uniemożliwić mu uzyskanie azylu, naród zaszczuł go kamieniami, panie generale, ale przedtem musieliśmy podziurawić tę rzeźniczą bestię, która pożarła wnętrzności czterech cywilów i poważnie zraniła nam siedmiu żołnierzy, gdy ludzie przypuścili szturm na mieszkalną część jego urzędu i wyrzucili przez okna ponad dwieście brokatowych kamizelek, jeszcze z fabryczną metką, wyrzucili coś ze trzy tysiące par nienoszonych jeszcze getrów, trzy tysiące, panie generale, na to wydawał rządową forszę, i nie wiem już ile skrzynek gardenii do butonierki, i wszystkie płyty Brucknera z załączonymi partyturami, własnoręcznie przez niego przepisany, a poza tym wyciągnęli z podziemi więźniów i podłożyli ogień pod izby tortur dawnego holenderskiego domu wariatów, wznosząc okrzyki, niech żyje generał, niech żyje swój chłop, który w końcu zdał sobie sprawę z wszystkiego, bo wszyscy mówią, że pan o niczym nie wiedział, panie generale, że wpuszczono pana w maliny, wykorzystując pańskie dobre serce, i jeszcze o tej godzinie latali, wylapując jak szczury oprawców ze służby bezpieczeństwa państwa, których pozostawiliśmy własnemu losowi, zgodnie z pańskimi rozkazami, żeby ludzie mogli sobie ulżyć po tak długo odwlekanej wściekłości, po tak długim strachu, a on przystał, zgoda, wzruszony dzwonami radości i muzyką wolności, i wiwatami wdzięczności zebranych na placu Broni z wielkimi transparentami tłumów, Boże, chroń wspaniałego, który wydobył nas z mroków terroru, i w tej chwilowej kopii czasów chwały kazał zebrać na dziedzińcu oficerów ze szkoły, z ich pomocą zrywając z siebie swoje własne kajdany galernika władzy i wskazując ich kolejno palcem, tak jak dyktowały mu podszepty natchnienia, skompletował z nas 243

ostatnie najwyższe dowództwo swoich starczych rządów, w miejsce sprawców śmierci Letycji Nazareno i dziecka, którzy zostali schwytani w nocnej bieliźnie, gdy próbowali uzyskać azyl w ambasadach, ale on ledwo ich poznał, zapomniał, jak się nazywają, próbował odnaleźć w sercu wybuch nienawiści, której zawziętość usiłował zachować do śmierci, lecz znalazł jedynie popioły zranionej dumy niewartej już, by ją podtrzymywać, precz z nimi, rozkazał, wsadzili ich na pierwszy lepszy statek, który odpływał tam, gdzie nikt już nie mógł ich pamiętać, biedne skurwysyny, przewodnicząc pierwszemu posie-

dzeniu nowego rządu doznał ledwo uchwytnego wrażenia, że ci wybrani przedstawiciele nowego pokolenia nowego wieku znów byli tymi samymi co zawsze cywilnymi ministrami w zakurzonych surdutach i małego serca, tyle, że ci są bardziej pazerni na honory niż na władzę, bardziej bojaźliwi i służalczy niż wszyscy poprzedni, i bardziej bezużyteczni i bezradni wobec zagranicznych długów, większych niż wszystko, co można by spieniężyć w jego ogołoconym królestwie zgryzot, bo nie ma tu już nic do roboty, panie generale, ostatni pociąg na płaskowyżu runął w przepaść orchidei, pumy spały w pluszowych fotelach, szkielety parostatków osiadły na mieliznach ryżowisk, wiadomości zbutwiały w workach pocztowych, stadła krów morskich zwiedzione były ułudą płodzenia syren pośród mrocznych lilii zwierciadeł prezydenckiej kajuty, i tylko on, oczywiście, nie był tego świadom, uwierzył w postęp w ramach ładu, gdyż nie miał wówczas żadnej łączności z rzeczywistym życiem poza lekturą gazety rządowej, którą drukowano wyłącznie dla pana, panie generale, pełne wydanie w nakładzie jednego egzemplarza, z takim materiałem ilustracyjnym, jakiego się pan spodziewał, z ta-
244

kimi ogłoszeniami reklamowymi, które wzbudziły w nim marzenia o innym zupełnie świecie niż ten, który mu ofiarowano na czas sjesty, dopóki sam nie stwierdziłem na te własne, niedowierzające oczy, że na portowych wzgórzach, za gmachami lustrzanych szyb ministerstw nadal stały nienaruszone kolorowe baraki Murzynów, wybudowali aż do morza palmową aleję, żebym nie zobaczył, że za rzymskimi willami o identycznych portykach nadal stały nędzne dzielnice zdewastowane przez jeden z tych naszych huraganów, obsiali pachnącymi trawami linię kolejową po obu stronach torów, by mógł z prezydenckiego wagonu zobaczyć, że świat wydawał się uświetniony farbami wodnymi do malowania wilg jego matki moich wnętrzności, Bendición Alvarado, ale oszukiwali nie dla sprawienia mu przyjemności, jak to czynił w ostatnich czasach swoich czasów chwały generał Rodrigo de Aguilar, i nie dla oszczędzenia mu przykrości, jak to robiła, bardziej przez litość niż z miłości, Letycja Nazareno, lecz aby nie uwalniać go z okowów jego własnej władzy w starczym bezwładzie hamaku pod ceibą dziedzińca, gdzie pod koniec jego lat nawet szkolna piosenka karuzela czeka woła nas z daleka okazała się nieprawdą, kurwa, mimo to nie przejął się szalbierstwem, spróbował jedynie pogodzić się z rzeczywistością poprzez dekret o ponownym przejęciu monopolu na chininę i inne lekarstwa fundamentalne dla dobra państwa, ale rzeczywistość znów go zaskoczyła przestrogą, że świat się zmienia, a życie toczy się nadal za plecami jego władzy, bo nie ma już chininy,

generale, nie ma już kakao, nie ma indygo, generale,
nie ma już niczego, prócz jego osobistej, niedającej
się obliczyć, neurodzajnej i zagrożonej bezczynnością
fortuny, mimo to nie zaniepokoił się tak przykrymi
245

nowinami, tylko wysłał pisemne wezwanie staremu am-
basadorowi Roxbury, licząc, iż może przy stoliku domina
znajdą jakąś formułę pojednania, ale ambasador odpowie-
dział mu w jego stylu, że za żadną cholere, ekscelencjo,
ten kraj niewart funta kłaków, oprócz morza, oczywiście,
które jest przezroczyście i smakowite, i wystarczy pod-
łożyć pod nie ogień, by ugotować w jego własnym
kraterze wielką zupę ze skorupiaków wszechświata, pro-
szę więc to przemyśleć, ekscelencjo, możemy je przyjąć
a conto spłat tego zaległego długu, z którego nie wybrnie
nawet sto pokoleń bohaterów narodowych tak żarliwych
jak wasza ekscelencja, ale on nawet nie potraktował tego
poważnie, tym razem odprowadził ambasadora aż do
schodów, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, zo-
bacz, co z tych jankesów za barbarzyńcy, jak to możliwe,
żeby myśleli o morzu tylko po to, żeby je zjeść, pożegnał
się z tamtym, poklepując go jak zwykle po plecach,
i znowu został sam na sam z sobą, ocierając się po omacku
o frędzle złudnych mgieł bezkresnych równin władzy,
gdyż tłumy opuściły plac Broni, zabrały z sobą otrzepane
z kurzu transparenty, a wypożyczone hasła schowały
sobie na inne, podobne święta w przyszłości, skoro tylko
zabrakło bodźców w postaci jedzenia i picia rozdzielanego
przez wojsko w przerwach między owacjami, znów zo-
stały po nich puste i smutne sale mimo jego rozkazu, by
o żadnej porze nie zamykać bram, aby mógł wejść każdy,
kto tylko zechce, jak przedtem, kiedy nie był to dom
nieboszczyków, lecz pałac mieszkalny, a mimo to jedyni-
mi, którzy zostali, byli trędowaci, panie generale, ślepcy
i paralitycy całymi latami tkwiący przed pałacem, tak jak
ujrzyć ich miał Demetrio Aldous, złocących się w słońcu
u bram Jerozolimy, zniszczonych i niewyciężonych,
pewnych, iż raczej wcześniej niż później wrócą, by
246

otrzymać z jego rąk sól zdrowia, bo on miał przeżyć
wszystkie ciosy wrogości i najokrutniejsze męki, i najgor-
sze zasadzki zapomnienia, bo był wieczny, i tak było,
wracając z udoju znowu ujrzał ich podgrzewających
w puszkach kuchenne odpadki nad naprędce skleconymi
na dziedzińcu paleniskami z cegły, zobaczył ich leżących
krzyżem na przemacerowanych potem wrzodów matach,
w pachnącym cieniu różanych krzewów, polecił wybudo-
wać dla nich wspólny piec, kupował im nowe maty i kazał
wznieść osłonę z palm w głębi dziedzińca, by nie musieli
chronić się wewnątrz domu, ale nie było tygodnia, żeby
po trzech dniach nie potykał się o parę trędowatych,
śpiącą na arabskich dywanach sali bankietowej, lub nie

znajdował zagubionego w urzędach ślepcą czy paralityka rozbitego na schodach, rozkazywał zamykać drzwi, żeby nie pozostawiali śladów jątrzących się ran na ścianach ani nie zasmradzali powietrza domu odorem kwasu karbolenego, którym dezynfekowały ich służby sanitarne, choć ledwie wypędzono ich z jednego miejsca, już pojawiali się w innym, uporczywi, niezniszczalni, łapczywie trzymający się swojej starej, dzikiej nadziei, kiedy już nikt niczego nie oczekiwał od tego starego inwalidy, który ukrywał napisane wspomnienia w szparach ścian i znajdował drogę lunatycznym krokiem, po omacku, poprzez wiatry odnalezione w bagnach mgieł pamięci, spędzał bezsenne godziny w hamaku, pytając się, jak mam, kurwa, wymigać się nowemu ambasadorowi Fischerowi, który zaproponował mi ogłoszenie wybuchu plagi żółtej febry, by usprawiedliwić desant piechoty morskiej, zgodnie z traktatem o wzajemnej pomocy, na tyle lat, ile będzie trzeba, aby tchnąć nowy oddech w konającą ojczyznę, a on natychmiast odpowiedział, że za żadną cholere, zafascynowany oczywistością, że znowu żyje w prapoczątkach swoich

247
 rządów, gdy posłużył się takim samym fortelem, by móc rozporządzać wyjątkowymi pełnomocnictwami prawa wojskowego wobec poważnej groźby powstania cywilnego, ogłosił w dekrete stan zarazy, wciągnięto żółtą chorągiew na reflektor latarni morskiej, zamknięto port, zawieszono niedzielę, zakazano publicznie oplakiwać zmarłych i grać melodie, które by ich przypominały, a siły zbrojne miały czuwać nad przestrzeganiem dekretu i postępować z zapowietrzonymi według swego uznania, w wyniku czego oddziały z sanitarnymi opaskami rozstrzeliwały publicznie ludzi przeróżnej kondycji, zaznaczały czerwonym kółkiem drzwi domów podejrzanych o niesprzyjanie władzy, znakowały krowim piętnem czoła pospolitych przestępców, obojnaków i pedałów, podczas gdy misja sanitarna, o której przysłanie w trybie natychmiastowym zwrócił się do swego rządu ambasador Mitchell, próbowała chronić mieszkańców pałacu prezydenckiego przed zarazą, zbierała z ziemi kupki wczesniaków, by przebadac je pod szkłem powiększającym, wrzucała tabletki dezynfekujące do dzbanów, karmiła robakami zwierzęta swoich naukowych laboratoriów, a on, konając ze śmiechu, mówił przez tłumacza, żeby nie byli takimi kutasami, panowie mister, tu nie ma żadnej zarazy prócz panów, ale oni upierali się, że owszem, jest, że mieli odgórne rozkazy, że jest, przygotowali miód o prewencyjnych właściwościach, gęsty i zielony, którym politurowali całe ciało gości przybywających do pałacu, bez względu na rangę, od najpospolitszych do najznakomitszych, podczas audiencji zmuszano ich do zachowywania dystansu, każąc im stać na progu, a jemu siedzieć w głębi tak, by dochodził go ich głos, ale nie oddech, wymieniał więc poglądy z golasami wysokiego rodu gestykulującymi jedną ręką,

ekscelencjo, a zasłaniającymi sobie drugą wypacykowanego i rachitycznego ptaszka, a wszystko po to, by uchronić od zarazy tego, który płodził w chandrze bezsenności, aż po najbanalniejsze szczegóły, fałszywą plagę, który wymyślił telluryczne oszczerstwa i rozgłosił apokaliptyczne przepowiednie zgodnie z własnym osądem, że ludzie tym więcej będą się bać, im mniej będą rozumieć, i mrugnął powiekami, gdy jeden z jego adiutantów, siny ze strachu, wyprężył się przed nim z wiadomością, panie generale, że zaraza sieje śmiertelne spustoszenie wśród ludności cywilnej, w rezultacie zobaczył więc poprzez zamglone szyby prezydenckiej karocy czas wstrzymany z jego rozkazu na wymarłych ulicach, zobaczył osłupiałe powietrze na żółtych chorągwiach, zobaczył zamknięte drzwi nawet w domach pominiętych przez czerwone kółka, zobaczył obżarte sępy na tarasach i zobaczył zmarłych, zmarłych, zmarłych, leżało ich wszędzie tylu, iż nie sposób było ich zliczyć w błocie, zwalonych w słońcu na tarasach, złożonych na targowych warzywach, zmarłych z krwi i kości, panie generale, któż może wiedzieć ilu, bo było ich o wiele więcej, niż on pragnąłby pośród hord swoich wrogów rzuconych niczym zdechłe psy do kubłów na śmieci, a ponad zgnilizną ciał i pospolitym smrodem ulic rozpoznał odór świerzbu zarazy, nie przeraził się jednak, nie uległ żadnej prośbie, póki nie poczuł się znów absolutnym panem całej swojej władzy, i dopiero wtedy, gdy już zdawało się, iż nie ma ani ludzkiej, ani boskiej siły zdolnej powstrzymać śmiertelne żniwo, ujrzeliśmy pojawiającą się na ulicach karocę bez herbów, w której na pierwszy rzut oka nikt nie dostrzegł lodowatego podmuchu majestatu władzy, ale we wnętrzu z pogrzebnego aksamitu zobaczyliśmy śmiertelne oczy,

249

drżące usta, ślubną rękawiczkę rzucającą garściami sól w podcieniach, zobaczyliśmy pociąg malowany w barwy narodowe, wdrapujący się resztką sił poprzez gardenie i bezczelne pумы na półki mgły najbardziej przepaścistych prowincji, poprzez firanki smutnego wagonu zobaczyliśmy mętne oczy, zmartwione oblicze, dłoni rozczarowanej panny, która zostawiała za sobą smugę soli na posępnym paramo swego dzieciństwa, zobaczyliśmy parostatek z drewnianym kołem i taśmami mazurków chimerycznych pianoli, który, utykając, płynął pośród raf i ławic piaskowych, i szczątków katastrof spowodowanych w puszczy wiosennymi przechadzkami smoka, zobaczyliśmy blade usta, dłoni nieznanego pochodzenia rozrzucającą garściami sól w osadach zamroczonych upałem, i ci, którzy skosztowali onej soli i wylizywali ziemię, po której

on stąpał, wracali natychmiast do zdrowia, na długi czas będąc uodpornieni na złe przecucia i kaprysy uludy, nie tylko więc niczemu się nie dziwił u schyłku swej jesieni, gdy ponownie zaproponowano mu rządy wojsk desantowych, uzasadnione tym samym oszczerstwem o politycznej epidemii żółtej febry, lecz nawet stawiał czoło argumentom jałowych ministrów, którzy wołali, niech wrócą oddziały piechoty morskiej, generale, niech wrócą ze swymi maszynami do okadzania zapowietrzonych, w zamian za wszystko, czego tylko zechcą, niech wrócą ze swymi białymi szpitalami, niebieskimi pastwiskami, wirującymi wodotryskami, niech dopełnią lata przestępne wiekami dobrego zdrowia, ale on uderzył w stół i zdecydował, że nie, pod jego pełną odpowiedzialnością, dopóki grubiański ambasador Mac Queen nie odpowiedział mu, że nie mamy już zamiaru dyskutować, ekscelencjo, pańskie rządy utrzymują się nie dzięki nadziei, konformizmowi czy choćby terrorowi, lecz jedynie dzięki zwykłej

250

sile bezwładu dawnego i nieuleczalnego złudzenia, proszę wyjść na ulicę i spojrzeć prawdzie w oczy, ekscelencjo, jesteśmy na ostatnim rozdrożu, albo desant piechoty morskiej, albo zabieramy morze, nie ma innego wyjścia, ekscelencjo, i nie było innego, matko, zabrali więc Morze Karaibskie w kwietniu, zabrali je w ponumerowanych częściach inżynierowie morscy ambasadora Evinga, by zasiał je daleko od huraganów, w krwawych jutrzenkach Arizony, zabrali je z wszystkim, co miało w sobie, panie generale, z odbłaskiem świateł naszych miast, naszymi nieśmiałymi topielcami, naszymi obłąkanymi smokami, mimo iż sięgnął do najzuchwalszych rejestrów swej tysiącletniej przebiegłości, usiłując wywołać narodową konwulsję protestu przeciw grabieży, nikogo to nie wzruszyło, panie generale, nie chcieli wyjść na ulicę ani z rozsądku, ani na siłę, bo myśleliśmy, że był to jego kolejny, jak tyle innych, fortel mający zaspokoić jego ponad wszelką miarę niepohamowaną pasję przetrwania, więc oby coś się stało, myśleliśmy, choćby mieli zabrać morze, a co, kurwa, choćby mieli zabrać całą ojczyznę z jej smokiem, myśleliśmy, głusi na sztukę perswazji wojskowych w cywilnym przebraniu zjawiających się w naszych mieszkaniach i błagających nas w imię ojczyzny, byśmy rzucili się na ulicę, krzycząc, precz z jankesami, w celu zapobieżenia grabieży, podżegali nas do plądrowania i podpalania sklepów i rezydencji cudzoziemców, płacili nam żywą gotówką, byśmy wyszli protestować pod ochroną wojska solidaryzującego się z narodem w obliczu agresji, ale nikt nie wyszedł, panie generale, gdyż nikt nie zapomniał, że innym razem powiedzieli nam to samo, ręcząc wojskowym słowem honoru, a mimo to zmasakrowali ich gradem ołowiu pod pretekstem, że wśród manifestantów znaleźli się prowokatorzy, którzy otworzyli ogień do

wojska, tym razem nie mamy co liczyć nawet na naród, panie generale, i musiałem sam na siebie wziąć brzemię tej kary, musiałem sam podpisać, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado, tylko ty wiesz, że lepiej jest zostać bez morza niż pozwolić na desant piechoty morskiej, przypomnij sobie, że to właśnie oni obmyślali rozkazy, które kazali mi podpisywać, oni robili pedałów z artystów, oni przywieźli Biblię i syfilis, kazali wierzyć ludziom, że życie jest łatwe, matko, że wszystko można zdobyć za pieniądze, że Murzyni niosą zarazę, próbowali przekonać naszych żołnierzy, że ojczyzna to interes i że poczucie honoru to duperela wymyślona przez rząd, żeby wojsko walczyło za darmo, i właśnie nie chcąc dopuścić do powtórzenia tylu szkód, przyznałem im prawo korzystania z naszych wód terytorialnych w formie, jaką uznają za najbardziej odpowiadającą interesom ludzkości i pokoju między narodami, z zaznaczeniem, że wspomniana cesja obejmuje nie tylko fizyczne wody widzialne z okna jego sypialni aż po horyzont, ale wszystko, co rozumie się przez morze w najszerszym znaczeniu, to znaczy faunę i florę właściwą wspomnianym wodom, system jego wiatrów, zmienność jego milibarów, wszystko, ale nigdy mi do głowy nie przyszło, że będą zdolni zrobić to, co zrobili, zabierając gigantycznymi drągami ssącymi ponumerowane śluzę szachownicy mojego starego morza, w którego rozszarpanym kraterze zobaczyliśmy wypływające na moment plamy zanurzonych szczątków bardzo starego miasta Santa Maria, zżartego przez termity, zobaczyliśmy flagowy korab wielkiego admirała mórz i oceanów, tak jak go widziałem z mojego okna, matko, to był ten sam, usidlony przez gąszcz krabów, który szczęki drąg wyrwały z korzeniami, zanim on zdążyłby zarządzić uroczystości godne historycznych wymiarów tego wraka,

252

zabrali wszystko, co było sensem moich wojen i racją jego władzy, i zostawili tylko pustynną równinę ponurego pyłu księżycowego, którą, przechodząc, widział przez okna, ze ściśniętym sercem wołając, matko moja, Bendición Alvarado, oświeć mnie swymi najmędrszymi światłami, w tamtych nocach schyłku budził go bowiem koszmar, że zmarli ojczyzny wstają ze swych grobów, żądając rachunków za morze, słyszał drapanie o mury, słyszał niepogrzebane głosy, czuł przerażenie pośmiertnych spojrzeń, tropiących przez dziurki od klucza ślady jego wielkich stóp konającego jaszczura w dymach ostatniego bagna ratunku dla mrocznego pałacu, bezustannie krążył w skrzyżowaniu późnych pasatów i fałszywych mistrali maszyny wiatrów, podarowanej mu przez ambasadora Eberhardta, by mnie) odczuwał fatalną transakcję z mo-

rzem, widział na szczycie skalnych urwisk samotne światło domu wypoczynkowego przygarniętych dyktatorów, którzy śpią jak siedzące bawoły, gdy ja tu cierpię, sukiny, przypomniał sobie chrapanie na dobranoc swojej matki, Bendición Alvarado, w podmiejskiej rezydencji, jej mocny sen ptaszniczki w pokoju oświetlonym bezsennością lebiodki, któż mógłby ją zastąpić, wzdychał, matkę szczęśliwie śpiącą, która nigdy nie dała się zastraszyć zarazie, nie dała się onieśmielić miłości, nie dała się sterroryzować śmierci, za to on był tak zatrwożony, że nawet błyskawice latarni morskiej bez morza, migocące w oknach, wydawały mu się brudne od zmarłych, uciekł przerażony z tego fantastycznego świetlika gwieźdnego, który rozpylał w swej orbicie wirującego koszmaru groźne wyziewy świetlistego pyłu szpiku zmarłych, zgasić ją, krzyknął, zgasili, rozkazał uszczelnić dom wewnątrz i z zewnątrz, by nie przedostawały się przez szpary drzwi i okien nawet skryte w innych zapachach najdrobniejsze

253

opary świerzbu nocnego powietrza śmierci, pozostał w ciemnościach, po omacku, z trudem oddychając w skwarze bez powietrza, czując, jak przechodzi w ciemnych lustrach, krążąc ze strachu, póki nie usłyszał tętentu racic w kraterze morza, i był to księżyc, który wznosił się razem ze swymi zleżałymi śniegami, straszny, zdjąć go, krzyknął, niech zgasną gwiazdy, kurwa, z Bożego rozkazu, ale nikt nie przybył na jego krzyki, nikt go nie usłyszał prócz paralityków budzących się z porażenia w dawnych urzędach, prócz ślepców na schodach, trędotawych okrytych perełkami rosy, którzy, ustępując mu drogi, stali wśród cierni pierwszych róż, by błagać o sól zdrowia z jego rąk, i wtedy właśnie stało się, niedowiarki z całego świata, zafajdani bałwochwalczy, stało się, iż przechodząc dotknął kolejno naszych głów, dotknął każdego z nas w miejscu naszych ułomności gładką i mądrą dłońią, która była dłońią prawdy, i kiedy nas tak dotykał, wracaliśmy do zdrowia na ciele i odczuwaliśmy ulgę na duszy, i odzyskaliśmy siłę i radość życia, i zobaczyliśmy ślepców oślepionych blaskiem róż, zobaczyliśmy ułomnych potykających się o stopnie schodów, i zobaczyliśmy oto tę moją własną skórę niemowlaka, którą pokazuję na wszystkich jarmarkach całego świata, by nikogo nie ominęła nowina o cudzie, i ta woń przedwcześnie dojrzałych lilii moich zagojonych ran, którą rozsiewam po całej powierzchni ziemi ku sromocie niewiernych i hańbie libertynów, wykrzykiwali to po miastach i po górach w fandangach i w procesjach, zamierzając przejąc tłumy lękiem w obliczu cudu, nikt jednak nie myślał, by mogło to być prawdą, myśleliśmy, że to kolejny, jeden z wielu dworzan wysyłanych na wieś ze starą bandą szarlatanów, usiłujący przekonać nas do ostatniej rzeczy, w jaką pozostało nam wierzyć,

w to, że przywrócił skórę trędowatym, światło ślepcom, zwinność paralitykom, myśleliśmy, że to ostatnia próba rządu, by zwrócić uwagę na nieprawdopodobnego prezydenta, którego gwardia osobista była ograniczona do patrolu rekrutów wbrew jednogłośnej opinii Rady Ministrów, twierdzącej uporczywie, że nie, panie generale, niezbędna jest ostrzejsza ochrona, przynajmniej oddział strzelców, panie generale, ale on obstawał przy swoim, że nikt nie ma ani potrzeby, ani ochoty mnie zabić, wy, panowie, jesteście jedynymi, wy, moi bezużyteczni ministrowie, wy, moi beczynni dowódcy, tyle że panowie nie mają odwagi mnie zabić i nigdy jej mieć nie będą, bo wiedzą, że później będą się musieli wzajem pozabijać, w rezultacie jedynie gwardia rekrutów pozostała w wymarłym domu, gdzie krowy chodziły własnymi ścieżkami od pierwszego westybulu po salę audiencyjną, zjadły kwieciste łąki gobelinów, panie generale, zjadły archiwa, ale on nie słyszał, pierwszą wchodzącą po schodach krowę zobaczył pewnego październikowego popołudnia, gdy na dworze nie sposób było wytrzymać furii ulewy, próbował ją wypędzić rękami, a pójdiesz ty, krowo, przypominając sobie moja krówka ryku ryku, innym razem zobaczył ją pożerającą abażury lamp w tej epoce swego życia, w której zaczynał rozumieć, że nie warto podchodzić do schodów, żeby wypłoszyć krowę, napotkał dwie w sali bankietowej, rozdrażnione przez kury siedzące im na grzbietach, by wydziobywać kleszcze, jeżeli więc widzieliśmy w owe noce światła podobne do świateł nawigacyjnych i jeśli dochodziły nas gromy racie wielkiego zwierzęcia zza ufortyfikowanych murów, to dlatego, że chodził z morską lampą sztormową, walcząc z krowami o byle kątek do spania, gdy na zewnątrz nieprzerwanie płynęło życie publiczne bez niego, codziennie

255

widzieliśmy w gazetach rządowych fikcyjne zdjęcia z audiencji cywilnych i wojskowych, na których pokazywano go w różnych mundurach, zależnie od charakteru okazji, słyszeliśmy przez radio przemówienia powtarzane rokrocznie od tylu już lat w wielkie rocznicowe święta ojczyzny, był obecny w naszym życiu, kiedy wychodziliśmy z domu, kiedy wchodziliśmy do kościoła, kiedy jedliśmy i kiedy spaliśmy, gdy wiadomo było powszechnie, że ledwie mógł chodzić w swych wiejskich butach zatwardziałego wędrowca po tej ruderze, której służba ograniczała się wówczas do trzech lub czterech ordynansów, karmiących go i dbających o dobre zaopatrzenie schowków w pszczeli miód, i odpędzających skutecznie krowy, które uczyniły pustki w Sztapie Głównym porcelanowych marszałków zakazanego urzędu, gdzie miał

umrzeć według jakiejś przepowiedni wróżek, o której on sam zapomniał, byli czujni na jego przypadkowe rozkazy, póki nie zawiesił lampy nad drzwiami i nie usłyszeli huku trzech sztab, trzech rygla, trzech zasuw z rozrzedzonej brakiem morza sypialni, i wtedy wracali do swych pokoi na parterze, przekonani, że pozostawiają go na łasce jego snów samotnego topielca aż do świtu, ale nieoczekiwanie zrywał się ze snu, pędził na pastwiska bezsenności, powlókł swymi wielkimi stopami widma po tonącym w mrokach ogromnym domu, gdzie ciszę zakłócało jedynie leniwe przeżuwanie krów i stłumiony oddech kur śpiących na wieszakach wicekrólów, słyszał księżycowe wiatry w ciemnościach, czuł kroki czasu w ciemnościach, widział swą matkę, Bendición Alvarado, zamiatającą w ciemnościach tą samą miotłą z zielonych witek, którą zmiotła strzepy osmalonych i sławnych mężów Corneliusa Neposa w oryginalnym tekście, niepamiętną retorykę Liwiusza Andronikusa i Cecyliusza Stacjusza, ograniczonych do

256

roli urzędowych śmieci w noc krwi, gdy po raz pierwszy wszedł do bezpieczeństwa domu władzy, gdy na zewnątrz broniły się ostatnie samobójcze barykady znamienitego latynisty, generała Lautaro Muñoza, którego niech Bóg ma w swoim świętym królestwie, przecięli dziedziniec oświetlony luną płonącego miasta, przeskakując przez martwe tłumoki osobistej gwardii światłego prezydenta, on wstrząsany dreszczami malarii, a jego matka, Bendición Alvarado, uzbrojona jedynie w miotłę z zielonych witek, weszli po schodach, od pierwszego westybulu po salę audiencyjną potykali się w ciemności o trupy koni ze wspaniałej prezydenckiej stajni, które jeszcze krwawiły, wewnątrz zamkniętego domu nie sposób było oddychać z powodu kwaśnego odoru końskiej krwi, zobaczyliśmy w korytarzach bosa ślady stóp zakrwawionych końską krwią, zobaczyliśmy na ścianach odbite w końskiej krwi dłonie i zobaczyliśmy w jeziorze krwi sali audiencyjnej wykrwawione ciało pięknej florentynki w wieczorowej sukni, z szablą wbitą w serce, a była to żona prezydenta, i zobaczyliśmy u jej boku trupa dziewczynki, która zdawała się mechaniczną nakręconą tancerką z kulą pistoletu w czole, a była to jego dziewięcioletnia córka, i zobaczyli trupa garybaldzkiego cezara, prezydenta Lautara Muñozy, najzdolniejszego, najbardziej utalentowanego z czternastu generałów federalistów, kolejno przejmujących w ciągu jedenastu lat ster władzy w wyniku kolejnych zamachów, krwawych rywalizacji, ale i jedyne-go, który odważył się powiedzieć konsulowi Anglików w jego własnym języku, że nie, i leżał teraz jak zajac, bosy, odpokutowując swoją odwagę z czaszką rozłupaną kulą z pistoletu, którą wpakował sobie w usta, po zabiciu swojej żony i córki, i swoich czterdziestu dwóch andaluzyjskich koni, by nie wpadły w ręce karnej ekspedycji

eskadry brytyjskiej, i wówczas to komendant Kitchener powiedział mi, wskazując trupa, że sam widzisz, generale, tak właśnie kończą ci, którzy podnoszą rękę na własnego ojca, żebyś nie zapomniał o tym, gdy będziesz w swoim królestwie, powiedział mu, chociaż już w nim był, po tylu nocach bezsennej oczekiwania, tylu powstrzymywanych wściekłościach, tylu przetrawionych w sobie poniżeniach, już w nim był, matko, proklamowany najwyższym dowódcą trzech rodzajów broni i prezydentem republiki na czas potrzebny do zaprowadzenia ładu i równowagi ekonomicznej narodu, tak postanowili jednogłośnie wodzowie federacji za całkowitą zgodą senatu oraz izby deputowanych i przy poparciu brytyjskiej eskadry, za tyle moich i tak trudnych nocnych gier z konsulem Macdonaldem, tylko że na początku ani ja, ani nikt, oczywiście, w to nie wierzył bo któż by uwierzył w tumult tamtej strasznej nocy, jeśli nawet Bendición Alvarado na swym łożu gnicia nie mogła jeszcze w to uwierzyć, gdy przywoływała wspomnienie syna, który nie wiedział, od czego ma zacząć rządy w tym bałaganie, nie mogli znaleźć przeciw gorączce żadnego zioła w tym ogromnym domu bez mebli, w którym nie pozostało nic wartościowego prócz zżartych przez mole olejnych portretów wicekrólów i arcybiskupów zmarłej wielkości Hiszpanii, całą resztę stopniowo zabierali z sobą do swych prywatnych posiadłości poprzedni prezydenci, na ścianach nie zostawili nawet śladu po tapetach bohaterskich epizodów, pokoje pełne były koszarowych odpadków, wszędzie widać było zapomniane resztki historycznych jatek i hasła wypisane krwawym palcem przez złudnych prezydentów jednej nocy, ale nie było choćby jednej, jedynej maty, żeby położyć się i wypocić gorączkę, jego matka, Bendición Alvarado,

258

zerwała więc zasłonę, by mnie w nią owinąć, i zostawiwszy go leżącego w kącie na głównych schodach, zabrała się do zamiatania miotłą z zielonych witek prezydenckich pomieszczeń, które kończyli plądrować Anglicy, zamiotła całe piętro, broniąc się miotłą przed tą bandą flibustierów, którzy usiłowali ją zgwałcić za drzwiami, i tuż przed świtem usiadła, by odpocząć przy synu wycieńczonym przez dreszcze, owiniętym w pluszową zasłonę, zlanym strumieniami potu na ostatnim stopniu głównych schodów zrujnowanego domu, podczas gdy ona usiłowała obniżyć mu gorączkę swymi łatwymi rachubami, że nie daj się zahukać przez ten bałagan, synu, trzeba tylko kupić kilka skórzanych zydli, tych najtańszych, i namaluje się na nich kolorowe kwiatki i zwierzęta, ja sama je namaluję, mówiła, trzeba tylko kupić kilka hamaków na wypadek jakichś wizyt, to przede wszystkim, hamaki, bo do takiego domu, jak ten, to chyba często przychodzą z wizytami o każdej godzinie bez zapowiadania, mówiła, kupi się taki ko-

ścielny stół do jedzenia, kupi się żelazne nakrycia i talerze z tombaku, żeby wytrzymały wojskowe maniery, kupi się jakiś porządny dzban do wody pitnej i piecyk na węgiel, i starczy, bądź co bądź to rządowe pieniądze, mówiła, chcąc go pocieszyć, ale on nie słuchał jej, zgnębiony pierwszymi malwami świtu oświetlającymi do żywego mięsa drugą stronę prawdy, świadom, że nie jest niczym więcej jak godnym pożałowania, siedzącym na schodach starcem, który trzęsie się z gorączki i myśli bez miłości, matko moja, Bendición Alvarado, a więc to było to całe świństwo, kurwa, a więc władzą był ten dom rozbitków, ten ludzki zapach spalonego konia, to ta ponura jutrzienka innego dwunastego sierpnia, takiego samego jak wszystkie, była datą władzy, matko,

259

w jakie gównno żeśmy wdepnęli, i doświadczał nieznanego niepokoju, atawistycznego strachu przed nowym wiekiem ciemności, wznoszącym się nad światem bez jego zezwolenia, nad morzem piałą koguty, Anglicy gdakali po angielsku, zbierając z dziedzińca trupy, gdy jego matka, Bendición Alvarado, skończyła radosne rachunki z saldem ulgi, że nie przeraża mnie to, co trzeba będzie kupić, ani to, co trzeba będzie zrobić, nic a nic, synu, przeraża mnie tylko, ile w tym domu trzeba będzie prać prześcieradeł, i wówczas właśnie oparł się na sile swojego rozczarowania, usiłując ją pocieszyć, że możesz spać spokojnie, matko, w tym kraju nie ma prezydenta, który by się utrzymał, powiedział jej, sama zobaczysz, że mnie obalą, nim upłynie piętnaście dni, powiedział jej i nie tylko wówczas w to uwierzył, ale w każdej chwili wszystkich godzin swego tak długiego życia zakorzenionego despoty wierzył w to nadal, tym bardziej iż życie go przekonywało, że długie lata władzy nie przynoszą dwóch identycznych dni, że w zamiarach premiera zawsze będzie się krył jakiś ukryty cel, kiedy ten w rutyniarskim, środowym sprawozdaniu pozwalał wybuchnąć oślepiającej prawdzie, a on ledwie uśmiechał się, proszę mi nie mówić prawdy, magistrze, bo ryzykuje pan, że w nią uwierzę, tym jednym zdaniem burząc całą mrówczą strategię Rady Ministrów, obmyśloną po to, by spróbować, czy podpisze bez pytania, nigdy bowiem nie wydawał mi się tak trzeźwy jak wówczas, gdy coraz bardziej wiarygodne stawały się pogłoski o tym, że bezwiednie załatwia się w spodnie podczas oficjalnych wizyt, wydawał mi się tym groźniejszy, im bardziej zanurzał się w spokojnych wodach starości, w pantoflach beznadziejnie chorego i w binoklach z jednym tylko przywiązany nitką uchwytem, jego charakter zaś stawał się żywszy, a instynkt pewniejszy, by

260

odrzucić to, co niewłaściwe, i podpisywać to, co należało,

bez czytania, bo co, kurwa, i tak nikt się ze mną nie liczy, uśmiechał się, no i proszę, rozkazałem ustawić w sieni zasieki, żeby krowy nie włąziły na schody, i znowu tu są, a pójdiesz, krowo, wsadziła pysk przez okno urzędu i wyjadała papierowe kwiaty z ołtarza ojczyzny, ale on ledwie się uśmiechnął, sam pan widzi, że mam rację, panie magistrze, ten kraj jest dlatego taki spierdolony, że nikt się nigdy ze mną nie liczył, mówił, a mówił to z nieprawdopodobną w jego wieku jasnością umysłu, aczkolwiek ambasador Kipling pisał w swych zakazanych pamiętnikach, że w tej, mniej więcej, epoce ujrzał go w żalonym stanie starczej nieświadomości, która sprawiała, że nie umiał sobie poradzić z najbardziej dziecinnymi rzeczami, pisał, że ujrzałem go spływającego jakąś słoną materią, nieustannie dobywającą się z jego skóry, że przybrał nieludzkie rozmiary topielca i stateczną łagodność dryfującego topielca, i rozpiął sobie koszulę, by pokazać mi wzdęte i świetliste ciało topielca ładu stałego, w którego zakamarkach rozmnażały się pasożyty raf z morskiego dna, jego plecy pokryte były okrętowymi remorami, miał polipy i mikroskopijne skorupiaki pod pachami, ale był przekonany, że te narośle podwodnych skał są zaledwie pierwszymi symptomami dobrowolnego powrotu morza, które panowie zabraliście, mój kochany Johnson, bo morza są jak koty, powiedział, zawsze wracają, przekonany, że ławice krabów spod jego pach to sekretna zapowiedź szczęśliwego świtu, kiedy miał otworzyć okno w swojej sypialni i znowu zobaczyć trzy karawele admirala mórz i oceanów, którego szukał po całym świecie do upadłego, by zobaczyć, czy prawdą jest to, co powiedzieli, że miał ręce gładkie jak tamten, i tylu innych wielkich w historii, kazał go sprowadzić choćby siłą, kiedy inni

261

żeglarze oznajmili mu, że widzieli go, jak kartuje niezliczone wyspy sąsiednich mórz, zamieniając na imiona królów i świętych ich stare imiona wojskowych, w rzeczywistości szukając w wiedzy tubylczej tylko tego, co go naprawdę interesowało, czyli jedynie driakwi mogącej go ochronić przed dalszym łysieniem, straciliśmy już nadzieję spotkania się z nim ponownie, kiedy rozpoznał go z prezydenckiej limuzyny, ukrywającego się w szarym habicie, przewiązanym w pasie sznurem świętego Franciszka, wymachującego kołatką pokutnika wśród niedzielnych tłumów na publicznym targu i pogrążonego w takiej nędzy moralnej, iż nie sposób było uwierzyć, że to ten sam, którego widzieliśmy, jak wchodzi do sali audiencyjnej w karmazynowym mundurze, złotych ostrogach, uroczystym krokiem homara na stałym lądzie, ale kiedy na jego rozkaz usiłovali sprowadzić go do limuzyny, nie znaleźliśmy nawet śladu, panie generale, zapadł się pod ziemię, mówiono, że stał się muzułmaninem, że umarł na pelagrę w Senegalu i został pogrzebany w trzech różnych grobach trzech różnych miast świata, chociaż w rzeczywistości nie było go w żadnym z nich, skazany na błąkanie

się od grobu po kres wieków z powodu zezowatego szczęścia swoich przedsięwzięć, bo to był Jonasz, panie generale, przynosił więcej pecha niż złoto, ale on nie uwierzył w to nigdy, nadal oczekiwał jego powrotu w dogorywających ostatkach swej starości, kiedy minister zdrowia pincetą wyrywał mu z ciała wołowe kleszcze, a on upierał się, że to nie kleszcze, doktorze, to morze wraca, mówił, tak pewny swego, że minister zdrowia wielokrotnie myślał, że nie był on ani tak głuchy, jak to nam wmawiał, ani tak roztargniony, jak im się wydawał podczas kłopotliwych audiencji, choć drobiazgowo badania wykazały, że miał tętnice ze szkła, miał pokłady plażowe-

262
 go piasku w nerkach i serce pęknięte z braku miłości, stary lekarz schronił się więc w skorupę wypróbowanej, przyjacielskiej zażyłości, by powiedzieć mu, że już nadszedł czas, żeby spasować, panie generale, proszę przynajmniej rozstrzygnąć, w czyich rękach nas pan zostawi, powiedział mu, a oszczędzi nam późniejszego bajzlu, ale on zapytał ze zdziwieniem, kto to powiedział, że mam zamiar umrzeć, mój kochany doktorze, niech umierają inni, a co, kurwa, i zakończył kpiarskim tonem, że onegdaj w nocy zobaczyłem siebie samego w telewizji, i to w formie jak nigdy znakomitej, jak byk gotowy do walki, powiedział, konając ze śmiechu, widział siebie jak przez mgłę, siedząc z opadającą wskutek senności głową, obwiązaną mokrym ręcznikiem, przed ekranem bez dźwięku, tak jak miał to w zwyczaju podczas swych ostatnich wart w samotności, rzeczywiście był bardziej agresywny niż byk gotowy do walki wobec uroku pani ambasador Francji, a może to była pani ambasador Turcji albo Szwecji, a co, kurwa, tyle ich było, w dodatku identycznych, że ich nie rozróżniał, i minęło tyle czasu, że nie przypominał siebie samego pośród tych pań, w galowym mundurze i z kieliszkiem nietkniętego szampana w dłoni, podczas święta z okazji rocznicy 12 sierpnia lub obchodów zwycięstwa z 14 stycznia, czy odrodzenia z 14 marca, a skąd ja mam o tym wiedzieć, jeśli w galimatiasie historycznych dat własnych rządów zagubił się do tego stopnia, że nie wiedział, kiedy było które ani czym które było, do niczego mu już nie służyły zwinięte papierki, które tak sprytnie i tak starannie ukrył w szczelinach ścian, gdyż zapomniał w końcu, co miał zapamiętać, przypadkowo znajdował je w schowkach pszczelego miodu i przeczytał raz, że 7 kwietnia ma urodziny doktor Marcos de Leon, trzeba mu posłać w prezencie jaguara, przeczytał własnoręcznie przez niego

263

napisane słowa, nie mając najmniejszego pojęcia, o kogo chodzi, czując, że nie ma bardziej poniżającej i niesprawiedliwej kary dla człowieka niż zdrada jego własnego ciała, zaczął to przeczynać na wiele lat przed niepamiętnymi czasami Jose Ignacia Saenza de la Barra, gdy

uświadomił sobie, iż za ledwie wie, kto jest kim na zbiorowych audiencjach, człowiek taki jak ja, który mógł zwrócić się po imieniu i nazwisku do całej wsi, choćby najodleglejszej w jego bezkresnym królestwie zgryzoty, a mimo to znalazł się w sytuacji skrajnie przeciwnej, dostrzegł z karocy w tłumie znajomego chłopca i tak był przestraszony tym, że nie pamięta, gdzie go przedtem widział, iż kazałem go trzymać w areszcie, dopóki sobie nie przypomnę biednego człowieka z gór, który 22 lata siedział w więzieniu, powtarzając prawdę ustaloną już pierwszego dnia w śledztwie, że nazywa się Braulio Linares Moscote, że jest naturalnym, ale uznanym synem Marcosa Linaresa, marynarza słodkich wód, i Delfiny Moscote zajmującej się hodowlą psów myśliwskich na jaguary, zamieszkałych pod znanym adresem w Rosal del Virrey, że po raz pierwszy był w mieście stołecznym tego królestwa, bo jego matka wysłała go, by sprzedał dwa szczeniaki podczas marcowego korsa, że przyjechał na pożyczonym osle, nie mając z sobą innego ubrania niż to, jakie miał na sobie o świcie tego samego czwartku, kiedy go aresztowano, że w jednym z baraków publicznego targu pił gorzką kawę, pytając sprzedawczyń, czy nie znają kogoś, kto chciałby kupić dwa skrzyżowane szczeniaki do polowania na jaguary, że one odpowiedziały, że nie, gdy nagle zaczęła się kocia muzyka bębnow, trąbek, petard, ludzi, którzy krzyczeli, że już nadchodzi człowiek, już, już nadchodzi, że zapytał, co to za człowiek, i odpowiedziały mu, że któż by inny, ten, co

264

rządzi, że wsadził szczeniaki do skrzynki, żeby sprzedawczyni były takie łaskawe i popilnowały ich, dopóki nie wrócę, że wszedł na okienny parapet, żeby popatrzeć nad głowami zbiegowiska, i zobaczył orszak koni w złotych czaprakach i szyszakach z piór, zobaczył karoce ze smokiem ojczyzny, pozdrowienie dłoni w atlasowej rękawiczce, sine oblicze, milczące, pozbawione uśmiechu usta człowieka, który rządził, smutne oczy, co znalazły go nagle niczym igłę w stogu innych igieł, palec, co w niego wycelował, tamten, ten stojący na parapecie, aresztować go, dopóki sobie nie przypomnę, gdzie go widziałem, rozkazał, więc złapali mnie, zdzielili pięściami, bijąc płazem szabli, zdarli mi skórę, przypiekali mnie na ruszcie, żebym wyznał, gdzie mnie przedtem widział człowiek, który rządził, ale w przerażającej celi portowej twierdzy nie zdołali wydobyć z niego innej, prócz jedynej prawdziwej prawdy i powtarzał ją z takim przekonaniem i z taką osobistą odwagą, iż on uznał w końcu, że się pomylił, ale teraz nie ma wyjścia, powiedział, bo potraktowali go tak źle, że jeśli nawet nie był wrogiem, to teraz nim jest, biedaczysko, w rezultacie zgnił żywcem w więzieniu, podczas gdy ja krążyłem po tym domu cieni, myśląc, matko moja, Bendición Alvarado moich

dobrych czasów, wspomóż mnie, spójrz, w jakim jestem stanie bez osłony twego okrycia, wołając w samotności, że nie warto było przeżyć tylu blasków chwały, skoro nie potrafił wywołać wspomnień o nich, by żywić się nimi, w nich znaleźć ukojenie i dzięki nim móc nadal żyć w bagniskach starości, gdyż najdotkliwsze nawet bóle i najszcześniejsze chwile jego wielkich czasów wyciekły mu bezpowrotnie rynnami pamięci, mimo jego naiwnych prób udaremnienia tego tamponami zwiniętych papierków, był ukarany, ponieważ nigdy nie dowie się,

265

kim była owa dziewięćdziesięciosześcioletnia Francisca Linero, którą kazał pochować z honorami królowej, zgodnie z inną notatką napisaną jego ręką, skazany na rżnięcie po omacku ze schowanymi w szufladzie biurka, jedenastoma parami zbędnych binokli, by zataić, że w rzeczywistości rozmawiał z widmami, których głosów nie był zdolny nawet rozpoznać, których tożsamość odgadywał instynktownie, znajdując się w stanie bezbronności, którego największe niebezpieczeństwo w pełni zrozumiał na jednej z audiencji udzielonej ministrowi wojny, podczas której miał nieszczęście kichnąć raz, a minister powiedział mu, na zdrowie, panie generale, i kichnął drugi raz, i minister wojny znów powiedział, na zdrowie, panie generale, i jeszcze raz, na zdrowie, panie generale, ale po dziewięciu kolejnych kichnięciach nie tylko, że nie powiedziałem mu już na zdrowie, panie generale, lecz byłem przerażony groźbą w tej twarzy zeszpeconej osłupieniem, zobaczyłem oczy zalane łzami, które bezlitośnie splunęły na mnie z trzęsawiska agonii, zobaczyłem język wisielca zgrzybiałej bestii, umierającej na moich rękach, bez jednego bodaj świadka mojej niewinności, bez nikogo, tylko o jednym myślałem, jakby tu zwiąć z gabinetu, nim będzie za późno, ale udaremnił mi ucieczkę podmuchem autorytetu, wrzeszcząc na mnie między jednym a drugim kichnięciem, nie bądźcie tchórzem, brygadierze Rosendo Sacristan, stać spokojnie, kurwa, bo nie jestem takim kutasem, żeby umierać w waszej obecności, krzyknął, i tak było, bo nadal kichał aż po próg śmierci, unosząc się w przestrzeni niewiedzy zaludnionej świetlikami południa, ale uciepiony przeświadczenia, że jego matka, Bendición Alvarado, zaoszczędzi mu hańby śmierci od ataku kichania w obecności podkomendnego, niedoczekanie, prędzej umrzeć niż dać się poniżyć, lepiej żyć

266

z krowami niż z ludźmi, co pozwalają człowiekowi umrzeć bez honoru, a co, kurwa, skoro nie dyskutował już o Bogu z nuncjuszem papieskim, by ten nie zauważył, że pije czekoladę łyżką, i nie grał już w domino z obawy, że ktoś odważyłby się przegrać z litości, bo nie chciał już

nikogo widzieć, matko, żeby nikt nie odkrył, że mimo drobiazgowej kontroli swego własnego zachowania, mimo manii, by nie powłóczyć płaskimi stopami, którymi, bądź co bądź, zawsze powłóczył, mimo zażenowania latami, czuł się na skraju żalostnej przepaści ostatnich dyktatorów w niełasce, trzymany w domu skał nadmorskich, bardziej pod strażą niż pod opieką, by nie zanieczyszczali świata zarazą swojego bezwstydu, doznał tego uczucia w samotności owego złego ranka, gdy zasnął w basenie, kąpiąc się w wodach leczniczych, śniłem o tobie, matko, śniłem, że to ty robiłaś świerszcze, które pękały od tego gwizdania nad moją głową między okwieconymi gałęziami migdałowców rzeczywistego życia, śniłem, że to ty malowałaś swoimi pędzelkami kolorowe włosy wilg, kiedy obudził się gwałtownie zaskoczony niespodziewanym beknięciem swoich wnętrzości zanurzonych w wodzie, matko, obudził się czerwony z wściekłości w zdeprawowanym moją hańbą basenie, na którego wodach unosiły się aromatyczne lotosy, lebiodki i malwy, unosiły się świeżo opadłe z drzewa pomarańczowego kwiaty, unosiły się żółwie rozradowane nowiną archipelagu złożonych i świeżych bobków pana generała w pachnących wodach, o cholera, ale przeżył zarówno tę, jak i wiele innych nikczemności wieku i ograniczył do minimum skład służby, chcąc przeciwstawić się im bez świadków, nikt nie miał widzieć, jak błędził bez celu po bezpieczeństwa domu całymi dniami i nocami całymi, z głową owiniętą nasączonymi kamforą szmatami, skowycząc z rozpacz do ścian,

267

targany mdłościami od mirry, oszalały od nieznośnego bólu głowy, o którym nigdy nie wspomniał nawet swemu osobistemu lekarzowi, wiedział bowiem, że to jeszcze jeden z tylu zbędnych bólów starości, czuł go, jak nadchodzi niczym grzmot kamieni, o wiele wcześniej, nim pojawiły się na niebie ołowiane chmury burzy, i rozkazywał, żeby nikt mi nie przeszkadzał, ledwie w skroniach zaczęło obracać się imadło, żeby nikt nie wchodził do tego domu, choćby się paliło i waliło, rozkazywał, czując trzask kości czaszki za drugim obrotem imadła, nawet Pan Bóg, gdyby raczył przyjść, rozkazywał, nawet gdybym umarł, kurwa, ślepy od tego bezdusznego bólu, który nie dawał mu chwili wytchnienia, nie pozwalał myśleć, aż po ostatni kres wieków rozpaczy, kiedy to zrywało się błogosławieństwo deszczu, i wtedy wołał nas, znajdowaliśmy go nowo narodzonego, ze stolikiem gotowym do kolacji, przed niemym ekranem telewizora, podawaliśmy mu duszone mięso, fasolę ze słoniną, ryż z kokosem, plasterki smażonego banana, kolację w jego wieku niepojętą, której pozwalał ostygnąć, nie spróbowa-
wszy jej nawet, oglądając w telewizji ten sam nadprogramowy film, wiedząc, że rząd chce przed nim coś ukryć, skoro znów nadali ten sam program zamkniętego obiegu,

nie spostrzegłszy nawet, że szpule filmu były przemieszane, o kurwa, mówił, usiłując zapomnieć to, co chcieli przed nim ukryć, gdyby to było coś gorszego, już by było wiadomo, mówił, chrapiąc nad podaną kolacją, póki dzwony katedry nie wybiły ósmej, wtedy wstawał z nietkniętym talerzem w rękę i wyrzucał jedzenie do klozetu, jak w każdą noc o tej godzinie już od bardzo dawna, by zataić swój poniżający stan, w którym żołądek niczego nie przyjmuje, by zagadać legendami swych czasów chwały urazę żywioną wobec samego siebie, ilekroć zmuszony

268

był do obmierzłych słabostek starca, by zapomnieć, że ledwie żyje, że to on, nikt tylko on wypisuje na ścianach ubikacji, niech żyje generał, niech żyje byczy chłop, że wypija po kryjomu znachorski napój, by móc kochać się w ciągu jednej nocy, ile razy zapragnie, a nawet trzy razy za każdym razem, z trzema różnymi kobietami, i zapłacił za tę starczą łatwowierność łzami wściekłości raczej niż bólu, uczepony uchwytów w ubikacji, płacząc, matko moja, Bendición Alvarado mego serca, znienawidź mnie, oczyść mnie twoimi wodami ognia, dumnie znosząc karę za tę naiwność, zbyt dobrze bowiem wiedział, że czego brakowało mu wówczas i czego zawsze brakowało mu w łóżku, to nie honoru, lecz miłości, brakowało mu kobiet mniej jałowych od tych, które podsuwał mi mój kum, sekretarz stanu, bym nie stracił dobrych nawyków od czasu, gdy zamknęli sąsiednią szkołę, samiczki z krwi i kości, wyłącznie dla pana, panie generale, przysłane samolotem z oficjalnym zwolnieniem od cła, prosto z witryn Amsterdamu, z festiwali filmowych Budapesztu, z morza Włoch, panie generale, proszę popatrzeć, co za cuda, najpiękniejsze z całego świata, które w półmroku gabinetu znajdował siedzące ze skromnością nauczycielek śpiewu, rozbierały się jak artystki, kładły się na pluszowej kanapie z odbitymi w negatywie na ciepłej skórze w kolorze złotej melasy ramiączkami kostiumu kąpielowego, pachniały miętową pastą do zębów, kwiatami ze słoiczka, leżąc przy olbrzymim słoni z cementu, który nie chciał zdjąć z siebie munduru, gdy próbowałam ośmielić go moimi najkunsztowniejszymi sposobami, póki nie poczuł, że ma dość ponaglań tej halucynacyjnej piękności śniętej ryby, i powiedziałem jej, że wystarczy tego, córko, idź do klasztoru, tak zdeprymowany swą własną gnuśnością, że tego wieczoru punktualnie z wybiciem ósmej zaskoczył

269

jedną z kobiet, zajmujących się bielizną żołnierzy, i jednym szarpnięciem powalił ją na koryto do prania, chociaż próbowała umknąć wykrętem przestרחu, że dzisiaj nie mogę, generale, proszę mi wierzyć, dzisiaj mam wampirka, ale on na deskach do prania przekreślił ją na brzuch i posiał

w niej nasienie swe od tyłu z biblijnym impetem, który biedna kobieta poczuła w duszy chrzestem śmierci, i wysapała, co za dzikus, generale, pan chyba sposobił się na osła, a on poczuł się bardziej połączony tym skowytom bólu niż najbardziej frenetycznymi dytyrambami pochlebców z urzędu, i przyznał pracze dożywotnią pensję na naukę jej dzieci, znów po tylu latach zaśpiewał, gdy w oborach zadawał krowom paszy, lśniący księżycu styczniowy, śpiewał, nie myśląc o śmierci, albowiem nawet w ostatnią noc swojego życia nie miał pozwolić sobie na słabość pomyślenia o czymś, co nie byłoby jego chlebem powszednim, znów dwukrotnie policzył krowy, śpiewając, jesteś światłem mej ciemnej drogi, jesteś mą gwiazdą polarną, i stwierdził, że brakowało czterech, wrócił do domu, licząc po drodze kury śpiące na wieszakach wicekrólów, zasłaniał klatki śpiących ptaków, które przeliczał, nakładając na nie płócienne pokrowce, czterdzieści osiem, podłożył ogień pod łajno rozrzucone w ciągu dnia przez krowy od pierwszego westybulu po salę audiencyjną, przypomniał sobie dalekie dzieciństwo, które po raz pierwszy było jego własnym obrazem dygotającego od mrozu płaskowyżu i obrazem jego matki, Bendición Alvarado, na obiad wyrywającej sępom ze śmietniska baranie trzewia, wybiła jedenasta, kiedy raz jeszcze obszedł w odwrotnym kierunku cały dom, przyświecając sobie lampą, gdy gasił światła, aż w westybulu, zobaczył siebie samego, jednego za drugim, aż do czternastu powtórzonych generałów, przechodzących z lampą

270

w ciemnych zwierciadłach, zobaczył krowę leżącą do góry brzuchem z rozłożonymi nogami w głębi zwierciadła sali koncertowej, a pójdziesz ty, krowo, powiedział, była martwa, a niech ją, przeszedł przez dyżurkę gwardii, by powiedzieć im, że wewnątrz zwierciadła leży zdechła krowa, kazał wynieść ją jutro z samego rana, bezzwłocznie, zanim w domu będzie pełno sępów, rozkazał, dokładnie przebadał w świetle lampy dawne urzędy na parterze, szukając innych zagubionych krów, znalazł trzy, szukał ich w ubikacjach, pod stołami, wewnątrz każdego ze zwierciadeł, przeszukując pokoje, obszedł główne piętro, pokój za pokojem, i znalazł tylko kure leżącą pod moskitierą z różowej koronki nowicjuszek z innych czasów, której imienia zapomniał, wypił łyżkę pszczelego miodu na przed zaśnięciem, odstawił słoik do schowka, gdzie znajdował się jeden z jego papierków z datą którejś rocznicy urodzin znakomitego poety Rubena Dano, niech Bóg posadzi go na najwyższym stolcu swego świętego królestwa, wsunął papier z powrotem, zwinąwszy go, odmawiając z pamięci właściwą modlitwę, ojczyźnie i mistrzu magiczny, liroduchu niebiański, który niesiesz aeroplany powietrzem i transatlantyki morzem, powłóczę swymi wielkimi nogami bezsennego skazańca w ostatnich ulot-

nych brzaskach zielonych świtów obrotu latarni morskiej, słyszał wiatry w żalu za morzem, które odeszło, słyszał widmo muzyki orkiestry weselnej z zabawy, na której w chwili boskiej nieuwagi był o krok od zadanej w plecy śmierci, znalazł zabłąkaną krowę i, nie zbliżając się, przeciął jej drogę, a pójdiesz, krowo, wrócił do sypialni, przechodząc koło okien, widział rój świateł miasta bez morza, we wszystkich oknach, poczuł ciepły opar tajemnicy jego trzewi, sekret jednogłośnego oddechu, nie zatrzymując się, przyjrzał mu się dwadzieścia trzy razy i doznał na

271

zawsze, jak zawsze, udręki niepewności rozległego i niezgłębionego oceanu śpiącego z ręką na sercu narodu, poczuł się znienawidzony przez tych, którzy najbardziej go kochali, poczuł się oświetlony świecami świętych, poczuł swe imię wzywane po to, by ulżyć doli położnic i odmienić los konających, poczuł swą pamięć wysławianą przez tych samych, którzy złorzeczyli jego matce, gdy widzieli milczące oczy, smutne usta, dłoń zamyślanej panny młodej za szybami z przezroczystej stali z odległych czasów lunatycznej limuzyny, i całowaliśmy ślad jego buta w błocie, i posyłałiśmy mu zaklęcia chroniące go od złej śmierci w upalne noce, gdy z naszych podwórzy widzieliśmy błędne światła w bezdusznych oknach cywilnej rezydencji, nikt nas nie kocha, westchnął, stojąc na progu dawnej sypialni ptaszniczki, bezsilnej malarki wilg, swojej matki, Bendición Alvarado z zaśniedziałym ciałem, dobrej śmierci, matko, powiedział jej, dobrej śmierci, synu, odpowiedziała mu z krypty, była punkt dwunasta, kiedy raniony w trzewia śmiertelnym skrętem przeraźliwych gwizdów straszliwej przepukliny zawiesił lampę nad drzwiami, nie było innej przestrzeni na świecie prócz przestrzeni jego bólu, zasunął trzy sztaby sypialni po raz ostatni, zasunął trzy rygle, trzy zasuwy, doznał ostatniej udręki ofiary oddania skąpego moczu na polowym sedesie, rzucił się na gołą podłogę, w spodniach ze zgrzebnego płótna, które nosił po domu od czasu, gdy skończył z audiencjami, w koszuli w paski, bez przypinanego kołnierzyka, w pantoflach inwalidy, rzucił się twarzą do ziemi, z prawym ramieniem podłożonym pod głowę tak, by służyło mu za poduszkę, i z miejsca zasnął, ale o drugiej dziesięć obudził się z osiadłą na mieliźnie głową i z ubraniem przesiąkniętym bladym i ciepłym potem, niby na chwilę przed cyklonem, stój, kto idzie, zapytał

272

wstrząśnięty pewnością, że ktoś zawołał go we śnie imieniem niebędącym jego imieniem, Nicanorze, i jeszcze raz, Nicanorze, ktoś, kto miał moc wejścia do jego pokoju, nie zdejmując sztab, gdyż wchodził i wychodził, kiedy chciał, przenikając przez ściany, i wtedy zobaczył ją, to była śmierć, panie generale, jego śmierć, ubrana w opończę pokutną ze strzępów juty, z drewnianym

bosakiem w rękę i z obsianą pędami grobowych alg czaszką, i z ziemnymi kwiatami w szparach kości, i z archaicznymi i oszołomionymi oczami w oczodołach bez ciała, i dopiero wtedy, gdy ją zobaczył w całej okazałości, zrozumiał, dlaczego zawołała nań Nicanorze, Nicanorze, albowiem pod takim imieniem zna nas wszystkich śmierć w chwili śmierci, ale on powiedział, że nie, śmierci, że to jeszcze nie jego godzina, że to ma nastąpić w czasie snu w mroku gabinetu, jak to zawsze i na zawsze głoszone było w proroczych wodach saganów, ale ona odpowiedziała, że nie, generale, to ma być tu, boso i w ubraniu łachmaniarza, które miał na sobie, chociaż ci, co znaleźli jego ciało, mieli powiedzieć, że stało się to na podłodze gabinetu, że był w płóciennym mundurze bez dystynkcji i ze złotą ostrogą na lewym obcasie, by nie zadawać kłamu przepowiedniom jego wieszczek, stało się to w chwili najmniej przez niego chcianej, w chwili gdy po tylu, tylu latach jałowych złudzeń zaczął przeczuwać, że człowiek nie żyje, kurwa, tylko przeżywa innych, że zbyt późno uczy się, iż najdłuższego i najużyteczniejszego życia starcza li tylko na to, by nauczyć się żyć, poznał swoją niezdolność do miłości w zagadce linii swych niemych dłoni i w niewidzialnych cyfrach kart, i usiłował wynagrodzić sobie to nikczemne przeznaczenie spalającym kultem samotnego nałogu władzy, stał się ofiarą własnej sekty, by złożyć siebie w płomieniach tego niekończącego

273

się całopalenia, zapamiętał się w szalbierstwie i zbrodni, kwitł w okrucieństwie i przemógł w sobie gorączkowe skąpstwo i wrodzony strach tylko po to, by zachować w garści po kres czasów swą szklaną kuleczkę, nie wiedząc, że to nałóg bez końca, którego nasycenie rodziło jego własny apetyt aż po kres wszystkich czasów, panie generale, wiedział od swego zarania, że oszukiwali go, by mu się przypodobać, że brali od niego, by mu schlebiać, że, grożąc bronią, naganiali tłumy zebrane na trasie jego przejazdu, z okrzykami radości i przekupnymi transparentami, wieczne życie wspaniałemu, starszemu od własnego wieku, ale nauczył się żyć zarówno z tym, jak i z wszystkimi nędzami chwały, w miarę jak z upływem swych niezliczonych lat odkrywał, że kłamstwo jest wygodniejsze niż wåtpliwość, bardziej użyteczne niż miłość, trwalsze niż prawda, niczemu się nie dziwiąc, doszedł do hańbiącej fikcji, w której rządził bez władzy, był wychwalany bez chwały i słuchany bez posłuchu, kiedy przekonał się w smudze żółtych liści swej jesieni, że nie miał być nigdy panem całej swojej władzy, że skazany był jedynie na znajomość lewej, odwrotnej strony życia, że skazany był na rozpoznawanie szwów i porządkowanie nici wątku oraz węzłów osnowy gobelinu złudnej rzeczywistości, nie podejrzewając, nawet kiedy było już za późno, że jedynym życiem do życia była jego prawa

strona, do oglądania, to życie, które widzieliśmy z naszej strony, nie będącej pańską stroną, panie generale, strony biedaków, gdzie była smuga żółtych liści naszych niezliczonych lat nieszczęścia i naszych nieuchwytnych chwil szczęścia, gdzie miłość była skażona kielkami śmierci, ale to była miłość pełną gębą, panie generale, gdzie pan był zaledwie niepewną wizją o żalonych oczach z za kurzu firanek okna pociągu, był zaledwie drżeniem milczących

274
 ust, ulotnym pożegnaniem atlasowej rękawiczki bezpańskiej dłoni starca pozbawionego przeznaczenia, o którym nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim był ani jaki był, ani czy był ledwie wymysłem wyobraźni, tyranem z dowcipów, który nigdy nie wiedział, gdzie była lewa, a gdzie prawa strona tego życia, które kochaliśmy z nienasyconą pasją, jakiej pan nie odważyłby się nawet sobie wyobrazić ze strachu, by nie dowiedzieć się o tym, o czym my wiedzieliśmy aż za dobrze, że było namiętne i ulotne, ale że nie było innego, generale, bo my wiedzieliśmy, kim byliśmy, podczas gdy on, nigdy nie dowiedziawszy się tego, pozostał na zawsze ze swoim łagodnym gwizdem przepukliny starego nieboszczyka, wyrwany z korzeniami uderzeniem śmierci, lecąc pośród ciemnego szelestu ostatnich zlodowaciałych liści swojej jesieni ku ojczyźnie mroków prawdy zapomnienia, ze strachu uczepiony zgniłych strzępów szmat opończy śmierci i obcy krzykom oszalałych tłumów, które wyległy na ulice, śpiewając hymny radości radosnej nowiny o jego śmierci, i obcy na zawsze i na nigdy muzyce wolności i petardom wesela, i dzwonom chwały, które ogłosiły całemu światu dobrą nowinę, że nieobliczalny czas wieczności dobiegł wreszcie końca.

1968-1975

Nowa edycja utworów

Gabriela Garcii

Marqueza

Dotychczas ukazały się:

Sto lat samotności

Zła godzina

Jesień patriarchy

Morze utraconych opowiadań

i inne felietony

Opowiadania

O miłości i innych demonach

Nie ma kto pisać do pułkownika

Raport z pewnego porwania

Dwanaście opowiadań tułaczyc

Generał w labiryncie

Opowieść rozbitka

Wkrótce:

Miłość w czasach zarazy

Na fałszywych papierach w Chile

Szarańcza

Nowe ilustrowane wydanie

Gabriela Garcii

Marqueza
BARDZO STARY PAN
Z OLBRZYMIMI SKRZYDŁAMI
I INNE OPOWIADANIA

Takiego wydania wyboru opowiadań Gabriela Garcii Marqueza jeszcze nie było- po pierwsze prezentowane są w nim utwory z różnych tomów (od W tym mieście nie ma złodziei po Dwanaście opowiadań tułaczach), po drugie zaś opowiadania umieszczone w tej oryginalnej antologii zostały zilustrowane Magię literatury wzbogaca magia kolorów i obrazów, a przede wszystkim wyobraźnia bliska baśni.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa

tel. (0-22) 827 72 36, 629 50 83

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: (0-22) 628 63 60, 629 32 0i

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Skład i łamanie: MAGRAF S.C, Bydgoszcz

Przygotowanie do druku: P.U P. ARSPOI , Bydgoszcz

Druk i oprawa. RZG SA